

~~31-74~~

NA STANOWISKU

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI.

NA STANOWISKU

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.



Handwritten signature or initials, possibly "Kau. 1915", crossed out with a blue diagonal line.

NAKLAD I Druk tow. akc. S. Orgelbranda s-ów
SKŁADY GŁÓWNE: E. Wende i Spółka, Warszawa.
E. FISZER W ŁODZI.

BIBLIOTHECA
RESIDENTIAE CRACOVIENSIS
P. P. SOCIETATIS JESU
AD S. BARBARAE

K-199/73



38387

ZA POZWOLENIEM NIEMIECKIEJ CENZURY WOJENNEJ.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0270015

38387

φ

I.

— Kobieto, cała Europa stoi w ogniu, a ty mi jakimś praniem głowę zawracasz!

Jabłecki zerwał się z krzesła i, nie kończąc herbaty, wybiegł do sąsiedniego pokoju. Nie była to jednak odległość tak daleka, aby nie doleciał za nim cichy i zjadliwy syk żony:

— Dureń!

Jabłecki machnął ręką i uśmiechnął się pogardliwie i boleśnie. Z tego, że stanowili parę niedobraną, zdawał sobie dawno sprawę, ale ta różnica poglądów, temperamentów, upodobań, charakterów — słowem, wszystkiego, co może różnić dwie istoty ludzkie, nigdy nie ujawniała się tak jaskrawo, jak w ostatnich czasach — po wybuchu wojny. Jabłeckiego wojna olśniła ogromem przewrotu, jaki miał się dokonać na świecie. Żona jego, pani Maryla, zapatrywała się na te wielkie wydarzenia dziejowe z punktu widzenia gospodarstwa domowego. Stojąc na dwóch tak wręcz odmiennych stanowiskach, małżonkowie nie mogli się porozumieć.

Przychodziły chwile, w których Jabłecki

czuł poprostu do żony nienawiść i to nienawiść tak zawziętą, że z chęcią byłby ją własnymi rękami zamordował. I tak było tego pięknego wrześnieowego poranku. Kuryer doniósł, i to grubemi czcionkami, że cała armia rumuńska maszerowała już na Siedmiogród. Wiadomość ta zelektryzowała Jabłeckiego, wyrzuciła go z łóżka na równe nogi. Przy tak zmienionej sytuacji nie można już było liczyć wojny dłużej, jak na jakieś trzy tygodnie. I z chwilą, gdy JabłECKI z gorączkowym natężeniem umysłu układał jedynie możliwe, według zasad prostej, zdrowej logiki, kombinacje polityczne, żona przychodzi z jakimiś skargami na praczkę. I jaki cel tego? Cóż on miał robić? Bić się z praczką... Gdyby to jeszcze powiedziała i umilkła. Ale pani Maryla, widząc, że mąż jest zamyślony, roztargniony i mało zwraca na jej wyrzekania uwagi, z jakimś specjalnym, złośliwym uporem powtarzała je raz po raz, jak bajkę o czapli na wysokich nogach. Posąg z Saskiego Ogrodu doprowadziłoby to wkońcu do pasyi, a cóż dopiero żywego człowieka.

— Co za kurzy mózg!

JabłECKI nie wypowiedział tego zarzutu, pomyślał go tylko, ale drogą jakiejś komunikacji telepatycznej doszedł on widocznie do sąsiedniego pokoju, do bezpośredniej świadomości pani Maryli, bo z poza drzwi znów się rozległ cichy, zjadliwy syk:

— Bałwan.

Tak odmienni charakterami małżonkowie przez dziwny kaprys przyrody uzupełniali się pod jednym względem. W chwilach gorętszych przemówień JabłECKI podnosił głos, a pani Maryla zniżała aż do szeptu. Ale szept jej był dziwnie przenikliwy. Im ciszej zaczynała przemawiać, tem wyraźniej ten szept rozpełzał się po mieszkaniu, docierał aż do najdalszych zakamarków. Było to jedno z tych zjawisk niewytłómaczonych przez naukę, które tylko w pożyciach małżeńskich obserwować można. JabłECKI wiedział, że przed tym szeptem, drażniącym go do najwyższego stopnia, nigdzie się nie schroni. Zresztą pokój, w którym się znajdował, sympialnia, nie miała już dalszego wyjścia.

— Trzeba się ubrać i wyjść.

Spojrzał na zegarek i zmarszczył brwi... A jednak... Mimo, że się zerwał przed ósmą, niepostrzeżenie na kombinacjach politycznych i sprzeczce z żoną czas zbiegł do jedenastej. O dwunastej miał się spotkać w kawiarni z paru ludźmi, których zamówił, chcąc im wyłuszczyć pewien szkic politycznego programu.

Coprawda, ten szkic programu jeszcze jemu samemu niebardzo wyraźnie zarysowywał się w głowie. Ale JabłECKI posiadał wyjątkową organizację umysłową. Aby myśleć, musiał mówić. Wówczas dopiero budziły się w nim siły twórcze i nabierały rozpędu. Był więc pewien, że te luki, przed którymi myśl jego zatrzymy-

wała się bezradnie w ciszy gabinetu, wyrównaję się w kawiarni. Błysk natchnienia więcej zna-
czy, niż całe godziny mozolnych rozmyślań.

Nieskomplikowany proces mycia zajął mu niewiele czasu. Tchnęło go jakieś prze-
czucie, aby przed założeniem kołnierzyka zba-
dać ów szczegół garderoby męskiej. I oka-
zało się, że kołnierzyk był już zabardzo brudny,
na zebranie polityczne niemożliwy. Pociągnęło
to za sobą konieczność pewnych pojednaw-
czych kroków względem żony.

— Marylu—odezwał się miękkiem głosem.
Wezwanie to pozostało bez odpowiedzi.

— Jesteś tam? — zapytał, zbliżając się ku
drzwiom. I własnymi oczami mógł stwierdzić,
że żona znajdowała się w sąsiednim pokoju
i musiała go słyszeć.

— Dlaczego mi nie odpowiadasz?

Pani Maryla wzruszyła ramionami. Trudno
sobie było zdać sprawę, co ten gest miał ozna-
czać, czy pogardę, czy zdumienie, czy oburze-
nie, nie ulegało tylko kwestyi, że naogół sym-
bolizował uczucia nieprzychylne.

— Czy ja mam czyste kołnierzyki?

— Nie, nie masz—odparła pani Maryla su-
cho i bardzo dobitnie.

— A jej... nie mogę przecież cały tydzień
w jednym kołnierzyku chodzić.

— I dlaczego-żeś się tak oburzył, gdy ci
mówiłam, jak mnie praczka urządziła.

— Ale może są gdzie jeszcze.

— Poszukaj...

Rada ta, aczkolwiek wypowiedziana najna-
turalniejszym napozór tonem, równała się w grun-
cie rzeczy subtelnemu szyderstwu. Gdy wojna
wybuchła, Jabłeccy bawili na wsi, u krewnych,
na letniem mieszkaniu. Nagwałt powrócili do
Warszawy, bez rzeczywistej zresztą potrzeby.
W Warszawie panią Maryłę ogarnęła taka de-
presya, że nie miała głowy do zajmowania się
mieszkaniem; JabłECKI zbyt był pochłonięty
wielkimi rzeczami, aby mógł zwracać uwagę
na drobiazgi urzędzenia, a że i służąca nie wy-
kazywała najmniejszej inicjatywy w tym kie-
runku, więc w mieszkaniu panował nieład, jaki
zazwyczaj można oglądać tylko w dniach prze-
prowadzek. Wyszukanie czegoś w tych wa-
runkach, było zadaniem przewyższającym siły
ludzkie.

— I nie będę miał kołnierzyka!—wybuchnął
JabłECKI.

Pani Maryla uśmiechnęła się ironicznie.

— Jak zostaniesz ministrem, kupisz sobie
cały tuzin.

Żart był złośliwy i wymierzony celnie.
JabłECKI poczerwieniał. Poczem zmierzył żonę
nienawistnem spojrzeniem i po chwili dopiero
gdy tresura kulturalna zapanowała już w nim
nad żywiołowym porywem, odezwał się powoli:

— Zamiast się wysilać na żarty, pomyśla-
łabyś lepiej, aby to mieszkanie do jakiego-ta-

niego ładu doprowadzić. Przecież już półtora miesiąca minęło, jak w tych śmieciach żyjemy.

— Ja nie chciałam wracać.

— Więc z tego powodu wszystko ma być nierozpakowane?

Pani Maryła uśmiechnęła się, ale nie wrogo, tylko przyjaźnie, i odezwała się z anielską słodyczą w głosie:

— Do końca września mogliśmy śmiało na wsi siedzieć.

— Jakim cudem? Przecież urlop mi się kończył. Wróciliśmy o dwa tygodnie wcześniej.

— I tak i tak teraz w biurze nic nie robisz.

— Ale muszę przychodzić. Za to mi płacą.

— Oh, to co ci płacą!

Jabłeczki odwrócił się gwałtownie i zatrzasnąwszy za sobą drzwi, gorączkowo począł kończyć garderobę, aby jaknajszybciej znaleźć się poza domem. Z rezygnacją człowieka, którego wyższe siły losu zmuszają do wyrzeczenia się pewnych życiowych wyrafinowań, założył brudny kołnierzyk, ale zato dobrał do niego krawat o tak oślepiających barwach, iż budziło to nadzieję, że krawat będzie odciągał uwagę od kołnierzyka. Wystrojony Jabłeczki przejrzał się w lustrze i w jednej chwili odzyskał humor.

Napozór tak szybkie przejście od zdenerwowania do humoru pod wpływem lustra źle by świadczyło o stałości jego charakteru. Ale też był to pozór tylko. Jabłeczki nie był człowiekiem do tego stopnia próżnym, aby

zadowolenie z zewnętrznego wyglądu mogło tak radykalnie wpłynąć na zmianę stanu jego ducha. Ale w tym samym momencie właśnie Jabłeczki powziął stanowczą decyzję, rozstrzygającą pewne wahania, które od paru dni go męczyły.

— Dziś do niej pójde.

Wyrwało mu się to z ust mimowoli i tak głośno, że aż obejrzał się niespokojnie poza siebie—na drzwi. Ale drzwi były zamknięte.

Na parę miesięcy przed wojną Jabłeczki nawiązał był stosunek erotyczny z pewną przedstawicielką nieokreślonej sfery społecznej, stanowiącej jakby przejście od świata zasad do nizin lekkomyślności zupełnej. Z chwilą wyjazdu Jabłeckich na letnie mieszkanie stosunek ten się zerwał i po wybuchu wojny Jabłeczki nie starał się już go odnowić, uważając, że czasy były zbyt wielkie i szczytne, aby móżdż się poświęcać erotyzmowi. I tem przekonaniem umiał się zasuggestyonować tak silnie, że zerwanie nie sprawiło mu przykrości, ani też nie wymagało zbyt wielkiej siły woli. Powoli jednak zaczynało się w nim budzić nieokreślone uczucie, na które składało się jakby trochę tęsknoty i trochę sceptycznej wątpliwości, czy tak ascetyczne pojmowanie wielkich epok dziejowych miało sens.

Małżeńska scena przeważała szalę wahań. Wprost z politycznego zebrania w kawiarni Jabłeczki postanowił udać się do dawnej przyjaciółki.

Wychodząc, zapowiedział żonie:

— Proszę z obiadem na mnie nie czekać.

Nie wróćę.

— Zaproszony jesteś na obiad?—odezwała się pani Maryła takim tonem, jakgdyby wszelkie ślady domowej burzy już przeminęły.

— Nie, ale nie będę miał czasu...

— I pójdziesz do restauracji. Rzeczywiście, mamy tyle pieniędzy, tak dużo zarabiasz, że teraz jest czas najodpowiedniejszy na to, aby po restauracjach się włóczyć.

Ale Jabłecki był już w przedpokoju i błyskawicznie znikł za drzwiami, nie słuchając dalszego ciągu tej rozmowy.

— Miła atmosfera—uśmiechnął się zgryźliwie.

Miał zupełnie zwarzony humor. W tej chwili już i to zebranie, którego był inicjatorem, straciło nagle dla niego cały urok. Co prawda, chciał je urządzić zupełnie inaczej—u siebie w domu, wieczorem, temu jednak oparła się stanowczo pani Maryła, utrzymując, że skoro się mieszka, „jak w chlewie“, to niepodobna jest ludzi zapraszać. Argument był ważki zapewne, tylko jeżeli mieszkanie można było z pewną dozą przesady przyrównać do chlewu, to nie wynikało to z jakichś fatalistycznych przyczyn, tylko poprostu z „apatyi“ pani Maryli. „Z apatyi“ — Jabłecki znów się musiał ironicznie uśmiechnąć i machnął ręką, nie chcąc

rozpraszać energii na bezcelowe rozgoryczenia przeciwko żonie.

Zebranie w kawiarni nie mogło już mieć tego poważnego politycznego charakteru, jaki Jabłecki pragnął mu nadać. Ale trudno... trzeba się było raz gdzieś zebrać... Następne będzie można urządzić przyzwoicie. To rozumowanie jednak nie zdołało ożywić w duszy Jabłęckiego przygasłego entuzjazmu. Nie chciał analizy swego stanu duchowego posuwać zbyt daleko, aby nie dojść do zbyt łatwego odkrycia, że na dnie tego nagłego zniechęcenia kryła się pewna doza niepokoju. Do kawiarni zwykłym krokiem było około dwudziestu minut drogi. Jabłecki zamierzał być poświęcić ten czas na obmyślenie planu swego wystąpienia. Nie przewidywał, że wyjdzie z domu tak zdenerwowany, że trudno mu będzie na jednym przedmiocie skupić myśli. I nagle ogarnęła go wątpliwość, czy nawet przy najbardziej sprzyjających warunkach umysłowych dwadzieścia minut przedstawiało ilość czasu dostateczną do naskwiczenia sobie w głowie programu mowy politycznej. Mieli go słuchać poważni ludzie i krytyczni. Chcąc jednakże, żeby to, co miał mówić, wpływ wywarło, należało się sumiennie do wystąpienia przygotować. A tak może to wyrzucić trochę chaotyczne wrażenie. Polityka nie znosi chaosu; trzeba jasnych programów, określonych, wyrąbanych.

Twarde brzmienie słów podziałało orzeź-

wiająco na energię Jabłeckiego. Wyprostował się i rozczesał palcami brodę. Ale niepokój okazał się silniejszym od chwilowego podniecenia. Odrazu zapanował nad niem. Nie, nie... liczyć na ten błysk ostatniej chwili było conajmniej lekkomyślnością.

Jabłecki postanowił nadłożyć trochę drogi. Zmarszczył brwi i znów rozczesał brodę palcami.

— Więc...

— Jeżeli pozwoliłem sobie panów tutaj ściągnąć... Nie „ściągnąć“, to zbyt trywialne wyrażenie. Jeżeli pozwoliłem sobie prosić panów...

— Nie.

Stanowczo Jabłecki nie był dziś zdolny do logicznego myślenia. A przynajmniej nie w politycznym kierunku... Między wyrazy przemowy, jaką starał się ułożyć, wciąż natrętnie wkradały się pytania:

— A jeśli jej niema w Warszawie?

— Albo jeżeli się obraziła... I to możliwe.

I to go zirytowało. Chwila nie była odpowiednia, aby poświęcać całą uwagę pannie Joli Steinerównie. Nie należało przedewszystkiem zrywać. Jabłecki czuł, że już za bardzo dał się porwać społeczno-patryotycznemu entuzjazmowi. Zlekceważył Jolę najniesłuszniej, najniesprawiedliwiej.

II.

Przy stoliku, zamówionym w kawiarni w ciemnym, najdalszym kącie, siedziało już dwóch uczestników zebrania: adwokat Cisiewicz i urzędnik banku Zachrupczyński. Mecenas Cisiewicz, sześćdziesięcioletni staruszek, jako uczestnik zebrań był trochę uciążliwy, gdyż nie dostyszał, a był tak skrupulatny, że ani jednego opuszczonego wyrazu nie darował. Co chwila więc trzeba mu było coś do ucha powtarzać. Krążyła o nim opinia, że w pewnych prawnych kwestyach był powagą. Jakie to były kwestye, tego nikt nigdy nie umiał objaśnić, ale dla tej opinii właśnie Jabłecki ze specjalnem wyróżnieniem zaprosił go na zebranie.

Ujrawszy honorowego gościa już przy stoliku, Jabłecki przyspieszył kroków...

— Spóźniłem się... Najmocniej panów przepraszam. Jakżeż pan mecenas...

Ale Cisiewicz nie dał mu skończyć zdania.

— Pan Zachrupczyński niewesołą nowinę przyniósł.

Jabłecki spojrział niespokojnie na bankowca.

— No?

Zachrupczyński, typowy flegmatyk, wysoki, chudy, łysy, dał Jabłeckiemu znak oczyma, aby się pochylił nad stołem.

— Bank Państwa... już... już...

— Jakto już... już?

— Na wyjeźdnem.

— Ale bajka.

Zachrupczyński wykonał taki grymas, jak gdyby chciał ironicznie się uśmiechnąć, i opamiętał się, że nie warto.

— Po pierwsze nie mam zwyczaju rozpowszechniać bajek...

— Ja nie mówiłem.

— Przepraszam... mówił pan.

— Co, co mówił, niech pan głośniej powtórzy — wtrącił mecenas, pochylając się ku Jabłeckiemu.

— O Banku.

— Nie, nie, ale potem jeszcze.

— Nic.

Cisiewicz zdawał sobie sprawę, że jego dopytywania nużyły czasem ludzi i był niesłychanie pod tym względem drażliwy.

— A skoro nic, to przepraszam — odparł, usuwając się z obrażoną miną.

— Ależ panie mecenasie.

Jabłecki uczył nagle, że za jednym zamachem uraził dwóch najgorliwszych gości,

którzy pierwsi stawili się na zebranie. I nie wiedział, kogo ma wpierv przeproszać.

— Pan Jabłecki zarzucał mi, że rozpowszechniam bajki — objaśniał Zachrupczyński mecenasa.

— Aa...

Mecenas zmierzył Jabłeckiego spojrzeniem, w którym malowało się widocznie zgorzenie.

— Ależ ja bynajmniej tego nie mówiłem. Szanowny pan mnie źle zrozumiał.

— Wyraz bajka ma jedno znaczenie — upierał się z nieubłaganą logiką Zachrupczyński.

— Zapewne... Ale... Ja chciałem przez to powiedzieć — jękał się Jabłecki. — Chciałem przez to powiedzieć, że może pana źle poinformowano.

— O to chodzi. Powtarzanie złych informacji jest rozpowszechnianiem bajek.

— Nie, takiego piłata ja w życiu jeszcze nie widziałem — jęknął w duszy Jabłecki. Znał Zachrupczyńskiego bardzo mało, zaprosił go na zebranie, bo go zapewniono, że Zachrupczyński przyjdzie napewno, a to właśnie była największą troską Jabłeckiego. Przekonawszy się, że jest to człowiek tak czuły na punkcie prawdomówności, Jabłecki zaczął go usilnie przeproszać.

— Niechże się pan nie gniewa... Tak mi się to mimowoli wyrwało... Więc kiedy Bank Państwa wyjeżdża?

Na stanowisku.



— Lada moment.

— Ale dlaczego?

Zachrupczyński spojrział na Jabłeckiego ze zdumieniem, jakie może wzbudzić tylko bardzo naiwne pytanie.

— Jakto dlaczego... Więc może mają czekać, żeby ich niemcy zagarnęli?

— Ale gdzie są niemcy?

— Bliżej, niż się panu zdaje, znacznie bliżej.

Nowiny te podziały na Jabłeckiego oszłamiająco. Ale tak były sprzeczne z nastrojem miasta, że trudno mu było w nie uwierzyć. Jednakowoż—Zachrupczyńskiego przedstawiano mu jako człowieka bardzo poważnego. No i ktoś, co bluguje, mówi innym tonem.

— Muszę pana objaśnić—ciągnął Zachrupczyński, że ja sam jestem urzędnikiem banku.

— Banku Państwa?

— Nie, pracuję w banku prywatnym. Ale bądź co bądź, jestem bliższy tych sfer, niż inni. Jabłeczki się zaszępił.

— Może podjazd jaki się zaawanturował.

— Nie, proszę pana... Gdyby podjazd się zaawanturował, toby Bank Państwa nie uciekał. Idzie cała armia. Sześć korpusów, cztery dywizje jazdy, dwie baterie czterdziesto-dwucentymetrowych armat. Pan wie, co to jest czterdziestodwucentymetrowa armata?

Wymawiając ostatnie wyrazy, Zachrup-

czyński mrużył powoli oczy, tak, że w końcu zostały mu tylko dwie szparki.

— Czterdziestodwu-centymetrowa armata, proszę pana.—Zachrupczyński szybkim ruchem zwinął w palcach serwetkę i wyciągnął ją przed oczyma Jabłeckiego.

— To niema nawet piętnastu centymetrów. Otóż niech pan sobie wyobrazi trzy takie serwetki... Albo poco sobie wyobrażać... Mamy serwetki... Jedna, druga, trzecia... Och, przepraszam, ja panom serwetki pozabierałem... Mniejsza o to, każę służącemu podać świeże... Otóż... jedna serwetka, niech pan przytrzyma palcem... druga serwetka, trzecia... to będzie mniej-więcej czterdzieści pięć centymetrów.

— Przecież te armaty są czterdziestodwu-centymetrowe.

— A, przepraszam... Czterdziestodwu... Czterdziestodwu... Więc tu zakrywam palcem. Teraz będzie czterdzieści dwa centymetry. Wyobraża pan sobie lufę o takiej średnicy?

— Olbrzym.

— Tak, ale lufa to jeszcze nic nie jest. Wyobraża pan sobie teraz to, co w tę lufę można włożyć.

Pan Zachrupczyński znów zmrużył oczy i nagle parsknął wesołym śmiechem. Było to tak nieoczekiwane, że dwaj jego słuchacze mimowoli drgnęli.

— A jak taka sztuka na łeb spadnie, to co, he?

Po chwili milczenia, jakie zapanowało po tych słowach, mecenas Cisiewicz westchnął nagle.

— Ale jakoś reszta się spóźnia.

— U nas wogóle ludzie nie odznaczają się punktualnością.

— To prawda. Która to godzina?

— Już wpół do pierwszej — odparł Jabłecki, spoglądając na zegarek. Zmartwiło go to, że inni się tak spóźniali, i zdjęła go trwoga, że może wcale nie przyjdą.

Zachrupczyński spojrział również na swój zegarek.

— Już jest nawet dziesięć po wpół do pierwszej — poprawił Jabłeckiego.

— Możliwe — zgodził się szybko Jabłecki, nie chcąc już w niczem sprzeciwić się Zachrupczyńskiemu.

— Dziesięć po wpół do pierwszej. Muszę uciekać.

— Jakto, chce pan odejść?

— Muszę. Innym razem postaram się tak urządzić, żeby mieć więcej czasu. Ale dziś muszę.

— Ależ, panie drogi. Zaraz wszyscy się zejdą.

Jabłecki spojrział błagalnie na Zachrupczyńskiego, ale urzędnik był stanowczy.

— Nie, panie, nie mogę.

I odszedł, pozostawiając Jabłeckiego z Cisiewiczem. To sam na sam bynajmniej się Ja-

bleckiemu nie uśmiechało. Pomijając uciążliwą w stosunkach towarzyskich wadę głuchoty, mecenas był człowiekiem bardzo nudnym. Na szczęście, po odejściu Zachrupczyńskiego zagłębił się w czytaniu jakiegoś pisma. Może nie było to bardzo grzeczne, ale narazie zwalniało Jabłeckiego od obowiązku podtrzymywania rozmowy.

Jabłecki nie chciał jeszcze tracić nadziei, że i inni zaproszeni goście nadejdą. Ale już raz po raz prawie nerwowo spoglądał na zegarek, no i, aby podtrzymać ten coraz bledszy promyczek nadziei, musiał uciekać się do rozumowania, że każdemu mogło „coś wypaść“. Tylko — żeby sześciu ludziom o jednej i tej samej porze „coś wypadło“, to już było trochę dziwne.

— Trzy na pierwszą...

— Nie, nie przyjdą.

Wzbierające w duszy Jabłeckiego rozgorczenie skoncentrowało się nagle w wybuchu wyraźnej złości przeciwko Zachrupczyńskiemu.

— Skoro się niema czasu, to się wcale nie przychodzi. Napłół bajek i uciekł — monologował z oburzeniem. Przybierało to taką formę, jakgdyby Zachrupczyński swoją przedwczesną ucieczką urzekł zebranie.

— Mumia.

Ponure nowiny urzędnika banku zaniepokoiły silnie Jabłeckiego. Chwilami to uczucie niepokoju górowało nawet nad słusznym roz-

goryczaniem z racji zawodu, jaki go spotykał. W ostatnich czasach życie zaczynało mu się przedstawiać w coraz ponętniejszych barwach. Nadzieja wystąpienia na arenie politycznej uskrzydlała jego fantazję. I naraz—trach! Prusacy mieliby zająć Warszawę.

— Przesada—pomyślał, wzgardliwie wzruszając ramionami.

Ale ponure nowiny mają to do siebie, że jakkolwiek rozumem człowiek stara się obniżyć ich wartość, w uczuciach zostaje pewien osad. Bądź co bądź, człowiek starszy, urzędnik banku wszystkiego z palca wyssać nie mógł. Otóż to—mógł czy nie mógł? Pod wpływem podniecenia najprzychylniejsi ludzie nieraz tak bezwstydnie kłamią.

Jabłecki sam tej wątpliwości rozstrzygnąć nie mógł. Ale wydało mu się, że mecenas Cisiewicz zajął zbyt mało krytyczne stanowisko wobec nowin Zachrupczyńskiego. I z niechęcią spojrzął na zaczytanego staruszka.

Mecenas odłożył gazetę.

— Jakoś nikogo niema — odezwał się z uśmiechem.

Było to stwierdzenie faktu — nic więcej, ale Jabłeckiego doprowadziło do fury.

— A niema!—odburknął mimowoli w uniesieniu przedrzeźniając Cisiewicza.

Mecenas spojrzął na niego ze zdumieniem. Ale dobroć wzięła w nim widocznie górę nad

zadrażnioną ambycją, gdyż po chwili odezwał się z widocznym współczuciem w głosie:

— To pana jednak narazili na zawód.

Jabłecki, upokorzony, nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Może jeszcze przyjdą—mruknął cicho.

— Przepraszam, nie dostyszałem.

— Może jeszcze przyjdą.

— Przyznam się panu, że wątpię... Ale może, może — poprawił się nagle szybko. — Jeszcze możemy poczekać do pierwszej.

— Czy pan mecenas wierzy w to wszystko, co opowiadał Zachrupczyński?

— Czy ja wierzę? Zapewne, może jest w tem trochę przesady... .Chociaż, z drugiej strony...

Mecenas urwał, kończąc swoją myśl jakimś nieokreślonym gestem, z którego trudno było wywnioskować, czy osobiście skłania się bardziej ku dobrej wierze, czy też sceptycyzmowi.

— Ja myślę, że w tem jest dużo przesady.

— Może... może.

— On wygląda trochę na blagiera.

— Na blagiera? Może. Ja go bliżej nie znam.

Niezdycydowanie mecenasa zaczęło irytować pana Józefa.

— Ależ to ramol jakiś.

Dotychczas znajomość Jabłeckiego z mecenasem Cisiewiczem ograniczała się tylko do wymiany ukłonów. Osobiście zetknęli się raz

w życiu zaledwie na pewnym jubileuszowym zebraniu. Jabłecki miał przy tej wymianie ukłonów wrażenie, że mecenas nie bardzo go sobie przypominał, zależało mu jednak na stosunku z człowiekiem tak wybitnym. I dlatego też szczególnie pragnął, żeby mecenas Cisiewicz był na zebraniu. Pewien kłopot sprawiało mu wynalezienie formy zaproszenia: napisać list, czy iść osobiście?—ale zdarzyło się, że gdy rozmyślał nad tem, spotkał przypadkowo Cisewicza na ulicy. Zaczepił go i zaprosił. Wprawdzie w oczach mecenasa w pierwszej chwili odmalował się wyraźny przestach, ale wysłuchawszy Jabłeckiego, bardzo skwapliwie przyjął zaproszenie.

Jabłeckiemu sprawiło to przyjemność, połączoną z odcieniem dumy.

— Skoro taki Cisiewicz odrazu zgodził się przyjść.

I naraz nastąpiło rozczarowanie:

— Do pierwszej możemy poczekać — powtórzył po chwili Cisiewicz.—To dziwne jednak, że tak nikt nie dopisał. Wogóle teraz ludzie bardzo się zagadnieniami politycznymi interesują.

Jabłeckiemu uwaga ta wydała się co najmniej niedelikatna.

— Nie wszyscy,—odparł sucho.—Są umyśły, których nic nie jest w stanie poruszyć.

— Zapewne, zapewne — potwierdził zgodny mecenas.

W wyblakłych jego oczach zapalił się nagle jakiś błysk. I wskazując ruchem głowy w głąb sali, odezwał się z wesołym śmiechem:

— Niech-no pan tam spojrz.

Jabłecki zwrócił oczy we wskazanym kierunku, ale nie zauważył nic ciekawego. Jak zwykle w niedzielę przed południem, kawiarnia była zapełniona.

— Widzi pan?

— Kogo?

— Te dwie... Tam, przy stoliku, koło przejścia... Ładniutkie, co?

Ta niepoważna dygresja zgorszyła Jabłeckiego, którego myśli i uczucia były nastrojone na wysoki ton polityczny. Odparł chłodno:

— Zdaje mi się, że to są osoby dość podejrzane.

— Przepraszam, nie dosłyszałem.

— Podejrzane — krzyknął Jabłecki.

— Zapewne, zapewne, ale ładne... Ta blondyneczka... Takie chucherko...

— Przyznam się, że nic wyjątkowo ładnego w niej nie widzę.

— To pan wymagający... to pan wymagający — odparł mecenas, kiwając głową, — A wie pan, że ona mi kogoś przypomina... pewną osobę z towarzystwa.

— Może.

— Śmieje się do nas.

— Skoro mecenas ją zaczepia.

— Ale to z pana Katon.

Jabłeczki wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział. Z wyraźną pogardą popatrzał na mecenasa, któremu czoło poczerwieniało i oczy zaszyły zlekka łzami.

— Stary pornograf.

I nagle przyszło mu na myśl, że zachowanie się Cisiewicza było jednak conajmniej wysoce niegrzeczne, już jeśli nie poprostu — skandaliczne. Zaprosił go na polityczne zebranie, zaznaczając, że ma zamiar wypowiedzieć pewne myśli, które może ostatecznie mogłyby być posłużyc za podstawę jakiegoś nowego programu. Zdaje się, że wypadało okazać chociażby cię zaciekawienia, spytać się: co pan nam miał powiedzieć. A on — nic. Wynalazł sobie „chucherko“ i cieszy się, jakby go kto na sto koni wsadził.

Te, pełne goryczy, refleksy przerwiał nagle Jabłeckiemu Cisiewicz:

— Mówiąc poważnie...

Nagły atak kaszlu nie pozwolił mu dokończyć zdania. Ale początek udobruchał nieco Jabłeckiego. No nareszcie... Z pewnym współczuciem nawet zwrócił się do Cisiewicza.

— Pan mecenas przeziębiony?

— Trochę... trochę... Otóż, mówiąc poważnie, ciekaw jestem, jak wojna wpłynęła na tego rodzaju kobiety.

— Jakto?

— Czy im się powodzi lepiej czy gorzej.

— No, wie pan, że nad tem zagadnieniem się nie zastanawiałem — odparł zimno pan Józef, opuszczając już tytuł mecenasa.

— A mnie to zaciekawia.

— Szczególny z pana człowiek.

— Przepraszam, nie dosłyszałem.

Jabłeczki zdążył się przez ten czas pohamować. Odparł z ironicznym uśmiechem:

— Jest chyba w obecnej chwili wiele ważniejszych zagadnień.

— Zapewne... zapewne... no, ale skoro nam się zebranie nie udało, to cóż mamy robić?

— Bardzo mi przykro, że niepotrzebnie narażałem pana mecenasa na stratę czasu.

Mecenas nie odczuł, czy też nie chciał odczuć, delikatnej ironii, zawartej w tych słowach.

— Ja zawsze w niedzielę o tej porze chodzę do kawiarni. Coprawda, do innej... No, ale wszystko jedno. I w tej się przyjemnie siedzi.

— Zwłaszcza gdy są „chucherka“, — dokończył Jabłeczki zgryźliwie, ale tylko w myśli.

— Swoją drogą, bardzo jestem ciekaw tego, co pan nam miał powiedzieć, trzeba się będzie jeszcze raz zejść.

Odruchowo Jabłeczki chciał odpowiedzieć jakąś zgryźliwością, ale się powstrzymał. Pragnąc wywierać wpływ na ludzi, trzeba się liczyć przede wszystkim z ich wadami i już kto, jak kto, ale polityk musi umieć trzymać nerwy

na wodzy. Jabłecki odparł więc z dyplomatyczną przewrotnością:

— Jeżeli pana mecenasa nie zniechęciła ta nieudana próba.

— Ależ nie. Bardzo żałuję, że nam się dzisiaj to zebranie nie udało.

— Więc może na przyszły tydzień.

— Doskonale.

— Ale to już u mnie w domu.

— Jeszcze lepiej. W kawiarni nie można swobodnie rozmawiać.

Im człowiek bardziej jest rozgoryczony, tem mniejsza dawka życzliwości może go pozyskać. Więc i te trochę życzliwości, które mecenas okazał Jabłeckiemu, wystarczało, aby go udobruchać. Z uśmiechem zwrócił się do Cisiewiczza:

— Ale z mecenasa znawca.

— Jakto?

— Ja w pierwszej chwili niedobrze jej się przyjrzałem, muszę jednak przyznać, że bardzo ładna.

— Prawda?

— Zdaje mi się, że to się skończy zawarciem znajomości...

— Ależ, panie... To przecież żarty wszystko... W moim wieku... Nie, jakżeż pan może mnie nawet posądzać o coś podobnego.

Mecenas był widocznie zawstydzony, tak, że aż Jabłecki musiał go uspokoić:

— I ja żartowałem tylko.

— Właściwie, niepotrzebnie tracimy czas na głupstwa. A, wie pan, że zły jestem, że nikt nie przyszedł... Bardzo byłem ciekaw pańskiego programu.

— A może pan mecenas sobie życzy, to ja w paru słowach...

— A owszem, owszem...

Jabłecki chrząknął i zmarszczył brwi. Właściwie program jego najtrudniej było w paru słowach streścić, i wyrwał się z tem trochę nieopatrznie.

— Obserwując to, co się w obecnej chwili dzieje — zaczął powoli, z namysłem.

Mecenas przysunął się do niego i, złożywszy dłoń w trąbkę, przytknął do ucha, aby nie stracić ani jednego słowa. Ale zaciekawienie jego ograniczało się tylko do zmysłu słuchu, wzrokiem wciąż był przy stoliku, gdzie siedziały, intrygujące go, dwie istoty. Jabłecki obejrzał się machinalnie i z przyjemnością zauważył, że obie damy podniosły się z miejsc i zabierały do odejścia.

— Otóż tak... każdy człowiek bezstronny, obserwując to, co się w obecnej chwili dzieje...

— Przepraszam pana — przerwał mu nagle mecenas.

Pośpiesznie sięgnął po zegarek i nagle zerwał się z krzesła.

— Na śmierć zapomniałem, że mam dziś obiad trochę wcześniej. Już i tak burę od żony dostanę... Przepraszam najmocniej, ale to

już do następnej niedzieli odłożymy... Płacić, płacić! — gorączkował się, sztukając czterdziestówką w stolik. — Że też tych drabów nigdy dowołać się nie można... Miałem szklankę herbaty... O, to już ja pana poproszę, żeby pan mu oddał. Dowidzenia!... Do przyszłej niedzieli, czy tam kiedy, zawiadomi mnie pan!

I pędem puścił się ku wyjściu. Oczywiście, było aż nadto jasne, że ten jego gorączkowy pośpiech „na obiad“ znajdował się w bezpośrednim związku z opuszczeniem kawiarni przez urodziwe „chucherka“. Jabłecki już nie miał siły nawet się oburzać. Machnął ręką.

— Ładne społeczeństwo.

Wyjął z kieszeni pugilares, grubo wypchany najrozmaitszymi papierami i, poszperawszy w nich przez chwilę, wydobył starannie złożony arkusik listowego papieru. Był to spis osób, które otrzymały zaproszenie na zebranie. Jabłecki układał tę listę z namaszczeniem. Dziesięć figurujących na niej nazwisk tworzyło elitę jeśli nie społeczeństwa, to w każdym razie osobistych jego znajomości. Trzech adwokatów, znany kupiec, dwóch inżynierów, dwóch publicystów... I na dziesięciu ludzi kto przyszedł? Zaruszony urzędniczyna i nawpół zidyociały starzec. A wszyscy obiecywali uroczyście...

— Ale przyjdę, napewno przyjdę.

— Bałwany — mruknął Jabłecki, drąc papier na drobne kawałki.

Wyładowało się w tem trochę goryczy,

och, ale tak drobna cząstka zaledwie w stosunku do ogromu, jaki przepełniał mu duszę, że niewielką mu to sprawiło ulgę. Przesiadł się na kanapę, na opróżnione po mecenasie miejsce, i, wtuliwszy się w brudne plusze, mierzył kawiarnię bezmyślnem, apatycznym spojrzeniem. Czuł się upokorzonym, zdruzgotanym.

W głębi sali ukazał się nagle niski, krępy blondyn w znoszonym letniem ubraniu i taniej panamie na głowie. Szedł szybko, rozglądając się po stolikach, tak, jakgdyby kogoś poszukiwał. Był to publicysta Stetkiewicz, spóźniony uczestnik zebrania. Jabłecki poczerwieniał i w tej sekundzie byłby się z rozkoszą pod ziemię zapadł.

Stetkiewicz, ujrawszy go, wykonał jakiś gwałtowny ruch rękami i zdaleka począł wykrzykiwać:

— Spóźniłem się... Nie uwierzy pan jak mi przykro.

Gwałtownie uściśnął dłoń Jabłeckiego.

— Ale myślałem, że jeszcze wszystkich zastanę... Cóż to tak prędko?

— Właściwie...

Jabłecki nie dokończył zdania. Upokarzające wyznanie nie chciało mu się precyzyjnie przez gardło.

Stetkiewicz nie należał do ludzi, zadawałających się niedomówieniami.

— Co? Dlaczegoście się rozeszli?

— Nie udało się zebranie.

— Ale z jakiego powodu?

— No, bo wszyscy się schodzą tak, jak pan! — wybuchnął Jabłecki.

I przybrał wyzywającą postawę, spodziewając się jakiejś ostrej repliki ze strony Stetkiewicza. Ale publicysta nie okazał najmniejszej urazy.

— A kto był? — dopytywał się spokojnym głosem.

— Mecenas Cisiewicz.

— Ach, ten stary idyota... O, przepraszam, może to pański dobry znajomy?

— Nie, ale zdaje mi się, że pan go za ostro sądzi — wystąpił Jabłecki w obronie mecenasa. Aczkolwiek zebranie się nie udało, nie mógł jednak pozwolić, aby ludzi, których zapraszał, nazywano idiotami.

— Cofam — odparł szybko Stetkiewicz.

— A więcej kto?

— Zachrupczyński.

— A więcej?

Jabłecki się zawahał, czyby nie dorzucić jednego lub dwóch nazwisk, ale kłamstwo zbyt łatwo mogło być wyjść na jaw.

— Reszta się spóźnia tak, jak pan, — odparł wymijająco.

— A więc tylko tych dwóch było?

Zbyteczne to pytanie Jabłecki pominął milczeniem.

— Nie ma się pan czem zrażać. Nie udało się dziś, uda się innym razem. Może pan

godzinę wybrał trochę nieodpowiednią... Zejść się musimy.

— Nie jest to bardzo zachęcające.

— Już pan traci energię... Tak nie można... Ale Cisiewicz i Zachrupczyński poczciwi, że przyszli.

Jabłecki spojrzął bystro na Stetkiewicza. Publicysta odwrócił głowę, jakby trochę zmieszany, i nagle wstał.

— Muszę uciekać. Ma pan jakie nowiny z polityki?

— Nie.

— Kiedyż się zejdziemy?...

— W tej chwili trudno mi jakoś termin naznaczyć.

— To prawda. Ale mię pan zawiadomi?

— Napewno.

— Bardzo mi zależy na tem, żeby pana usłyszeć.

Jabłecki podziękował uśmiechem.

— I niech pan humoru nie traci.

— Nie, nie, panie, już mi humor wrócił.

— A to kanalia — wycedził przez zęby Jabłecki, patrząc za oddalającym się Stetkiewiczem. — A to kanalia...

Jednym błyskiem oczu Stetkiewicz się zdradził. Jednym przelotnym błyskiem. I teraz Jabłecki wiedział już, dlaczego zebranie się nie udało i dlaczego Stetkiewicz wpadł do kawiarni, udając, że się spóźnił. Chciał się przekonać, czy mu się powiodła intryga.

— Czekaj... zobaczymy, kto mądrzejszy. Jabłecki wyprostował się i nerwowo począł rozczesywać palcami brodę. Oczy mu zabłyśły.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że ten bojkot jego zebrania był skutkiem chytrej intrygi Stetkiewicza. Potwierdzały to różne drobne charakterystyczne szczególiki. Ot, choćby to, że Stetkiewicz tak spokojnie zniósł jego ostrą i nawet dość niegrzeczną uwagę... Stetkiewicz, który słynął z niesłychanej drażliwości.

Jabłecki zatarł ręce.

— Komediant.

Ale, zapewniając Stetkiewicza, że odzyskał humor, mówił prawdę. Wykrycie intrygi wróciło mu humor odrazu.

— Kto tu podaje?

Służący zjawił się przed stolikiem.

— Kartę.

Służący rozejrzał się flegmatycznie dokoła, następnie wzniosł oczy w górę, jakgdyby spodziewał się odnaleźć ową kartę na suficie, i wreszcie puścił się na poszukiwanie wgląb kawiarni.

— Trzy na drugą — ustalił czas Jabłecki, spoglądając na zegarek. Nim coś zjem, wypiję kawę, będzie trzecia... O czwartej można zajść do Joli.

— Cóż tu u was można zjeść?

Służący, suchy formalista, odparł obojętnym tonem:

— Wszystko, co jest na karcie.

Jabłecki przejechał oczami spis potraw od barszczu aż do „różnych serów” i nic nie przypadło mu do przekonania. Rozpoczął więc tę samą pracę odwrotnie od „różnych serów” wzwyż, aż utknął na kotlecie cielęcym, kompromisowej potrawie ludzi niezdecydowanych.

— A przedtem niech mi pan przyniesie wódki i parę kanapek z bufetu.

Poczucie, że padł ofiarą zorganizowanego bojkotu, wróciło mu humor i energię. Powodem intryg Stetkiewicza była oczywiście najpospolitsza zawiść. Pod tym względem publicysta miał ustaloną opinię.

I znów Jabłecki ochrzczył Stetkiewicza w myśli mianem kanalii.

Ale choć towarzyszył temu pełen pogardy grymas twarzy, jednakże, gdyby Jabłecki chciał być ściśle zanalizować w tej chwili stan swego ducha, przekonałby się, że skłaniał się raczej ku uczuciu wdzięczności, niż pogardy i oburzenia. Intryga ratowała sytuację. Dawno Jabłecki nie przeżywał tak przykrych chwil, jak przed kwadranssem, gdy siedząc samotnie przy stoliku, już, prawie, że musiał się pogodzić z myślą, iż go zlekceważono, potraktowano jak głupca, któremu ludzie obiecywali, że przyjdą ot, tak, żeby go się pozbyć czempredzej.

I w ten sposób dziwnie złośliwie sprawdziłyby się przepowiednie żony. Pani Maryla od szeregu lat z pełnym namiętności uporem

starła się wmówić w męża, że go nikt „nie traktuje naseryo”.

— Otóż—nie!

Służący postawił przed nim wódkę i talerz z zakąskami. Jabłecki wypił kieliszek wódki i odzyskując humor, wiarę w siebie i energię do życia, zdecydowanym ruchem sięgnął po kanapkę ze śledziem.

III.

— To pani zna Jabłeckiego?

Panna Jola Steinerówna zmierzyła Stetkiewicza przeciągłem, trochę ironicznym spojrzeniem.

— Znam.

— A skąd?

— Cóż to pana obchodzi?

Dziennikarz, a raczej publicysta — Stetkiewicz zaznaczał zawsze z naciskiem, że nie był dziennikarzem, tylko publicystą — publicysta więc uśmiechnął się złośliwie.

— Przepraszam, skoro ma to być niedyskretne pytanie...

— Samo przez się nie byłoby niedyskretne, ale takich pytań, odkąd się znamy, a znamy się niedawno, zadał mi już pan z kilkadziesiąt. Gdy się okaże, że kogo znam: A skąd?

— Jakże pani mię znakomicie naśladuje. Pani ma talent sceniczny!

— Podobno.

— Zdaje mi się, że przez jakiś czas była pani uczennicą szkoły dramatycznej.

— Wywiad?

— Widzę, że pani nie wolno zadawać pytań.

— Naogół wolno wszystkie, możliwe, jakie tylko komu przyjdą do głowy. Ale w panu wyczuwam człowieka, który wyjątkowo lubi zadawać pytania.

— Tylko tym osobom, które mnie wyjątkowo interesują.

— Dziękuję. Nareszcie.

— Co nareszcie?

— Nareszcie wyznał pan w słowach, że go wyjątkowo interesuję. Dotychczas mogłam się była tylko tego domyślać z namiętych spojrzeń i niesłychanie tkliwego tonu, jakim mi pan zadawał obojętne pytania.

— Z panią trudno rozmawiać.

— A pan się spodziewał po mnie łatwej rozmowy? Zwalniam pana z odpowiedzi. A jeśli o mój życiorys chodzi, owszem, byłam uczennicą szkoły dramatycznej... przez półtora roku.

— I dlaczego pani zarzuciła studia?

Panna Jola odpowiedziała nieokreślonym skrzywieniem ust.

— Pani i malarstwo studyowała?

— Studyowałam i malarstwo i medycynę...

Dużo rzeczy studyowałam... Szukałam.

— Czego?

— Rzeczy bardzo nieuchwytniej i zmiennej: siebie.

— I udało się pani odnaleźć?

Panna Jola przerwała nagle niecierpliwie:

— Przejdźmy na jakiś ciekawszy temat. Wiem, wiem, pan mi powie, że ja jestem najciekawszym tematem, ale dla mnie to jest temat bardzo nudny.

— Jako uprzejma gospodyni, mnie powinienaby pani pozostawić wybór tematu.

— Ale nie będę uprzejmą i nie pozostawię — uśmiechnęła się panna Jola, sięgając po pudełko z czekoladkami. Przy tym ruchu zawinęła jej się suknia prawie aż do kolan, odsłaniając dwie bardzo kształtne łydki w bladoniebieskich pończochach. Panna Jola, pochłonięta najzupełniej widocznie rozmową ze Stetkiewiczem, nie zauważyła tego.

— Zaczął pan coś mówić o Jabłeckim, niech pan skończy.

— Aa... Skoro go pani zna, to tembardziej będzie pani mogła ocenić cały komizm tej historii. Otóż Jabłeczki postanowił odegrać rolę polityczną. Tak... tak. Mniej-więcej przed tygodniem zjawił się u mnie i w niesłychanie zażyły i uroczysty sposób oświadczył mi, że ma zamiar zwołać zebranie kilkunastu wybitniejszych przedstawicieli inteligencji, aby przedstawić im parę, jak się wyraził, skromnych pomysłów społeczno-politycznych, które jednak może będą zasługiwały na to, aby je zacząć rozpo-

wszechniać w społeczeństwie. Zebranie to postanowił urządzić w kawiarni... Także pomysł! Miało się odbyć właśnie dziś o pierwszej. Przechodząc, wpadłem tam na chwilę i okazało się, że nikt nie przyszedł. Może pani sobie wyobrazić, jaką minę miał Jabłecki. Bardzo zabawną... Tak... Bardzo zabawną.

Stetkiewicz, który całą tę tyradę wypowiedział jednym tchem prawie, począł się zacinać. Narazie nie miał już nic więcej o Jabłeckim do powiedzenia, a chciał jeszcze mówić dużo i jak najdłużej, aby niejako zagłuszyć pannę Jolę potokiem słów i nie pozwolić zwrócić jej uwagi na zaniedbanie garderoby. Ale bieg myśli rwał mu spostrzeżenia natury czysto fizycznej:

— Pierwsza klasa. Przecież to łydki na konkurs.

Cyniczny sposób myślenia był jednak tylko stylem, przyjętym przez Stetkiewicza i pielęgnowanym starannie dla celów kulturalno-politycznych. W gruncie rzeczy publicysta posiadał usposobienie niestłuchanie sentymentalne i tkliwe. Więc też i zachwyt jego, w pierwszym momencie może tylko czysto zmysłowy, począł się odrazu uidealniać.

— I co to za inteligencja niepospolita.

Ale trzeba było coś mówić, nagwałt coś mówić. Czekając, aż błysk natchnienia przyniesie mu nową falę wyrazów, Stetkiewicz, aby nie tracić wątku z ogniem w głosie powtórzył dwa razy:

— Bardzo zabawną miał minę... Bardzo zabawną.

— Niech się pan z zabawnych min nie wyśmiewa.

— Dlaczego?

— Bo i panu niewiele brakuje w tej chwili. Jeden ruch i kurtyna zapadła.

Z blado-niebieskich pończoch zostało tylko tyle, ile ich było widać w wycięciu pantofelek. Mało dla oczu, dość dla wyobraźni. Stetkiewicz chrząknął i poruszył się niespokojnie na krześle. Tak się czuł, jak po zażyciu proszka aspiryny.

Panna Jola zerwała się z miejsca.

— Proszę.

Była to odpowiedź na pukanie do drzwi, którego Stetkiewicz nie dosłyszał.

We drzwiach ukazała się umorusana twarzyczka jakiejś ośmioletniej dziewczynki.

— Jolu, mama cię prosi na chwilę.

— Przepraszam pana.

— Proszę panią...

Panna Jola znikła za drzwiami.

— Pewno młodsza siostrzyczka — pomyślał Stetkiewicz, uśmiechając się ironicznie. Nie był on antysemitą, ale zbyt już charakterystyczny akcent dziecka nie podobał mu się. Jola nie miała w sobie nic żydowskiego.

— No... no...

Na liście lokatorów, którą Stetkiewicz obejrzał przed wejściem na górę, ojciec Joli figurował, jako „kapitalista”. Bardzo rozciąęte

pojęcie. Panna Jola mieszkała przy rodzinie, ale posiadała rodzaj oddzielnego apartamenciku z wejściem wprost z przedpokoju. Wogóle od razu odnosiło się wrażenie, że samodzielności jej absolutnie w niczem rodzina nie krępowała. Apartament był bardzo wytwornie urządzony. Salon i sypialnia. Przez rąbek uchylonej kotary, która osłaniała drzwi, wiodące do sypialni, Stetkiewicz dostrzegł poręcz olbrzymiego francuskiego łóżka. Z miejsca, na którym siedział, łóżka nie było widać, dostrzegł je dopiero, gdy wstał i począł spacerować po salonie. Przyszła mu chęć, żeby zajrzeć do sypialni, obawiał się jednak, że panna Jola może lada chwila wejść. Ostrożnie obejrzał się ku drzwiom. Z głębi mieszkania dolatywał niewyraźny gwar głosów, jakby kłótni.

— Usłyszę, jakby szła — zdecydował się publicysta.

I przybliżywszy się szybko do drzwi, uchylił kotary.

— Taki porządek...

Łóżko było nieposłane i w buduarze, wytapetowanym na bladoniebieski kolor z bladoniebieską wiszącą lampą u sufitu, panował nieład najokropniejszy. Na podłodze leżała porozrzucana jakaś stara garderoba czy bielizna. Ale za to powietrze było przesycone wonią delikatnych, kosztownych perfum.

Ta woń przenikała z buduaru do saloniku. Stetkiewicz czuł ją przez cały czas. Przyszło

mu na myśl, że panna Jola musiała chyba całą flaszkę wylać w sypialni.

— Hm.

Cofnął się z grymasem lekkiego niesmaku na twarzy. Ale w gruncie rzeczy nie było to zupełnie szczerze. Tak wyrafinowanym, aby go miało razić nieposłane łóżko, publicysta nie był. Wyrównywał tylko tem pewne poczucie niezadowolenia z siebie samego. Wizyta nie układała się jednak tak, jak chciał i przypuszczał. Jego znajomość z panną Jolą trwała parę dni zaledwie. Po pięciu minutach rozmowy w teatrze, podczas antraktu, gdzie się poznali, publicysta od razu otrzymał zaproszenie, poparte tak powłóczyistymi spojrzeniami, że zdawało się, iż potem „tylko sięgnąć ręką“ (tymi wyrazami Stetkiewicz określał w myśli sytuację) — nie uważał tego zresztą za rzecz tak bardzo nadzwyczajną, bo przedewszystkiem cieszył się wogóle dość znacznem szczęściem u kobiet, a następnie nazwisko jego musiało imponować panie Joli.

— Stetkiewicz... Był u mnie Stetkiewicz.

Ale właśnie na wizycie nastąpiło lekkie rozczarowanie. Panna Jola u siebie w domu nie wystąpiła już w roli bezwzględnej, poddającej się każdemu skinieniu palcem czcicielki. Okazało się, że wcale nie była tak naiwną, jak Stetkiewicz przypuszczał. Raczej—zupełne przeciwieństwo naiwności. Raz i drugi publicysta nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, że go Jola

zaczyna tratować z lekką ironią. Stetkiewicz był jednym z najzjadliwszych ludzi w Warszawie, posiadał dar ciętych, błyskawicznych odpowiedzi, a tu mu jakoś zabrakło tego daru. Śmieszne, żeby on z taką Jolą nie umiał sobie dać rady.

A podobała mu się. Była przepysznie zbudowana i miała wyjątkowo białe ciało. W teatrze, kiedy tłoczył się do wyjścia, żeby wypalić papierosa, mignęła mu nagle przed oczami wysoka, szczupła postać w wyciętej sukni. I od razu uczuł elektryzujące zaciekawienie.—Co za plecy! Jak waż, prześlizgnął się między jakąś rozlirtowaną parą a poważnym, szpakowatym jegomościem o lasce na gumowem oparciu, aby wyminąć posiadaczkę owych olśniewających pleców i przyjrzeć się jej z przodu. Twarz — ładna, nic szczególnego. Banalny typ zmysłowej blondynki z podmalowanymi zlekka włosami — to najmniejsze, malowanie stało się drugą naturą — ale biust, ale figura...

Takie było pierwsze wrażenie. Zamiast pójść na papierosa, Stetkiewicz pozostał w korytarzu i dość natarczywie prześladował spojrzzeniami pociągającą postać. Nie krępowało jej to, ani nie gorszyło. W chwili, gdy trzeba było wracać do krzesel, zbliżył się do niej z ukłonem dobry znajomy Stetkiewicza, malarz Żarkowski. Zamienili parę słów wesoło. Stetkiewicz we drzwiach przytrzymał malarza za rękaw.

— Znacie ją?

— Znam.

— Możecie mnie przedstawić?

— Po tym akcie.

I podczas następnego antraktu Stetkiewicz poznał pannę Jolę Steinerównę. Od malarza, z którym razem powracali z teatru i wstąpili na chwilę na herbatę, dowiedział się, że była to osobistość znana w sferach artystyczno-literackich.

— Zdolna dziewczyna, ale się...

Malarz zachłusnął się herbatą. Stetkiewicz oczekiwał jakiegoś obraźliwego określenia...

— Ale się rozprasza—kończył malarz, odzyskawszy głos. — A talent, stanowczo ma... Widziałem jej szkice... Gdyby się chciała wziąć do roboty, mogłoby z niej coś być.

Stetkiewicza to wszystko mniej narazie obchodziło. Kto wie, czy zamiast „rozprasza“, nie wolałby być usłyszeć swojego krzywdzącego kobietę określenia. Z uścisku dłoni, jaki zamienili z panną Jolą na pożegnanie, pozostało mu niestychanie miłe, aksamitne wrażenie. Ręka tak jakoś lgnęła do tej dłoni, nie chciało jej się odrywać. I, powróciwszy do domu, musiał sobie powiedzieć tym potocznym stylem, jaki zazwyczaj mu służył do określania stanów psychicznych, że go „wzięło“. Nie przewidywał jednak najmniejszych trudności.

Gwar głosów, który dolatywał skądś z poza trzecich drzwi, nagle zbliżył się i wzmógł.

Stetkiewicz postąpił wyraźnie wyraz „złodziejstwo“, potem szybkie kroki paru osób i nagle, już pod samymi drzwiami, ktoś trzykrotnie powtórzył zachrypłym basem:

— To jest złodziejstwo, złodziejstwo, złodziejstwo!

Publicystę zdjął lekki niepokój. — Tegoby jeszcze brakowało, żeby w jaką awanturę się wplątało... Drzwi otworzyły się nagle i w progu ukazał się wysoki mężczyzna z rozczwienioną twarzą, na której malował się wyraz najwyższego oburzenia. Ubrany był w mundur konduktora kolejowego. Stetkiewicz cofnął się machinalnie krok w tył i stanął w obronnej pozycji... Ale jakaś niewidzialna dłoń przytrzymała w tej chwili rozjuszonego konduktora, rozległ się szept: — „Nie tu, nie tu...“ i drzwi zatrzaśnięto.

Zajście to odbiło się na duszy Stetkiewicza chwilowym, przejściowym niesmakiem. Przyjść z wizytą i trafić na awanturę, w której ktoś gospodarstwu, oczywiście, robi zarzuty złodziejstwa... Hm... Coprawda, konduktor miał minę pijaczyny i to osłabiało doniosłość jego rewelacji, ale zawsze... ale zawsze...

Machinalnie otworzył jedną z książek, leżących na stole. I wpadła mu w oczy dedykacja znanego autora. To poprawiło wrażenie.

Równocześnie panna Jola ukazała się z powrotem w pokoju.

— Przepraszam pana, że tak długo kazałam na siebie czekać.

— Pani...

Stetkiewicz bystrem spojrzeniem obrzucił twarz panny Joli. I nie dostrzegł najmniejszej zmiany. Była spokojna, pogodna, uśmiechnięta.

— Na czym stanęliśmy?

— Nie pamiętam.

— Krótką ma pan pamięć, jak widzę.

Lekko ironiczny ton panny Joli zniecierpliwiał nagle Stetkiewicza. Odparł złośliwie:

— Tu wpadł jakiś konduktor do pokoju... Tak nagle. I to zmieniło mi zupełnie bieg myśli.

— Ach, ten konduktor — westchnęła panna Jola. Biedak. To obłąkany człowiek.

— Obłąkany?

— No, oczywiście. Nie słyszał pan, jak wykrzykiwał: „Złodziejstwo“?

Dla wychowanego w sceptycznych zasadach Stetkiewicza fakt, że ktoś komu zarzucał złodziejstwo, sam przez się nie był jeszcze dostatecznym dowodem obłąkania. Ale znów zmienił mu się nagle bieg myśli. Panna Jola, siadając, przeciągnęła się zlekka w tył i w tym ruchu biust jej nabrał takiej plastyki, że trudno było myśleć o obłąkanych konduktorach. Stetkiewicz zerwał się szybko ze swego miejsca i usiadł obok niej na kanapie.

Ruch jego był tak gwałtowny, że panna Jola aż krzyknęła zlekka.

— Co się panu stało?

— Przesiadłem się.

— Widzę... widzę... Ale ma pan oryginalny sposób zmieniania miejsca. Myślałam, że się pan chce rzucić na mnie.

Dalekie od prawdy to nie było. Stetkiewicz, siadając obok panny Joli, miał pewne agresywne cele na względzie. Ponieważ na gruncie rozmowy jego dar uwodzicielski okazał się, mimo wszystko, niewystarczającym i panna Jola zyskiwała nad nim przewagę, więc chciał ratować sytuację brutalnością. Był to bunt zadraśniętej ambicji.

— Ha... czekajże, moja panno.

Ale, choć dwa razy powtórzył tę pogroźkę w myśli, obezwładniała go jakaś nieokreślona nieśmiałość. Czuł, że to nie miało sensu. Panna Jola nie wyglądała na istotę, odznaczającą się jakąś specjalną surowością obyczajów i nie obraziłaby się, gdyby ją ujął za rękę, czy też położył jej rękę na kolanie. To drugie zwłaszcza bardziej odpowiadało jego pragnieniom wewnętrznym. Ale tak ni stąd, ni zowąd? Wydało mu się, że koniecznie trzeba było ten gest uzasadnić jakimś słownym wstępem.

Ale czem można uzasadnić potrzebę położenia ręki na cudzem kolanie?

Publicysta odezwał się po chwili:

— Bardzo mi przy pani dobrze...

Był w tem akcent liryczny, ale emocja sprawiła, że Stetkiewiczowi głos zabrzmiał tro-

chę fałszywie i wypadło tak, jakgdyby miał chrypkę.

Panna Jola parsknęła śmiechem.

— Z czego się pani śmieje?

— Tak pan to zabawnie powiedział...

— Zabawnie?

— Niech pan jeszcze raz powtórzy, ale takim samym tonem.

— Pani kpi sobie ze mnie...

Chwila ciszy i naraz krótki, zdławiony okrzyk. Ludzie niezdecydowani wpadają często gwałtownie z jednej ostateczności w drugą. To samo było ze Stetkiewiczem. Pod wpływem urazy zagrał w nim temperament... I nagle, zapominając o wszystkich wstępach słownych, pochwyił pannę Jolę wpół, starając się pocałować ją w usta.

Przez chwilę trwało to przedpocałunkowe zmaganie, specjalny rodzaj walki, w którym podbródki odgrywają największą rolę. Pannie Joli udało się wreszcie uwolnić z objęć publicysty.

— Czy pan oszalał?

— Nie.

— Stanowczo powinnam się na pana pogniewać.

Ponieważ jednak tę potrzebę gniewu panna Jola odczuwała tylko z punktu widzenia obojętności etycznej, więc publicysta zdał sobie sprawę, że nic straconego nie było.

— Pogniewać? Za co?

— Jakto? Rzuca się pan na mnie, jak rozjuszone zwierzę.

— Pani, co za porównanie?

— Co za dzień jakiś... Przed chwilą ten obłąkany konduktor... teraz pan...

— Czy konduktor także rzucał się na panią?

— Nie, on był lepiej wychowany.

— I na najlepiej wychowanych ludzi przychodzą chwile, w których niepodobna oprzeć się czyjemuś urokowi.

— Cicho...

— Co?

— Zdaje mi się, że ktoś się o mnie pyta.

— Gość? Niech go pani nie przyjmuje — szepnął gorączkowo Stetkiewicz, przysuwając się do panny Joli.

W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi.

— Proszę! — krzyknęła panna Jola, obzucając złośliwym spojrzeniem Stetkiewicza.

Drzwi się otworzyły i w progu ukazał się Jabłecki.

— Ach, to pan!

— To pan.

— Państwo się znają?

— Państwo się znacie?

IV.

Jabłecki trzymał się swojego programu. Punktualnie o czwartej, po śniadaniu i paru czarnych kawach wyszedł z kawiarni z zamiarem udania się do panny Joli.

Na ulicy uczuł jednak, że ta fantazja, z jaką był powziął postanowienie odnowienia erotycznych z Jolą stosunków, opuszcza go powoli. Dobre chęci z jego strony nie ulegały najmniejszemu zastrzeżeniu, ale nie wiadomo było, jak tę wyciągniętą ku niej dłoń zgody przyjmie Jola. Bądź co bądź, zaniedbał ją brutalnie. Mogła być i miała nawet zupełne prawo się obrazić.

A nuż go poprostu „wyleje“?

Wielce prawdopodobna ta hipoteza przemawiała Jabłeckiego trwożą.

Przed tygodniem jeszcze byłby się zgodził bez wahania, aby nie widywać Joli do końca życia. Tak mu się wydawało przynajmniej. I to było złudzenie. Tęsknota do dawnej kochanki wybuchła w nim nagle z taką siłą, że

nie umiał sobie wyobrazić nawet, coby było gdyby Jola wzgardziła nim teraz.

Nad tym stanem uczuć, napozór zagadkowym, Jabłecki dużo myślał przy czarnej kawie i udało mu się rozwikłać zagadkę swego postępowania. Trudniej jednak przedstawiała się sprawa wytłómaczenia tego wszystkiego Joli.

Bo postępowanie Jabłeckiego tak wynikało konsekwentnie z całej jego przeszłości psychicznej, że aby je uczynić zrozumiałem i jasnym, musiałby opowiedzieć historię swoich przeżyć uczuciowych od najdawniejszych czasów, od dzieciństwa.

Gdyby to można było jakimś telepatycznym sposobem, bez słów, przenieść do świadomości panny Joli, rzecz by się uprościła znakomicie. Ale to wszystko trzeba było powiedzieć.

Jabłecki miał lat czterdzieści dwa. I od jakiegoś dwudziestego piątego roku życia aż do ostatnich czasów żył w ciągłym cichem rozgoryczeniu, uważając się za człowieka zmarnowanego.

To poczucie upośledzenia, jakie w nim tkwiło, było tem boleśniesz, że nie mógł jego winy sobie przypisać. Składało się to na mnóstwo przyczyn politycznych, geograficznych, społecznych, rodzinnych, cała misterna sieć, w którą oplątało go życie. Wobec tego nie pozostawało mu nic innego, jak zrezygnować.

Najsmutniejszy okres jego życia wypadł na lata między rewolucją a wojną. Za młodu, nie skończywszy gimnazjum, Jabłecki wyjechał za granicę, na politechnikę, z trzydziestoma rublami w kieszeni, mając zapewnionych piętnaście rubli miesięcznie. Studya te trwały rok, poczem powrócił do Warszawy i rozpoczęło się wegetowanie na skromnej posiadce. Szarzyzną życia starał się urozmaicić sobie poszukiwaniem artystycznych towarzystw. W tych kołach poznał przyszłą swoją żonę, wówczas artystkę dramatyczną w jednym z prywatnych teatrów. Pani Maryla po ślubie porzuciła teatr i wnet potem zaczęły się obustronne małżeńskie rozczarowania. W rozgoryczonej fantazyi Jabłeckiego wciąż błąkały się marzenia o jakiejś wybranej kobiecie. Wreszcie poznał Jolę i wydało mu się, że ona zasyci jego tęsknotę.

Ale przyszła wojna i zapomniał narazie o Joli. Uczuł, że nastał moment, w którym los mógł mu wynagrodzić wszystkie krzywdy. Należało się tylko wybić na wielkiej arenie życia.

Idąc do Joli, Jabłecki wszystkiego mógł się spodziewać, tylko nie tego, aby tam zastać Stetkiewicza. Ujrawszy publicystę, zgłupiał. Po pierwszych wykrzyknikach wszyscy umilkli, jakby zakłopotani.

Jola wreszcie odezwała się pierwsza:

— Więc pan żyje?

Ton jej głosu był przyjazny i to dodało Jabłeckiemu fantazyi.

— Jak pani widzi.

— Co się z panem działo?

Jabłeczki westchnął melancholijnie.

— O tem by trzeba długo mówić.

— Widzę, że państwo się dawno znają — wtrącił zgryźliwie dziennikarz.

— Owszem, dawno — uśmiechnęła się Jola. — Pamięta pan nasze poznanie? — zwróciła się do Jabłeczki.

— To było zabawne.

— Trzeba panu wiedzieć, — ciągnęła Jola, obdarzając uśmiechem z kolei publicystę — że naszą znajomość z panem Józefem zawdzięczamy podłym warszawskim windom. Wsiedliśmy razem, on, jako mężczyzna, z galanterią nacisnął guzik, jedziemy... naraz — halt... Winda staje między jednym piętrem a drugim. Miła sytuacja, co?

— Dla mnie była bardzo miła.

— Ee, zdaje się, że wówczas nie. Przy najmniej minę miał pan dość, jakby to powiedzieć...

— Najlepiej szczerze.

— Bądźmy szczerzy. Bardzo głupią. Odnaleźliśmy jakiś dzwonek na alarm. Dzwonimy, dzwonimy... Nic.

— I długo państwo tak przesiedzieli?

— Dwie godziny. Nie było rady, musieliśmy zacząć flirtować.

Jola i Jabłeczki wybuchnęli wesołym śmiechem. Stetkiewicz roześmiał się również, ale

niewyraźnie. To najście Jabłeczki nie w porę doprowadziło go do pasyi. I odrazu się zawziął:

— Czekał, przetrzymam cię, choćbym miał do wieczora siedzieć.

Identycznie takie same postanowienie powziął też i Jabłeczki. A nawet był w uczuciach bezwzględniejszy. Uważał Stetkiewicza za natręta, który powinien był odrazu się wynieść. Oczywiście, wtedy dopiero zaczną rozmawiać z Jolą naprawdę. To jej żartobliwe powitanie było nienaturalne.

Rozmowa nie kleiła się jakoś. Panna Jola umilkła. Stetkiewicz i Jabłeczki obrzucali się nawzajem niechętnymi spojrzeniami.

— Doczekaliśmy się wielkich czasów — odezwał się po chwili sentencyjnie Jabłeczki.

W duszy myślał:

— Na co to bydlę czeka jeszcze.

Jola przerwała mu gwałtownie:

— Panie, tylko nie o wojnie...

— Niewolno?

— Absolutnie niewolno. Wszystkim znajomym, którzy próg moich apartamentów przekraczają, zapowiadam uroczyście: o wojnie ani słowa.

— A czy dziś można mówić o czem innym?

— Można, można. Tylko was wszystkich jakiś szal barbarzyństwa opętał. I czem wy się upajacie?

— Taka wielka rzecz.

— Dzika, wstrętna. Dlaczegoż te czasy, kiedy się tworzy sztuka, cywilizacja, kultura, kiedy powstają odkrycia, wynalazki, wy nazywacie małymi czasami, a kiedy się ludzie po-
bijają, to są odrazu wielkie czasy?

Joła była szczerze podniecona.

— Więc przynajmniej tu, u siebie, chcę mieć, czy ja wiem... świątynię, może to za górnolotne słowo... Chcę mieć swój kulturalny ką-
cik, dokąd nie dolatywały by echa barbarzyń-
stwa.

Jabłecki spojrzał na Jołę niemile zdziwiony.

— Przecież tu o naszą przyszłość chodzi.

— Czy pan jest naprawdę tak naiwny?

— Jakto?

— Potrafi się pan łudzić.

Jabłecki nic nie odpowiedział. Poglądy Joli wywołały w nim jakieś nieokreślone uczu-
cie, wahające się między niesmakiem a rozczarowaniem. A tak mu się podobała. Teraz wła-
śnie, po kikomiesięcznym niewidzeniu.

Stetkiewicz przysłuchiwał się tej rozmowie w milczeniu z oznakami widocznego zniecier-
pliwienia.

— Pan Jabłecki entuzjazmuje się wojną—
wycedził po chwili.

Jabłecki nie uznał za stosowne odpowie-
dzieć na tę uwagę, w której lekko ironicznym
tonie było pewnego rodzaju dla jego entuzjaz-
mu lekceważenie.

Na twarzy panny Joli poczęło się odma-
lowywać znużenie. Wizyta nużyła ją widocz-
nie. Jabłecki to spostrzegł i ogarnęło go obu-
rzenie na Stetkiewicza.

— Gbur... Dokąd on tu będzie siedział?

Publicysta jednak nie zdradzał najmniej-
szego zamiaru odejścia. Sądząc z jego skwa-
szonej miny, można było przypuścić, że nie jest
mu zbyt wesoło, ale, mimo to, siedział. Minął
tak kwadrans. pół godziny, godzina. Rozmowa
toczyła się urywanymi półsłówkami. Wobec
wyraźnego zakazu Joli, aby nie poruszać te-
matu wojny, Jabłecki, który żył wyłącznie i tyl-
ko polityką, nie miał o czym mówić. Upor-
czywość Stetkiewicza zaczynała budzić w nim
podejrzenia. Gdyby Stetkiewicz był tylko zwy-
kłym gościem, toć wyniósłby się już dawno.
A właśnie widocznym było, że dlatego się za-
siaduje, że chce jeszcze sam na sam z Jołą
pozostać. Jabłecki bacznie ich obserwował, sta-
rając się wysledzić, czy nie dostrzeże jakich
porozumiewawczych spojrzeń.

Panna Joła wstała z miejsca.

— Moi panowie, ja w stosunkach z ludź-
mi mam tę zaletę, że jestem bardzo szczerą.

— Wstęp do tego, że mamy się wynieść.

— Umie pan czytać w myślach.

Jabłecki z furią spojrzał na swego współ-
zawodnika. Nie ulegało już najmniejszej kwe-
sty, że Stetkiewicz był jego współzawodnikiem.

I to tłumaczyło wiele rzeczy. Kto wie, czy intryga publicysty nie była poprostu zemstą Joli.

— Aaa...

Jabłecki wyprostował się i zmierzył Jolę i Stetkiewicza wyzywającym spojrzeniem.

— Może pani rozkaz tylko do mnie się stosuje?

— Dlaczego?

— Mam wrażenie, że przerwałem państwu jakąś miłą rozmowę.

— Nie, nie, nie... Niechżeż pan o mnie nie zapomina.

Zimny, obojętny uścisk dłoni, Jabłeckiego uraziło to niemile, było poniekąd potwierdzeniem jego przypuszczeń. Ano, sam sobie winien. Pan Stetkiewicz zdążył się już tu zagospodarować. Wyszli razem na ulicę. Stetkiewicz patrzył na niego, jak wilk.

— Dawno zna pan pannę Jolę?

— Parę miesięcy. A pan?

— Ja od paru dni zaledwie.

— Prędko ją zawojował—pomyślał Jabłecki zgryźliwie. Parę kroków uszli w milczeniu.

— Miła osoba.

— Bardzo miła.

— Inteligentna.

— Bardzo inteligentna.

Jabłeckiego drażniło towarzystwo Stetkiewicza i właściwie chciał się z nim rozstać. Ale coś go powstrzymywało od pożegnania, jakieś nieokreślone zaciekawienie, że w rozmowie uda

mu się może wpaść na wyraźniejsze ślady tego, co podejrzewał.

Stetkiewicz odezwał się po chwili:

— Kiedyż się znów zbierzemy?

— Ha, nie myślałem, coprawda, o tem.

— Zawiadomi mnie pan?

— A... ma się rozumieć.

— Dziwi mnie jednak stanowisko panny Joli. Sądziłem, że wojna ją porwie.

— Sądzi pan, że to szczerze?

— Aha, chce mnie wybać—przemknęło Jabłeckiemu przez myśl.

V.

Jabłecki powrócił do domu skwaszony. Dzień mu się nie udał. W przykry sposób zastrygowała go znajomość panny Joli ze Stetkiewiczem i zaczynało się w nim budzić podejrzenie, czy nie w tem należało się doszukiwać przyczyny intrygi publicysty. Może to była po prostu zemsta Joli?

Pani Maryli nie było w domu. Nieobecność małżonki ucieszyła Jabłeckiego. Był zgnębiony i potrzebował ciszy i samotności. Położył się na kanapie w salonie i przymknął oczy.

— Jeżeli to była zemsta Joli, to znaczy, że z Jolą już skończone...

Myśl ta wprowadziła go w najbardziej nieprzyjemny stan ducha, bo złości, skierowanej przeciwko samemu sobie. Tak zmarnować taki miły stosunek! Oczywiście, miejsce jego przy Joli zajął Stetkiewicz... Dziwna swoją drogą kobieta, żeby się chcieć wdawać z takim bałwanem... Ale cóż?

Przykre te myśli Jabłeckiego przerwał na-

gle odgłos dzwonka u drzwi wejściowych. Ktoś obcy. Maryla dzwoniła inaczej.

— Marysiu!

Chciał wydać służącej polecenie, by powiedziała, że nikogo niema w domu. Ale Marysia, która wogóle na wszystkie dzwonki reagowała bardzo słabo, tym razem pobiegła otworzyć drzwi z nieoczekiwanym pośpiechem. I z przedpokoju donośnym głosem zameldowała Jabłeckiemu gościa.

— Proszę pana... przyszedł pan Twarkowski.

— A żeby cię dyabli! — zaklął zcicha Jabłecki, zrywając się z kanapy. Twarkowski był kuzynem pani Maryli. Wizyty składał im rzadko, co prawda, ale już jak przyszedł, to tę rzadkość odwiedzin starał się wynagrodzić długotrwałością. Więc i teraz Jabłecki mógł się spodziewać, że przed północą Twarkowskiego się nie pozbędzie.

Nim zdążył zerwać się z kanapy i włożyć marynarkę, Twarkowski już był w salonie.

— Spałeś? Przeszkodziłem ci?

— Nie... nie...

— A gdzie Maryla?

— Wyszła, ale lada moment powinna wrócić...

— Hm... — westchnął Twarkowski.

Ktoś, ktoby go nie znał, mógłby sądzić z tego westchnienia, że nieobecność kuzynki

bardzo go zmartwiła. Byłoby to jednak wrażenie najzupełniej fałszywe. Twarkowski miał zwyczaj co pewien czas w rozmowie wzdychać, niezależnie od tego, o czym mówił, i od humoru, w jakim się znajdował.

Był to człowiek wysoki, bardzo chudy, z małemi wąsikami pod nieproporcjonalnie wielkim, w stosunku do twarzy, nosem. Zawsze chodził czarno ubrany i zawsze był po kimś w żalobie. I teraz, po chwili milczenia, odezwał się smutnym głosem:

— Wojna zmiata ludzi.

— Ho, ho — potwierdził Jabłecki.

— Ja nie mówię o tych, co w polu giną.

— A o kim?

— Z wrażenia ludzie umierają. Wczoraj właśnie dostałem wiadomość, że pani Korzeńska umarła.

Jabłecki pierwszy raz w życiu słyszał o pani Korzeńskiej, ale odparł z akcentem przykrego zdziwienia w głosie:

— Hm...

— Ciotka Maryli—dorzucił po chwili Twarkowski.

— Nie może być...

— Maryla nie wspominała ci o niej?

— Nie. To bliska krewna Maryli?

— Bliska nie bliska. Powiedziałem ciotka, bo u nas niema, niestety, określenia na ten stopień pokrewieństwa. Ale właściwie to jest

dalsza krewna, dalsza... W Wilnie umarła. Oni się przed kilkunastu laty przenieśli do Wilna.

— To może Maryla nie знаła jej wcale.

— E... nie. W dzieciństwie musiała ją widywać.

— W dzieciństwie — pomyślał pan Józef nie bez pewnego rozgoryczenia. Wiadomość o śmierci pani Korzeńskiej zaciekała go narazie. Pani Maryla wciąż żyła nadzieją jakiegoś spadku i choć Jabłecki zapatrywał się na to sceptycznie, jednak niepostrzeżenie trochę tej nadziei i jemu przesączyło się w duszę. No, ale skoro to była dalsza krewna, której Maryla nie znała prawie wcale...

— Nie stara jeszcze kobieta — westchnął Twarkowski.

I naraz, jakgdyby odgadując, co się działo w duszy Jabłeckiego, odezwał się tonem otuchy:

— Po hrabinie Maryla odziedziczy.

Jabłecki machnął beznadziejnie ręką.

Był czas, że pani Maryla trzech zdań nie potrafiła powiedzieć, aby nie wtrącić: „Moja ciotka, hrabina Pełtwiczowa“. I już na nazwę prawdziwego kunsztu mogła zasługiwać jej umiejętność takiego kojarzenia myśli, że owa ciotka zawsze wypływała w rozmowach w sposób naturalny i napozór najzupełniej przypadkowy. Pani Maryla poczuwała się przez nią do pokrewieństwa z całą arystokracją polską. Dość było wymienić pierwsze-lepsze utytułowane nazwisko, aby usłyszeć:

— To nasi krewni, przez Pełtwiczów.

Z niewinnej tej manii wyleczył ją trochę mąż, który nie lubił się Pełtwiczami przechwalać, nie przez jakąś demokratyczną zajadłość, ale, poprostu, ponieważ wyraźniej od żony zdawał sobie sprawę, że zbyt wielu ludzi jeszcze w Warszawie pamiętało hrabinę Anastazję Pełtwiczową jako baletnicę, Nastkę Kobusińską. Oczywiście, z tej drażliwości Jabłeckiego nie wynikało, aby i on sam nie miał się od czasu do czasu hrabiowskim tytułem w rodzinie pochwalić, ale czynił to tylko w kołach młodszych znajomych, co do których wiedział napewno, że się już nie interesowali dawnymi plotkami arystokratyczno-baletowymi. I od żony nie wymagał też bynajmniej, aby się ciotki wypierała przed ludźmi, zalecał jej tylko pewną przezorność w operowaniu parantelą.

Za młodych lat pani Maryli to samo zalecano jej, w domu, co prawda, z innych względów. Ciotka Nastka uchodziła w rodzinie za zbląkaną istotę, którą można było co najwyżej tolerować przez litość. Pani Maryla widywała ją zaledwie dwa lub trzy razy do roku w ściśle zamkniętym rodzinnym kółku. Przy gościach nie wolno było nawet o niej wspominać.

Oczywiście, po wyjściu ciotki Nastki za mąż stosunki te uległy zasadniczej i gwałtownej przemianie. Małżeństwo jej wywołało piorunującą sensację w rodzinie, ale większą jeszcze w balecie, gdzie panna Kobusińska nie cieszyła

się poważaniem. Uważano ją za istotę niespełna rozumu. Była to skromna, zahukana baletnica, która posiadała tylko jeden szczególny dar — zrażania do siebie zamożnych ludzi. To też żyła przeważnie w towarzystwie cyganeryi artystyczno-literackiej. Marzeniem jej było przerwienie się do dramatu i wечно studyowała jakieś role, ale nie posiadała ani najmniejszego talentu w tym kierunku, ani, co ważniejsze, nie umiała znaleźć sobie wpływowych protektorów. Zato z bezgraniczną naiwnością gotowa była zawsze darzyć zaufaniem najrozmaitszych protektorów niewpływowych, przeważnie początkujących dziennikarzy, którzy od niej rozpoczęli kariery zakulisowe. Stało się to wkońcu przysłowiowe, a ponieważ ubóstwo nie wyklucza snobizmu, więc ta opinia panny Kobusińskiej zaczęła nawet zrażać do niej młodzież. Ona sama, niesłuchanie z natury sentymentalna, kładła w każdy przelotny stosunek bardzo wiele uczucia i nawet trzy razy w życiu pod wpływem zawodów miłosnych próbowała się truc. Za pierwszym razem wywarło to pewnego rodzaju wrażenie, za drugim mniejsze, a kiedy trzeci raz rozeszła się w sferach teatralnych i zblizonych do teatru wiadomość, że „Kobusińska znów się chciała otruć“, potraktowano to już w sposób cyniczno-humorystyczny.

I naraz już nietylko w tych sferach, ale po całym mieście gruchnęła nowina:

— Kobusińska wychodzi za mąż za hrabiego Pełtwicza.

Tego nikt nie mógł pojąć. Wprawdzie Pełtwicz słynął z najrozmaitszych ekscentrycznych wybryków, ale żeby się z Kobusińską żenić, naprawdę żenić... To już przekraczało granice dopuszczalnej ekscentryczności. Zbytnią urodą Nastka Kobusińska nie odznaczała się nigdy, uroku młodości nie posiadała już dawno, więc co?

Na to pytanie nikt nie umiał odpowiedzieć.

Do ostatniej chwili zresztą całą tę nowinę uważano za plotkę. Ale plotka pewnego pięknego poranku stała się faktem. Ślub się odbył. I panna Nastka Kobusińska została hrabiną Pełtwiczową.

Na szczęście, zaintrygowana opinia niedługo potrzebowała czekać na wyjaśnienie zagadki. Okazało się, że wszystkie ekscentryczności hrabiego Pełtwicza były najpospolitszym początkiem postępującego paraliżu. Po ślubie choroba rozwinęła się gwałtownie i w rok potem pani hrabina została wdową. Jednym ze znanych dziwactw Pełtwicza było to, że w ostatnich latach życia cały majątek nosił w gotowni przy sobie, nie dowierzając żadnej instytucji finansowej. Ta mania prześladowcza zaoszczędziła hrabinie Pełtwiczowej trudności spadkowych.

Cały okres małżeństwa ciotka Nastka spędziła przeważnie za granicą i do rodziny zbli-

żyła się już jako wdowa. Od tej pory została też zaawansowana na ciotkę Anastazyę. Po śmierci rodziców pani Maryli ciotka Anastazyą całą swą czułość przeniósła na siostrzenicę. Niestety jednak, przy wielu zaletach charakteru posiadała też jedną wielką wadę. Była to osoba niesłychanie kapryśna. Stosunek jej do Jabłeckich ulegał ciągłym wahaniom. Po okresie niesłychanej czułości bez najmniejszego powodu następowało oziębienie.

Gdyby tylko o uczucie chodziło, Jabłeccy znosiliby to zapewne ze stoicyzmem, ale w takich razach kasa ciotki Anastazyi była zamknięta beznadziejnie.

I niestety stosunki ciotki Anastazyi z Jabłeckimi znajdowały się obecnie w takiej zimnej fazie właśnie.

— Czy Maryla często bywa u ciotki?—
odezwał się po chwili Twarkowski.

— Nie — zbył go Jabłeczki lakonicznym mruknięciem. I zadzwonił na służącą.

— Zapal-no lampę.

— Po co?—zaprotestował Twarkowski.

— Pociemku będziemy siedzieli?

— Rozmawiać można i pociemku, a czasy są takie, że na każdym drobiazgu trzeba oszczędzać.

— Nie przesadzajmy.

— Ja nie przesadzam. Ale słyszałem dziś, i to od człowieka, któremu mam prawo wierzyć,

że nafty i węgla niedługo zupełnie w Warszawie zabraknie.

— Bajki! — wybuchną Jabłeczki.

Nic go tak nie drażniło, jak te alarmujące pogłoski, które groziły mu zamąceniem tego miłego stanu ducha, w jakim żył od początku wojny.

Twarkowski nie upierał się przy swem twierdzeniu.

— Bajki... Hm... Dobrze by to było, żeby to były bajki.

Na tem rozmowa się urwała. Obaj kuzyni niewiele mieli sobie do powiedzenia, a z racji kuzynostwa czuli się zwolnieni od obowiązku wzajemnego zabawiania się rozmową. Twarkowski palił w milczeniu cygaro, Jabłeczki spacerował z kąta w kąt po pokoju, myśląc o Joli.

Koło ósmej wieczorem pani Maryla powróciła do domu. Twarkowski oznajmił jej odrazu o śmierci Korzeńskiej, co jednak na pani Maryli wywarło słabe wrażenie. Do męża nie odzywała się prawie wcale. Była widocznie urażona jeszcze po rannej scenie.

Przy kolacyi Twarkowski odezwał się uroczystym tonem:

— Ja tu przyszedłem, żeby z wami o pewnej sprawie pomówić.

— O czem?—mruknął Jabłeczki, spoglądając ze znużeniem na Twarkowskiego.

Twarkowski zwrócił się do pani Maryli, jakgdyby spodziewając się znaleźć u niej więcej zaciekawienia.

— Wszyscy teraz zajmują się polityką.

— Aż zanadto — odparła pani Maryla z przekąsem.

— Nie powiedziałbym... To jest konieczne. I właśnie chciałem namówić twego męża, żebyśmy razem wstąpili do jakiej partyi.

Pani Maryla roześmiała się zjadliwie.

— I ciebie już ta mania ogarnęła?

— To nie jest mania.

— Mój mąż zresztą należy już do jakiejś partyi.

Twarkowski spojrzał ciekawie na Jabłeczkę.

— Do jakiej?

— To nie jest jeszcze stronnictwo zorganizowane.

— Ach, tworzy się nowe?

— Tak.

— Nowe... nowe... — mruknął zamyślonym tonem Twarkowski. — Zapewne, i nowe stronnictwo może się rozwinąć... Ale czy nie pewniej by było zapisać się do któregoś z już istniejących.

— Nie rozumiem cię...

— W tej chwili.

Twarkowski popił herbaty i ciągnął z chytym uśmieszkiem:

— O to chodzi, żebyśmy się porozumieli. Rzecz jest taka. Po wojnie stosunki u nas najzupełniej się zmieniają.

— Przypuśćmy.

— Nie przypuśćmy, tylko tak.

Stanowczy ton Twarkowskiego nie podobał się pani Maryli, która wzruszyła ramionami i odezwała się ze sceptycznym uśmiechem:

— Chciałbym widzieć te zmiany.

— Wszyscy zobaczymy — odparł Twarkowski z lekkim zniecierpliwieniem w głosie. — A teraz o co innego chodzi mi narazie. Jak zmian nie będzie, ha, trudno, ale jak będą, trzeba być na nie przygotowanym. Nieprawdaż?

— Zapewne — odezwał się poważnie Jabłecki, którego przemówienie kuzyna poczęło zaciekawiać.

— Potrzeba będzie ludzi na stanowiska.

— To nie ulega kwestyi.

— Ale stanowisko samo do człowieka nie przyjdzie, człowiek musi iść do stanowiska.

Pani Maryla znów roześmiała się ironicznie.

— Wy już o posadach myślicie.

— Marylu! — zgromił ją mąż.

Twarkowski również zmierzył kuzynkę surowem, pełnem wyrzutu spojrzeniem.

— Jeśli pragniesz, żeby Józef całe życie pozostał na swej posiadzie.

Ten argument trafił pani Maryli do przekonania. Spowaźniała.

— Coś dostać po wojnie będzie łatwo — ciągnął Twarkowski, ale trzeba będzie mieć poza sobą poparcie jakiegoś wpływowego stronnictwa.

— Ale jakie to będą posady? — przerwała pani Maryla, której praktyczny kobiecy umysł nie znosił ogólników.

— Jakie, jakie... rozmaite.

— Rozmaite są i teraz.

— W administracyi. No, na przykład... na przykład... — ciągnął Twarkowski z lekkim wahaniem w głosie, jakgdyby nie chcąc zbyt szczerze z marzeń swych się zwierzać... No, gdyby mnie zrobili gdzie naczelnikiem powiatu, bardzo byłbym rad... Lubię wiejskie życie, Warszawa mnie nuży...

Twarkowski umilkł nagle i szybko obrzucił oboje Jabłeckich bystrem, trochę zaniepokojonem spojrzeniem. Wydało mu się widocznie, że zbyt szczerze się wypowiedział.

Ale pani Maryla była zaciekawiona. Spojrzała na kuzyna już bez cienia ironii w oczach.

— I sądzisz, że mógłbyś taką posiadę otrzymać?

— Oczywiście, o ile wszystko szczęśliwie się ułoży.

— Ale przypuśćmy, że się ułoży. Jakież to stronnictwo mogłoby was poprzeć. Ja się mało znam na tem.

— W tem sęk — westchnął Twarkowski.

— Jakto sęk?

— Najtrudniej przewidzieć, jak się stonunki ułożą po wojnie i które stronnictwo będzie miało największe wpływy. Ja już nad tem od paru miesięcy rozmyślam.

— Jakież są partie... Realści, endecy, postępową demokracją, socjaliści...

— Socjaliści się nie liczą.

— No, ażebyście się na wszelki wypadek do wszystkich odrazu zapisali.

Jabłeczki wzruszył ramionami i wydał z siebie jakiś nieokreślony pisk, coś między śmiechem a kaszlnięciem. Żona zmierzyła go wyniosłym a zarazem pogardliwym spojrzeniem.

— Co to ma znaczyć?

— Marylo, zastanów się, co ty wygadujesz. Przecież przynależność do stronnictwa jest kwestją przekonań, tego, co mam tu! — zawołał, wskazując ręką na piersi.

Ale ten ruch w kierunku serca, przy zbyt ogólnikowej może stylizacji zdania, pani Maryla wytłomaczyła sobie, jako ruch w kierunku pugilaresu.

— Właśnie, że tam nic nie masz — odparła złośliwie. — A przydałoby ci się.

I z manifestacyjnym lekceważeniem dla autorytetu męża w sprawach politycznych odwróciła się do Twarkowskiego.

— Czy do paru stronnictw nie można należeć?

Twarkowski uśmiechnął się pobłaźliwie.

— No nie.

— A jakież stronnictwo jest dziś najpoważniejsze?

— Tu nie chodzi o dziś, tylko o to, co będzie po wojnie.

— Z wami się dogadać! — wybuchnęła pani Maryla. — Jak macie zamiar tak się brać do rzeczy, to wojna dziesięć razy się skończy, a wy wciąż jeszcze będziecie się naradzali, do jakiego stronnictwa wstąpić. Jakie są stronnictwa? — zwróciła się energicznie do kuzyna.

Twarkowskiemu zachęty nie trzeba było dwa razy powtarzać. Momentalnie wyliczył pani Maryli wszystkie partie polityczne polskie, w zwięzłych słowach streścił program każdej i następnie zaczęło się rozważanie, które z tych stronnictw miało najwięcej danych po temu, aby po wojnie zająć przodujące stanowisko. Pani Maryla okazała się uczenicą pojętną. Aczkolwiek były to jej pierwsze kroki na polu orientacji politycznych, jednakże niektóre jej uwagi były bardzo bystre. Twarkowskiego wprawiało to w zachwyt.

— Ależ z ciebie jest materyał na polityka! — wykrzykiwał ze szczerym entuzjazmem w głosie.

Pani Maryla tryumfowała.

— Widzicie.

I po chwili, spoglądając pogardliwie na męża, dodała z przekąsem:

— On uważał, że ze mną nawet nie warto o tych rzeczach mówić.

— Ależ Marylu.

Twarkowski również spojrział na Jabłeckiego z wyrzutem. I, jakgdyby chcąc ten brak uznania dla swej kuzynki ze strony jej męża wynagrodzić własnym zachwytem, wykrzyknął nagle:

— Artystka... O, tem się wszystko tłomaczy... Artystka!

Panią Marylę taki jednak ogarnął nagle zapał do polityki, że nawet te hołdy nie zdołały oderwać jej uwagi od głównego tematu. I zaraz z powrotem skierowała rozmowę na ściśle polityczne tory. Twarkowski znów się zaczął rozwodzić.

JabłECKI udziału w rozmowie nie brał. W milczeniu przysłuchiwał się wywodom rozpolitykowanego kuzyna, patrzył na ożywioną twarz żony i powoli ogarniał go niesmak, coraz silniejszy, graniczący ze wstrętem prawie. I on sam wprawdzie żywił również nadzieję na zmianę osobistego losu w związku z olbrzymim przewrotem całego świata, ale były to nadzieje mgliste i nieokreślone.

Twarkowski i pani Maryla formułowali marzenia swoje w sposób bardzo ścisły i określony i to Jabłeckiego raziło.

— Wstrętny karyerowicz—powtarzał w myśli, z coraz większą niechęcią spoglądając na Twarkowskiego.

Monotonny głos kuzyna działał na niego usypiająco. Zaczął ziewać; z początku dyskretnie, zasłaniając usta ręką, ale potem, uprzymiśnawszy sobie nagle, że przecież był w rodzinie, zupełnie jawnie. Pani Maryla to spostrzegła.

— A on sobie ziewa w najlepsze! — wybuchnęła.

Twarkowski umilkł i zmierzył Jabłeckiego surowem spojrzeniem.

— Zmęczony jesteś?

— Nie, nie, nie—zawstydził się JabłECKI.— To nerwowe.

Służąca odwołała na chwilę panią Marylę z pokoju. Mężczyźni zostali sami. Po chwilo-wem milczeniu Twarkowski zwrócił się nagle do Jabłeckiego.

— Doskonale się stało, żem dziś do was przyszedł.

— Zapewne—odparł JabłECKI.

Ale nutę szczerego przekonania trudno w tem było pochwycić.

— Doskonale się stało — powtórzył Twarkowski. Twoja żona może nam być bardzo pomocną.

— Sądysz?

— W takich sprawach trzeba się kierować przedewszystkiem intuicyą. Otóż kobiety to mają... A ja...

Urwał nagle i po chwili dokończył tajemniczym szeptem:

— Przyznam ci się, że mnie intuicji brak.

Jabłecki przyjął to wyznanie dość obojętnie. Po chwili spojrzął na zegarek.

— Jedenasta dochodzi—szepnął machinalnie również przyciszonym głosem.

V.

— Panie Jabłecki, proszę do telefonu!

Czwarty telefon w ciągu godziny. Wszyscy, którzy poprzedniego dnia zrobili mu zawód i nie przyszli na zebranie, zawzięli się, żeby go telefonicznie przeproszać. Zaczynało to już w końcu być denerwujące.

To też i ton odpowiedzi Jabłeckiego zmienił się stopniowo. Pierwszy telefon sprawił mu przyjemność, drugiego wysłuchał obojętnie, na trzeci dał odpowiedź oschłą, a teraz przygotowywał się już do zgryźliwej.

— Słucham.

— Ale — zamiast stereotypowego „Chciałem pana bardzo przeprosić”—głos Joli:

— Pan Józef?

— Tak.

— Proszę przyjść dziś do mnie o piątej. Dobrze?

— Aa... Bardzo mi będzie miło panią odwiedzić.

— Mogę pana uspokoić, że dziś nie za-

stanie pan już u mnie żadnych nudnych figur. Więc liczę napewno. O piątej. Dowidzenia.

Trzask. Telefon zamknięty.

Żadnych nudnych figur. Jabłecki uśmiechnął się ironicznie. Wiedział, co o tem sądzić. Stetkiewicz miał romans z Jolą; dość było przez pięć minut ich obserwować, aby się o tem przekonać.

— Jola mnie wciąga w jakąś zasadzkę.

Poprzedniego wieczoru zaraz po odejściu Twarkowskiego Jabłecki udał się na spoczynek. Ale do późna w noc nie mógł zasnąć i rozmyślał nad wydarzeniami dnia. I upewnił się niezbitcie w tem wszystkim, co w ciągu dnia nasuwało mu się jako przypuszczenie. To, że się zwoływane przez niego zebranie nie udało, było dziełem intrygi Stetkiewicza. A Stetkiewicz działał pod wpływem Joli.

Co do jednego tylko jeszcze Jabłecki nie był zdecydowany. Zemsta Joli wpływała z pobudek natury osobistej—ale czy tylko? Zastanowiło go podczas wizyty, że Jola unikała wszelkich tematów politycznych. To było nie-naturalne. I wzbudziło w nim podejrzenie, że poza chęcią odwetu Jola kierowała się jeszcze jakimś względami ogólniejszemi.

Aczkolwiek Jabłecki nie miał jeszcze sposobności wypowiedzieć w sposób oficjalny swego politycznego programu, jednakże urywkowo w prywatnych rozmowach cały szereg myśli już rzucił. Z ust do ust mogło się to rozejść

po Warszawie. I wielu ludziom wydać niepożądanem, nawet niebezpiecznem. Hasłem politycznem Jabłeckiego było „Do nowego życia nowych ludzi”. Właśnie przeciwko temu pragnął przedewszystkiem i w sposób najbardziej stanowczy wystąpić, że na czele różnych akcji społecznych, podejmowanych przez ogół, znajdowali się ludzie ze znanymi nazwiskami. Jabłecki nie odmawiał im zresztą swego uznania, uważał tylko, że wszyscy oni, jak się wyrażał, powinni byli przejść do archiwum.

Tym panom oczywiście mogło się to nie podobać.

I kto wie, czy nie postarali się użyć swoich wpływów na Jolę. Ostatecznie o tem, że żył w bliskich stosunkach z Jolą, również było wiadome.

I Jabłecki uczuł się nagle otoczonym siecią politycznych intryg. Ale nie zrażało go to, przeciwnie, dodawało mu energii do walki.

I naraz telefon od Joli. „Nie zastanie pan u mnie żadnych nudnych figur”. Chciało mu się szczerze śmiać z tego podstępu. To już była dyplomacya zbyt naiwna.

Kiedy powrócił do domu na obiad, żona powitała go słowami:

— Byłam u Twarkowskiego.

— Po co?

— Mój drogi, chyba nad tem wszystkim, co on mówił wczoraj, warto się poważnie zastanowić.

— Niesmaczny karyerowicz.

— Idealista!—wybuchnęła pani Maryla ze zjadliwym przekąsem. A ty co, całe życie będziesz w dziurawych butach chodził.

— Moja Marylu.

— Daj mi spokój.

— Ale pozwól. Przedewszystkiem ani ty, ani ja nie chodzimy w dziurawych butach.

— Niewiele im brakuje.

Jabłeczki pełnem godności spojrzeniem zmierzył swoje starannie wyczyszczone obuwie. Zarzut pani Maryli był tak bezzasadny, że trudno nawet było szukać jakiejś odpowiedzi. Jabłeczki poprzestał na wzruszeniu ramionami.

— Otóż ja ci teraz powiem.

— Słucham cię.

— Musisz się zapisać do partyi.

— Do jakiej?

— Zaprosiłam Twarkowskiego dziś na wieczór i nad tem się zastanowimy.

— Znów będzie do północy siedział.

— A choćby całą noc. To są rzeczy zbyt poważne, aby je lekceważyć. I jutro obaj musicie się zapisać.

— Moja Marylu.

— Tylko proszę cię bez żadnych wykrętów. Jeżeli mamy nadal żyć razem...

Jabłeczki zorientował się, że wszelkie zastrzeżenia podniecałyby tylko upór żony. Należało przeczekać, aż ochłonie z pierwszego zapalu. Odparł krótko.

— Dobrze... Zapisze się.

Dzięki tej rezygnacyi małżonkowie mogli zasiąść spokojnie do obiadu. Po zupie Jabłeczki chrząknął i zmierzył żonę badawczem spojrzeniem. Ale moment nie wydał mu się jeszcze odpowiednim do dyskusyi. Pani Maryla nie zdążyła jeszcze ochłonąć z podniecenia. Więc dopiero po drugiej potrawie zaczął ostrożnie.

— Moja droga... Wstąpić do partyi... wstąpić do partyi... Zapewne, do jakiegoś stronnictwa należeć trzeba.

I umilkł. Oczekiwał zapytania, które ułatwiłoby mu dopowiedzenie myśli. Ale pani Maryla obrała taktykę milczenia. Wpatrywała się w męża wyczekująco.

— Ale — zaczął Jabłeczki i znów umilkł.

— Ale co? — podchwyciła wreszcie pani Maryla. W milczącym zmaganiu się dwóch cierpliwości mężczyzna zwyciężył.

— No, a gdybym ja tak własną partye założył?

— Własną partye... Jaką partye? Partye bilardu.

— Nie żartuj.

— Więc o co ci chodzi?

— No, mówię, że gdybym ja założył własne stronnictwo polityczne...

Jabłeczki wyprostował się wyzywająco. Pewien był, że żona przyjmie jego oświadczenie wybuchem ironicznego śmiechu. I już się przy-

gotowywał, aby jej dać stosowne odprawę. Ale pani Maryla się nie roześmiała.

— Własne stronnictwo... Twoje... A któż do niego będzie należał?

— Trzeba zebrać ludzi.

— W jaki sposób?

— Należy agitować, urządzać zebrania, dać się poznać...

— A tymczasem wojna się skończy. Nie, to zadługa historia. Ja mam lepszy projekt. Wszyscy troje wstąpimy do partii. Ty, ja i Michał.

Pani Maryla zaczynała już nazywać Twarkowskiego po imieniu.

— Do jakiej?

— Ja do jednej, Twarkowski do drugiej, a ty do trzeciej. W ten sposób będziemy na trzy strony zabezpieczeni. Czyja partya okaże się najbardziej wpływowa, ten poproteguje innych.

Jabłeczki spojrzał na żonę ze zdumieniem, Zaimponował mu jej cynizm polityczny. W innej chwili może by go to oburzyło, ale narazie czuł zbyt żywą wdzięczność dla pani Maryli za to, że nie wyśmiała jego projektu założenia własnej partii.

I co już było zgoła czemś nowem w ich pożyciu, po obiedzie spędzili przeszło godzinę na ożywionej rozmowie. Jabłeczki starał się pozyskać żonę dla swego pomysłu założenia własnego stronnictwa. Jeśli nie udało mu się to

w zupełności, to w każdym razie przekonał ją o tyle, że zastrzeżenia pani Maryli stawały się coraz słabsze.

O wpół do piątej wyszedł z domu, aby się stawić punktualnie u Joli. Ale jakżeż się różniła ta wizyta od wczorajszej! Była to już tylko misya dyplomatyczna, pozbawiona wszelkiego erotycznego charakteru. Pani Maryla nie wiedziała dokąd mąż się wybiera, gdyby mogła była jednak odczuć stan jego ducha, napełniłoby ją to tylko dumą. Jabłeczki, nawrócony mąż, sercem należał w tej chwili niepodzielnie do niej.

Jola przyjęła go w powabnym negliżu (znał ten negliż doskonale...) i to przejęło go lekkim niepokojem. Urok wspomnień łamie czasami najmocniejsze postanowienia.

— Nareszcie pana u siebie widzę.

— Jakto nareszcie, a wczoraj?

— Mówiłam już panu raz, że wczoraj się nie liczy.

Położyła mu ręce na ramionach i uśmiechnęła się, szeroko otwierając oczy. Na twarzy Jabłecznego odmalował się wyraz, który można było określić tylko trywialnem mianem głupiej miny. Jeszcze pragnął wytrwać na swoim obojętnie dyplomatycznym stanowisku, ale, ale, ale...

A Jola w milczeniu, powoli wciąż przybliżała twarz do jego twarzy. Poczł muśnięcie włosów na czole, potem ciepło oddechu. Jola

już dotykała wargami jego ust, a on trzymał się jeszcze.

Aż naraz...

Ręce, które trzymał założone za plecami, znalazły się za plecami panny Joli.

Długi, długi, nieskończenie długi pocałunek. Właściwie szereg pocałunków, przerywanych pauzami dla nabrania oddechu. Przeważność konieczna nawet w największej ekstazie miłosnej. Jola przypomina sobie nagle o obowiązkach gospodyni domu.

— Cóż my stoimy. Siadajmy.

— Siadajmy.

VII.

— Nie, to niemożliwe.

Dziesięć minut po wpół do jedenastej. Jabłecki aż zdrętwiał. Na schodach dopiero przyszło mu na myśl, żeby spojrzeć na zegarek. Jola zegara u siebie nie miała, a przynajmniej nie było go nigdzie w widocznym miejscu. I czas biegł, biegł niepostrzeżenie...

Każdego innego dnia, oczywiście, byłoby to głupstwem. Ale na dziś pani Maryla zamówiła Twarkowskiego na polityczną naradę. Umyślnie w tym celu chodziła do niego do biura.

— Bałwan! — wybuchnął nagle Jabłecki, koncentrując całą bezradną złość na nieszczęśliwym kuzynie żony.

Sytuacyi to jednak nie zmieniało. Twarkowski miał przyjść o ósmej i przyszedł. I czekali od ósmej. Dwie godziny i czterdzieści minut — wyliczył skrupulatnie Jabłecki. Nie wysilając wyobraźni, mógł sobie odtworzyć scenę, jaka w tej chwili odgrywała się u niego w domu.

Twarkowski siedział przy stole nad niedopitą szklanką herbaty, minę miał niewyraźną, pani Maryla biegała wzburzona po pokoju. Od czasu do czasu z ust jej padał krótki, ale mocny wyraz:

— A to dureń!

Mniej-więcej co czwartą albo piątą obelgę Twarkowski odzywał się bez przekonania:

— Może mu się co stało?

Na to pani Maryla odpowiadała z impetem:

— Co mu się miało stać. Poprostu nie przyszedł, żeby mnie na złość zrobić.

Taką scenę Jabłecki przeczuwał. Ale to był wstęp dopiero do innej sceny, bardziej żywiołowej, w której i on już miał odegrać czynną rolę. Znając usposobienie żony, wiedział, że tego wieczoru darowaneby mu było wszystko, najcięższe przewinienie, tylko nie to, że się spóźnił. Pani Maryla zapaliła się widocznie do myśli politycznej narady w rodzinnem gronie, a skoro pani Maryla zapalała się do czego, to już kładła w to całą duszę i wówczas niebezpiecznie było narażać jej entuzjazm na próby.

— Ładna historia!

Jabłecki zatrzymał się na schodach bezradny. Gdyby to był kto obcy, nie Twarkowski, może wzgląd na konwenanse powstrzymałby panią Marylę od wybuchu. Ale Twarkowski, kuzyn... Przy nim nie będzie się krępowała napewno.

Jabłecki wyszedł od Joli w stanie ducha wykluczającym wszelką odporność moralną. I dlatego perspektywa zatargu domowego przejmowała go taką trwogą. Jednakże z obawy przed owym zatargiem nie można było na schodach u Joli nocować. Więc po chwili ruszył

naprzód. Schodził, trzymając się poręczy, ciężkim, zmęczonym krokiem, jakby mu nagle lat przybyło.

Na ulicy chłopcy sprzedawali dodatki nadzwyczajne do gazet. Jabłeckiemu mignęła w duszy utajona nadzieja, że może stało się na świecie co takiego, co ogromem swojej sensacyjności zagłuszy wszelkie inne sprawy.

— Dodatek!

Za wygórowaną cenę trzech kopiejek (chłopiec nie miał kopiejki reszty) otrzymał świstek papieru, na którym było wszystkiego parę wierszy druku zaledwie. Spojrzał i wzruszył ramionami.

— Że też oni mają bezczelność sprzedawać coś podobnego! Ale ta moralizatorska uwaga pod adresem prasy małą mu przyniosła pociechę. Nadzieja, że jakaś wielka, wszechświatowa sensacya załagodzi sprawę, spełza na niczem. Jabłecki przystanął i z niesłychaną systematycznością począł składać dodatek. Uważał, żeby nigdzie żaden kant nie wystawał, gładził papier dłonią i wreszcie, gdy dzięki tej pracy bezwartościowy świstek stał się już niemal cennym przedmiotem, zamiast schować go do kieszeni, jakby się należało spodziewać, z pogardą cisnął go w rynsztok.

Czuł się podle.

I znów spojrzął na zegarek. Jedenasta za szesnaście minut.

Maryla musi być wściekła.

Wobec tego jednakże już nie warto było

się spieszyć. Przy takim opóźnieniu, dziesięć minut prędzej czy później nie mogło robić różnicy. Kto wie nawet, czy nie najlepiej było przeczekać, żeby Twarkowski odszedł. I wymyśleć tylko jaką bajkę na otumanienie żony.

Ta myśl zaczęła się Jabłeckiemu uśmiechać. O kilkaset kroków przed nim padało na ulicę światło z wielkich okien kawiarni. Postanowił wstąpić na szklanekę herbaty. Wieczór był już chłodny i mglisty. Na ulicy panował duży ruch. Chodnikami snuły się tłumy, środkami ciągnęły jakieś tabory wojskowe, nieskończone szeregi wozów. Żeby przejść z jednej strony ulicy na drugą, JabłECKI musiał wyczerkiwać dobre pięć minut.

Zastanawiał się, czyby na tem tle właśnie—zatomowania ruchu ulicznego przez wojsko — nie wymyśleć jakiejś historii, któraby tłumaczyła jego skandaliczne opóźnienie. Ale nie, to się nie nadawało.

We drzwiach kawiarni zetknął się z jakimś panem, który go zmierzył bystrem spojrzeniem.

— Jak się macie?

— Jak się macie.

Ktoś, dobry znajomy widocznie, skoro się zwracał w tak poufalej formie. Ale kto, tego JabłECKI, żeby go nawet ze skóry obdzierano, nie mógł sobie przypomnieć. Z zakłopotanym uśmiechem spojrzał na nieznanomego. Tamten poza serdecznem powitaniem zdaje się również niewiele miał do powiedzenia.

Na szczęście, mowa polska posiada zwrot, ratujący ludzi w chwilach absolutnego braku myśli.

— Co słysząc?

— Ano, nic szczególnego.

— Mnóstwo wojska...

— Mnóstwo.

— Wciąż ich prowadzą.

„Znajomy“ uśmiechnął się ironicznie.

— To wciąż jedni i ci sami. Naumyślnie tak ich oprowadzają po mieście, żeby szpiegów zmylić.

— Ee...

— Już ja wam to mówię. Sam się przekonałem. Rano widziałem pułk na Elektoralnej. Niby to wychodzili z Warszawy przez Wolę, a teraz wieczorem tych samych spotkałem w Alejach Ujazdowskich, jak wracali do miasta przez Mokotów.

— A skąd wiecie, że ci sami?

— Zapamiętałem sobie twarze żołnierzy.

Ta nadzwyczajna pamięć wydała się Jabłeckiemu trochę dziwną, ale nie nalegał.

— Macie papierosa?

— Proszę.

Znajomy, którego nazwiska JabłECKI wciąż jeszcze nie mógł sobie przypomnieć, zaciągnął się głęboko.

— A cóż panna Wanda porabia?

— Jaka panna Wanda?

— Jakto, jaka? Wasza cioteczna siostra.

— Ja nie mam ciotecznej siostry.

— Nie?

Nieznajomy cofnął się w tył i spojrzął na Jabłeckiego z nieopisanem zdumieniem.

— Pan Tomiński?

— Nie.

— Przepraszam pana. Ja byłem święcie przekonany, że rozmawiam z kim innym. Ale pan tak zadziwiająco podobny do jednego z moich znajomych. Przepraszam. Zgapiliśmy się obaj.

I znikł za drzwiami. Jabłecki sprawdził pospiesznie, czy miał na miejscu zegarek i pugilares. W porządku. Rzeczywiście więc zaszło tylko nieporozumienie. Ale i jemu ów jakiś facet dziwnie wydał się podobnym do kogoś ze znajomych.

Zasiadł przy tym samym stoliku, przy którym poprzedniego dnia wyczekiwał napróżno przyścia swych niesłownych gości. Nieopodał, koło przejścia z sali kawiarnianej na werandę, znów siedziały te dwie istoty, które wprawiły w taki zachwył mecenasa Cisiewicza. Jedna z nich, „chucherko“, poznała widocznie odrazu Jabłeckiego, gdyż przestała mu zachęcający uśmiech. Jabłecki skarcił ją surowem spojrzeniem.

— Dziesięć po jedenastej... Twarkowski siedzi jeszcze.

Wypiwszy parę łyków herbaty, Jabłecki uczuł nagle wściekły apetyt. Zważywszy późną porę i pewien stan wyczerpania fizycznego

i moralnego — nic nadzwyczajnego w tem nie było. Ale to wtrąciło go w nową rozterkę duchową. Zaryzykować kolację czy nie. Trzeba liczyć, że dwa ruble conajmniej pęknie, a strasznie kuso było z pieniędzmi.

Jakiś opasły burżuj obok nie miał tych skrupułów. Właśnie służący ustawiał przed nim na śnieżno-białym obrusie, zlekka tylko zapłamionym kawą i herbatą, butelkę z wódką i kanapki. Jabłecki zerknął i tak mu te kanapki zapachniały. No, dwie tylko, nie więcej...

— Proszę tutaj.

E, już jak brnąć, to brnąć.

— Niech pan zabierze tę herbatę, jeść mi się zachciało.

Gdyby ów służący miał być choć trochę obywatelskich uczuć w duszy, gdyby się pochylił i szepnął tklwym głosem: „Czy to warto wydawać pieniądze? Ma pan przecież kolację w domu, została pieczeń z obiadu... Już i tak tyle pan dzisiaj głupstw narobił“ — za takie słowa przestrogi Jabłecki byłby mu szczerze wdzięczny, ale on z zimną bezdusnością automatu wyciągnął z bocznej kieszeni fraka — kartę.

— Czem mogę służyć?

Jednym tchem, z tłumioną pasyą w głosie, Jabłecki wydał kosztowne dyspozycye.

I oczekując na pierwsze danie tej nieopatrznej uczty, zamyślił się ponuro. Czuł się podle, bardzo podle. I, właściwie mówiąc, oba-

wa przed awanturą domową grała w tem po-
dłem czuciu stosunkowo najmniejszą rolę.

W gruncie rzeczy Jabłecki posiadał cha-
rakter bardzo szczerzy i wrażliwy. I poprostu
dreńczyły go wyrzuty sumienia. Dwojakiej na-
tury. Przedewszystkiem, że zdradził żonę. Był
to zwrot w uczuciach nawet dla niego samego
nieoczekiwany, ale również nieoczekiwanem
było to, że pani Maryla potrafiła zrozumieć
i odczuć jego ideały polityczne. Zwierając się
przed nią ze swego zamiaru założenia własnej
partyi, Jabłecki oczekiwał ironii i jadu, zna-
lazł — jeśli nie zupełną aprobatę, to w każdym
razie przychylne uznanie. I tak był tem roz-
tkliwiony, że zapomniał odrazu o wszelkich da-
wnych nieporozumieniach i rozgoryczeniach.
Gdyby mu kto był powiedział jeszcze na scho-
dach u Joli, że wizyta zakończy się erotycznie,
wzruszyłby ramionami. I w pięć minut potem,
ściśle w godzinę i dwadzieścia trzy minuty...

Jabłecki ukrył twarz w dłoniach.

Bo w tym wypadku było jeszcze coś gor-
szego, niż sam fakt zdrady małżeńskiej, osta-
tecznie dość powszechny, aby najdrażliwsze su-
mienia miały czas się z nim oswoić. Jabłec-
kiemu paczyło to przedewszystkiem piękną linię
jego charakteru. Szedł jako człowiek twardy,
niezlomny, przebiegły, zimny, przewrotny i co?
Wystarczyło jednego, wyraźnie jednego narzu-
conego mu pocałunku, aby ten cały moralny
pancerz duszy rozprysł się odrazu.

To dreńczyło Jabłeckiego. Szczerze dre-
czyło. Nie czuł się na poziomie epoki.

A powtóre, żeby to był kto inny... Ale
Jola. Aczkolwiek naogół rozmawiali mało, je-
dnakże paru zdań było dość, aby różnice ich
oryentacyi politycznych zarysowały się jaskra-
wo. Jola posiadała orientację zdecydowanie
pruską. I nawet rzuciła w rozmowie, tak niby
pół żartem, ale z pewnym akcentem szczeroci:

— Muszę cię przekabacić.

Jabłecki zbyt był przekonani swoich pe-
wien, aby mógł to traktować poważnie. Ale
fakt, że nawiązał romans z kobietą odmienną
zgola orientacyi wydawał mu się rodzajem ideo-
wej zdrady. Tembardziej, że ta polityczna dys-
kusya wywiązała się już pod sam koniec wi-
zyty, kiedy Jabłecki miał umysł nieco zmęczo-
ny, a przynajmniej nie tak giętki, jak zwykle.
I poprostu, aby nie myśleć, bardzo miękko bro-
nił swoich zasad. Joli mogło się zdawać, że
nie potrafił ich bronić.

Bolał go ten kompromis.

— Rachunek.

— Dwa ruble osiemdziesiąt pięć.

— A też zdzieracie niemiłosiernie! — wy-
buchnął. Ale w kelnerze nie wywołało to naj-
mniejszego zawstydzienia. Stał obojętny, wul-
garny, wyczekujący.

Zbliżyła się dwunasta i w kawiarni zaczy-
nało się robić pusto. Zapłaciwszy rachunek,
Jabłecki wyszedł na ulicę. Przybył mu nowy

element rozgoryczenia: poczucie niepotrzebnego wydatku.

Droga do domu wypadła mu przez Aleje Jeruzolimskie. Uszedłszy kilkadziesiąt kroków, napotkał nagle gromadkę ludzi, obserwujących niebo.

Zatrzymał się zaciekawiony.

— Jest, jest! — wykrzyknął ktoś, wskazując ręką w górę.

Jabłecki zwrócił głowę we wskazanym kierunku. Wśród obłoków, które wałkowały się po niebie, ujrzał smugę niebieskawego światła.

— Co to?

— Balon niemiecki—objaśniła go sąsiadka, młode dziewczę, zdecydowanie złego prowadzenia.

— Nie balon, tylko Zeppelin — poprawiła upadłą istotę chuda dama, wsparta na ramieniu również chudego mężczyzny.

— To wszystko jedno.

Po tej odpowiedzi dopiero chuda dama zdała sobie sprawę z niestosowności prowadzenia rozmowy z istotą tego rodzaju. I zmierzwiwszy ją wyniosłym spojrzeniem, szarpnęła męża za rękę.

— Chodźmy.

— A jak nam tu co na łeb gruchnie, panowie? — odezwał się jakiś nerwowy staruszek, rozglądając się po sąsiadach. Ciekawość walczyła w nim widocznie z lekkim uczuciem trwogi.

Jabłecki patrzył na niebo i czuł jakieś niewyraźne dreszczyki w krzyżu. Nie była to trwoga, ale podniecenie. Zeppelin! W podnieconej wyobraźni mignął mu nagle obraz piekielnego zniszczenia. Łomot — i trzy kamienice w gruzach.

— Jedzie, jedzie.

Światło sunęło ku wolnej od obłoków, czystej przestrzeni nieba. Jeszcze sekunda, i oczom zebranych ukazał się prześliczny księżyc.

VIII.

Przelotna nadzieja na sensacyjną opowieść o nocnym ataku Zeppelinów na miasto zawiodła Jabłeckiego najzupełniej. Wstyd mu nawet było, że sam dał się tak zasuggestyonować ulicznym gapiom.

Nim się dowlóknął do domu, było już wpół do pierwszej, pora pierwszego najtwardszego snu stróżów. Znów dobre dziesięć minut upłynęło, nim się dodzwonił do bramy. Wszedłszy w podwórze, spostrzegł, że w salonie okna były oświetlone. To znaczyło, że Twarkowski jeszcze siedział.

— Cierpliwym — pomyślał z przekąsem.

Ale niewiedział jeszcze, czem wytłómaczyć swe opóźnienie. Pochłonięty rozterką duchową, nie zdążył nic takiego wymyśleć, coby było w równym stopniu prawdopodobne, jak i sensacyjne. Zostawało mu już tylko tyle czasu, ile potrzeba człowiekowi o zdrowych nogach, aby się dostać na trzecie piętro. Mało.

Na wszelki wypadek starał się przybrać

wyraz twarzy uroczyisty i tajemniczy. I z taką miną wszedł.

— Gdzieżeś ty się podziewał?

Zapytanie było rzucone gorączkowym tonem, ale bez cienia złości. Jabłeckie zmierzył żonę pełnym zdumienia spojrzeniem. Jakto? Bez awantury?

A pani Maryla dodała lirycznie:

— Taka już byłam niespokojna.

— Wyobraźcie sobie...

I — pauza. Bo to, co należało sobie wyobrazić, było również zagadkowe dla Jabłeckiego, jak idła jego żony i kuzyna.

— Mówżeż.

— Miałem konferencję.

Twarkowski, który dyskretnie trzymał się na uboczu, nie chcąc przeszkadzać małżeństwu w tych wyjaśnieniach prywatnej natury, posłyszawszy wyraz „konferencya“, zbliżył się szybko do Jabłeckiego.

— Konferencję?... Z kim?

— Z człowiekiem...

— No, domyślamy się, że nie z koniem! — wybuchnęła pani Maryla, której cierpliwości nie można było narażać na zbyt uciążliwe próby.

— Pozwól-że mi, Marylu, dokończyć. — Z człowiekiem, który ewentualnie mógłby udzielić naszemu stronnictwu finansowego poparcia.

Twarkowski skinął z uznaniem głową.

— To bardzo ważne.

Ton kuzyna i poważna mina małżonki przekonały Jabłeckiego, że „nasze stronnictwo“ uzyskało już prawo obywatelstwa w rodzinie.

— Któż to taki?

— Kolega mój szkolny. Obywatel ziemski z...

Jabłecki utknął na okolicy, ale zaraz dokończył:

— Z Kaliskiego.

— No, to on nic nie ma

— Dlaczego?

— Bo tam przecież prusacy zniszczyli wszystko.

— Ależ, moja Marylu, to bardzo zamożny człowiek. Ma pieniądze w Warszawie.

— W banku?

— I jeszcze jeden majątek na Litwie—dorzucił Jabłecki, widząc, że kapitały warszawskie nie wywierały żadnego wrażenia.

Twarkowski skinął z uznaniem głową.

Panią Marylę zaintrygował widocznie ów zamożny kolega szkolny.

— Jak on wygląda?

Jabłeckiemu brakło fantazyi malarskiej i pytanie to zakłopotало go narazie.

— Blondyn, wysoki, szczupły—zaczął powoli, gdy nagle przyszedł mu na myśl ów jakiś nieznamy facet, który go zaczepił w kawiarni.

— Charakterystyczna twarz... Na czole między samemi oczami ma dość dużą bliznę... Widocznie z jakiegoś pojedynku.

— To dziwne! — wykrzyknął Twarkowski.

— Dlaczego?

— Mam kolegę w biurze, który zupełnie tak samo wygląda. Duża blizna?

— Nie, nie — zaprzeczył pospiesznie Jabłecki. — Cóż, zdarzają się podobieństwa między ludźmi. A może krewni...

— Ten mój kolega, to wcale nie ciekawa figura.

Jabłecki miał teraz wytlómaczenie zagadki, skąd twarz człowieka, który go zaczepił w kawiarni, wydała mu się znajoma. Odwiedzał Twarkowskiego parę razy w biurze i musiał widywać jego kolegę.

— A jak się nazywa?— wtrąciła pani Maryla.

— Przekrzycki.

— To nie — mruknął Twarkowski. — Mój kolega nazywa się Piórkiewicz. A tę szramę ma od wypadku. Przewrócił się raz po pijanemu. O, ale to już późno! — wykrzyknął nagle, spoglądając na zegarek. — Jeszcze dwa słowa o naszych sprawach.

Owe „dwa słowa“ zajęły przeszło godzinę czasu, tak, że kiedy Twarkowski wyszedł wreszcie od Jabłeckich, było już po wpół do drugiej. Ale Jabłecki byłby go chętnie jeszcze dłużej zatrzymał. Okazało się, że Twarkowski, prze-

myślawszy, jak mówił — pod różnemi kątami wczorajszą ich rozmowę, uznał ambicje polityczne swego kuzyna za godne poparcia. I na to właśnie poświęcił cały wieczór, aby zjednać dla nich i panią Marylę.

Najniespodziewaniej w świecie, w najbliższem rodzinnem gronie JabłECKI znalazł dla swoich planów uznanie i poparcie.

Przed udaniem się na spoczynek pani Maryla zakomunikowała mu jeszcze o nowej ważnej reformie domowej. Od następnego dnia mieli jadać obiady w kuchni dla inteligencji. Gospodarstwo domowe się znosiło. Pani Maryla motywowała to tem, że wobec wzrastającej drożyzny obiady na mieście, zwłaszcza w instytucji nawpół dobroczynnej, wypadają taniej, niż w domu, przewidywała zresztą z góry, że nie będzie miała głowy ani czasu na zajmowanie się gospodarstwem. Kuchnię ową zarekomendował jej Twarkowski.

JabłECKI przyjął projekt żony zyczliwie. Ujęła go, coprawda, nie praktyczna jego strona, ale perspektywa jakiejś zmiany. Ponieważ był jednak mocno śpiący, a przytem miał umysł wciąż zaprzątnięty myślą o Joli, więc nie zamifestował może swojej mężowskiej sankcyi w sposób należycie entuzyastyczny. Pozorna jego obojętność wywołała cierpką uwagę żony.

— Już ci się to nie podoba.

— Ależ, bynajmniej,—zaprzeczył żywo —

najzupełniej się z tobą zgadzam, że to będzie daleko lepiej.

I ponieważ rozmowa ta toczyła się przy rozbieraniu, dorzucił nagle zaniepokojonym tonem:

— Oho, szelki już mi się przecierają.

Zagrażało to niewielkim wprowadzie, ale nowym wydatkiem, na co kobiety bywają zazwyczaj wrażliwsze od mężczyzn. Ale w danym razie pani Maryla nie zwróciła na mężowski wykrzyknik uwagi. Nowe horyzonty, jakie otwierała przed nią polityka, podnieciły ją, wybiły ze snu i napełniły bujną ochotą do życia. Wzrok jej zaiskrzał się raz po raz, ale przygasał nagle, gdy rzucała spojrzenie na męża, któremu senność nadawała dziwnie zgnębiony wygląd.

— Cóżes ty taki niemrawy?

— Spać mi się chce.

— Tybyś całe życie przespał.

JabłECKI, wtulając głowę w ramiona, jakby przed ciosem, wślizgnął się tygrysim ruchem pod kołdrę. Ale nim zasnął, słyszał jeszcze z drugiego łóżka głos żony:

— To dziwne jednak. Od początku wojny obracasz się w tym politycznym świecie i na myśl ci nie przyszło, żeby mnie do jakiej roboty wciągnąć. Zupełnie, jakby ci zależało na tem, żebym siedziała tu zamurowana. Żeby nie pocziwy Twarkowski...

Wyrazy stawały się coraz cichsze, zlewały w jeden przeciągły szmer, podobny do brzę-

czenia much, i Jabłecki nie dostyszał już apologii kuzyna, do którego przed tygodniem zresztą jeszcze pani Maryla nie umiała znaleźć innego określenia, prócz „stary idyota“.

Nazajutrz zasnął i spóźnił się do biura. Na wychodnym parę słów tylko zdążył zamienić z żoną. Pani Maryla była czuła i pełna kultu dla przyszłej kariery politycznej męża. I to wystarczyło, aby zatrzeć najzupełniej nieco cierpkie wrażenie, z jakim małżonkowie położyli się spać poprzedniego wieczoru. Umówili się, że się spotkają o wpół do czwartej na obiedzie.

Po drodze z domu do biura Jabłecki znów rozmyślał o Joli. Najprościej by było powiedzieć sobie: Koniec—i poprostu zapomnieć o wczorajszej wizycie. Ale Jabłecki nie dowierzał swej stanowczości. Ledwo w biurze zasiadł przy biurku, odwołano go do telefonu. Poszedł zły, domyślając się, że to Jola.

— Słucham! — rzucił opryskliwie w słuchawkę.

Przecucie go nie omyliło. Usłyszał melodyjny głos kochanki:

— Niech pan sobie wyobrazi, że się wzięłam do pracy społecznej.

Melodyja tego głosu odrazu podziałała tającą na zakrzepłe w niechęci uczucia Jabłeckiego.

— Pani? — odparł, obrzucając pieszczotliwym spojrzeniem numer aparatu.

— Dla pana to zrobiłam.

— Jakto dla mnie?

— Bo widziałam, że pana gorszą moje anti-społeczne instynkty. Od dziś dyżuruję w kuchni dla inteligencji. Na Ordynackiej. Bo są różne, ale ta na Ordynackiej najlepsza. Proszę przyjść na obiad.

Jabłecki zdrtwiał. Była to ta właśnie kuchnia, którą żonie jego zarekomendował Twarowski, i tam mieli się spotkać z Marylą.

— Pan o której jada obiady? — ciągnęła Jola. O czwartej? Ja już o drugiej będę. Proszę przyjść koniecznie.

— Słucha pan? — rozległo się po chwili.

— Słucham, słucham...

Zwłokę w odpowiedzi i pewną nerwowość intonacji panna Jola przypisała zawsze drażliwemu dla mężczyzn uczuciu obawy przed żoną.

— Niech pan zatelefonuje do domu, że pana zaproszono na obiad. Ach, prawda, pan nie ma u siebie telefonu. Niech pan przez pośtańca kartkę pošle.

— Ale...

— Co?

— Ja właśnie z żoną mam tam być na obiedzie.

— Na Ordynackiej?

— Tak. Umówiliśmy się na wpół do czwartej.

W odpowiedzi Jabłecki usłyszał gwałtowny wybuch śmiechu. I po chwili:

— Wie pan, że to paradne.

— Tak — odparł bez zbytniego przekonania w głosie.

— Ja nigdy nie widziałam pańskiej żony. A bardzo jestem ciekawa. Przynajmniej będę miała sposobność ją zobaczyć.

— Ale...

Jabłeczki obejrzał się niespokojnie. Rozmowy słuchało paru jego kolegów. A chciał poruszyć temat bardzo drażliwy. Na szczęście, Jola sama wybawiła go z kłopotu, uprzedzając jego myśli.

— Pańska żona nie wie, oczywiście, że pan mnie zna. Udawajmy, że się nie znamy. To będzie bardzo zabawne.

Powróciwszy do swego biurka, Jabłeczki udał pilnie zajętego robotą, aby mózdz pograć się swobodnie w zadumie. Zapewne—Joli należała się wdzięczność za to, że sama odrazu usunęła trudności, jakie mogły wynikać ze skomplikowanej sytuacji, ale Jabłeczki czuł pewien niesmak w duszy. Wogóle — nie lubiał sytuacji niezwykłych, a mus odgrywania komedii drażnił jego miłość własną. Gdyby był chciał sięgnąć do wspomnień i zanalizować różne swoje przeżycia, przekonałby się może, że nieraz większe komedye odgrywał bez troski o miłość własną, ale to mu na myśl nie przyszło. Koledzy jego, zgrupowani dokoła jednego biurka, prowadzili ożywioną dyskusję polityczną, a on sa-

motny siedział w drugim kącie pokoju pochylony nad papierami. Zwróciło to wkońcu uwagę.

— Cóż pana taki zapał do roboty ogarnął?

— Już mi obrzydły te gadaniny—odburknął opryskliwie.

Pozostawiono go w spokoju i mógł swobodnie rozmyślać dalej. Zastanawiał się właśnie nad swoim stosunkiem do Joli i do żony. Pragnął pojąć nareszcie tę dziwną gmatwaninę uczuć, jaka plątała mu się w duszy. Gdy w tej chwili przy biurku myślał o tem na zimno, dochodził do wniosku, że w gruncie rzeczy obie one, i Jola i żona, były mu jednakowo obojętne. Zdawał sobie jednak sprawę, że w tak wzgardliwym postawieniu kwestyi był pewien fałsz, próba wybrnięcia ze zbyt zawitej dla jego zdolności analitycznych sytuacji duchowej. Właściwie, zależało mu trochę na Joli i na żonie, tyle właśnie, ile wystarczało, aby w jeden i drugi stosunek plątały się niemiłe zgrzyty w formie skrupułów i wyrzutów sumienia.

Idąc na obiad, Jabłeczki przez całą drogę myślał o tem, czy zastanie już żonę na miejscu, czy też przyjdzie pierwszy. Pragnął przyjść pierwszy, aby mózdz zamienić jeszcze parę słów z Jolą. Obawiał się jakiegoś ekscentrycznego wybryku z jej strony. Rozsądek wskazywał, że wobec tego należało się spieszyć, ale Jabłeczki właśnie zdając sobie jaknajdokładniej z tego sprawę, szedł wolniej, niż zazwyczaj, i przystawał przed wystawami sklepowymi. Tą sprzecz-

ność między zamiarami a postępowaniem wywołała w nim krótką, zjadliwą refleksję w chwili, gdy wchodził do bramy. ●

— Idyota jestem.

Kuchnia dla inteligencji mieściła się w oficynie na pierwszym piętrze. Drogę do niej znały niedopałki papierosów, tworzące jakgdyby rodzaj dywanu na schodach. Jabłecki miał nadzieję, że z powodu spóźnionej pory niewiele już osób zostanie na obiedzie, ale rozczarował się odrazu, gdy tylko wszedł do przedpokoju i ujrzał stopy palt.

Pełniuteńko!

W pierwszym pokoju wszystkie miejsca były zajęte i towarzystwo składało się prawie wyłącznie z mężczyzn. Jabłecki skonstatował z uczuciem ulgi, że nie miał nikogo znajomego. Ale niepokoił go drugi pokój. Nie chciał Joli i żony spotykać jednocześnie. A podejrzewał, że tam, w tym drugim pokoju muszą być obie razem.

I gdy tak stał niezdecydowany we drzwiach, nagle ukazała się Jola.

— A, jak się masz?

Bez ceremonii, na „ty“ i na cały głos. Jabłeckiemu krew uderzyła do głowy. Wydało mu się, że wszyscy przestali nagle jeść i obserwują ich z ironicznymi uśmiechami.

Ale i Jola spostrzegła widocznie, że dopełniła pewnego rodzaju nieostrożność, gdyż zaraz, zbliżywszy się do niego, dorzuciła półgłosem:

— Wejźmy do przedpokoju. Trochę nieostrożnie mi się to wyrwało—zaczęła się usprawiedliwiać. Miało to na celu prawdopodobnie wywołanie jakiejś sentymentalnej deklaracji ze strony ukochanego, ale Jabłecki, rozdrażniony, odparł opryskliwie:

— Rzeczywiście.

Jola zmierzyła go zimnym spojrzeniem.

— Chyba to nie pana kompromituje, tylko mnie.

Jabłecki się zawstydził.

— Przepraszam — mruknął cicho.

— Co za kobiece nerwy—uśmiechnęła się Jola. W ciągu tego krótkiego dialogu wciąż posuwała się na Jabłeckiego, tak, że on, cofając się przed nią, znalazł się wreszcie między paltami. Dręczyła go myśl, że lada moment mogła wejść żona i zastać ich w tej podejrzanej pozycji. A Joli to się właśnie podobało widocznie i trzymała go przypartego do ściany. Wpatrywała się w niego rozśmianym i roziskrzonym wzrokiem. Był to wzrok wielce obiecujący, ale na Jabłeckiego nie oddziaływał narażenie, gdyż, nie dzieląc upodobania Joli do „zabawnych kawałów“, znów zaczynał wpadać ją od siebie, ale wstyd mu było braku odwagi.

Jola obejrzała się nagle szybko poza siebie. Otwarte drzwi zasłaniały ich przed wzrokiem osób, siedzących w sali. I nagle, przytykając usta do ust Jabłeckiego, odezwała się cicho:

— Pocałuj.

Jabłecki wykonał rozkaz, ale było to tylko wykonanie rozkazu, bez skry temperamentu.

— Ach, jakież z pana tchórz!

— Moja żona może wejść lada moment.

— Pańska żona już tu dawno jest.

— Jakto?

— Od pół godziny przynajmniej. Czekam na pana. Bardzo miła i przystojna osoka. Poznaliśmy się ze sobą. Czekam w ostatnim pokoju. Niech pan zaraz idzie do żony. Ja tam zaraz przyjdę i pańska żona zapozna nas ze sobą.

VIII.

— Gdzieżeś ty była?

— U Joli.

— Do tej pory?

— A która to godzina?

— Po pierwszej.

Pani Maryla roześmiała się wesoło.

— A to się zasiedziałam.

Nie było w tem chęci usprawiedliwienia się przed mężem, ale raczej uciecha z powodu, że tak niepostrzeżenie biegł jej czas u przyjaciółki. Jabłecki popatrzył na żonę w milczeniu i wzruszył ramionami. Zaczynała go już drażnić ta przyjaźń. Poznawszy Jolę na obiedzie w kuchni dla inteligencji, pani Maryla zapałała ku niej od razu jakimś szczególniejszym sentymentem. I po paru dniach stały się nierozłącznymi przyjaciółkami.

Z początku Jabłeckiego bawiło to, kiedy od rana do wieczora musiał wysłuchiwać zachwyków żony nad Jolą. A ponieważ pani Ma-

ryła nie umiała zachwycać się połowicznie, więc Jola była najpiękniejsza, najmędrsza, najdowcipniejsza, najpraktyczniejsza, co parę słów w rozmowie pani Maryla przytaczała jakieś jej powiedzenie, zaczęła sobie przerabiać kapelusz na wzór tych, jakie nosiła przyjaciółka — słowem, uległa najzupełniej urokowi nowego ideału.

Ta gwałtowna przyjaźń była dla Jabłecznego zagadką najzupełniejszą. Zdawało mu się, że żona jego i Jola reprezentowały dwa tak krańcowo odmienne typy ludzkie, że nic wspólnego nie mogły mieć ze sobą — widocznie jednak było inaczej i tylko jemu nie wystarczało intuicji, aby to odczuć. Być może, że z punktu widzenia czysto psychologicznego mniej by go to zastanawiało, ale niespodziewana przyjaźń obu kobiet miała ten praktyczny skutek, że uniemożliwiała mu najzupełniej widywanie się z Jolą. Pani Maryla zaczęła dyżurować w kuchni dla inteligencji i obie przyjaciółki nie rozstawały się całymi dniami.

Pani Maryla przyniosła sobie z kuchni szklankę herbaty, lekkiej, jak rumianek, i już zupełnie zimnej, i zasiadłszy przy stole, zaczęła ją pić a raczej wysysać cukier. Wciąż jeszcze miała na sobie żakiet i kapelusz na głowie, z którego wyjęła tylko jedną szpilkę i wpięła w obrus.

— Czegóż ty się nie rozbierasz! — odezwał się Jabłeczki po chwili.

— Czekaj, zaraz — odparła roztargnionym głosem.

I znowu się zamyśliła. Jabłeczki spostrzegł, że raz i drugi uśmiechnęła się wesoło.

— Z czego się śmiejiesz?

— Jola ma takie zabawne koncepty,

I nagle westchnęła.

— Że też my nie mamy telefonu. Bez tego człowiek, jak bez ręki.

Jabłeczki skrzywił się niechętnie. Nie lubiał, gdy mu przypomniano rzeczy przykre. A brak telefonu i jego bolał ze względów praktycznych i zasadniczych. Uważał, że telefon w mieszkaniu należał do niezbędnych akcesoriów tego poziomu towarzyskiego, na którym chciał się utrzymywać.

— Skąd ci to teraz na myśl przyszło?

— Byłabym jeszcze parę słów Joli powiedziała.

— Chyba od dziesiątej rano do drugiej w nocy miałyscie czas, aby sobie wszystko opowiedzieć! — wybuchnął Jabłeczki.

Pani Maryla spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Czegóż ty się irytujesz?

I nie czekając odpowiedzi, ciągnęła podrażnionym tonem:

— Trudno z tobą dojść do ładu. Jak się usunęłam na jakiś czas od znajomych, drażniło

cię to, że siedzę w domu osamotniona, teraz, gdy się znów zaczęłam z ludźmi widywać, także jesteś niezadowolony. Czego ty chcesz ostatecznie?

— Ależ, moja droga...

— Parę razy już czepiałeś się mojej przyjaźni z Jolą.

— Nie — zaprzeczył Jabłeczki.

Ale — bardzo miękkim tonem, bo w rzeczywistości słuszność miała pani Maryla. W okresie apatii, jaki przeżywała po wybuchu wojny, Jabłeczki wciąż jej przekładał, że właśnie nie powinna zasiadywać się w domu, tylko szukać towarzystwa. Zależało mu na dobrym humorze żony, bo jej zły humor nieznośnie się odbijał na codziennym pożyciu. Przyjaźń z Jolą wpłynęła na usposobienie pani Maryli bardzo dodatnio. Przestała mieć do męża pretensje o to, że ją zaniedbuje, i Jabłeczki mógł z kawalerską swobodą rozwijać swą działalność polityczną. Co prawda, ze swobody tej korzystał i przedtem, ale musiał okupywać ją denerwującymi awanturami. W nowym układzie stosunków małżonkowie poświęcali sobie nawzajem bardzo mało czasu, ale za to w chwilach tych panowała między nimi harmonia zupełna. W gruncie rzeczy teoria Jabłeczkiego o zbawiennym wpływie miłego towarzystwa na otrząśnięcie się z apatii okazała się najzupełniej słuszną — przez dziwną ironię losu jednak pani Maryla z po-

śród milionowej ludności Warszawy musiała sobie wybrać na przyjaciółkę tę jedną jedyną kobietę, na której i jemu zależało.

Nie wiedząc o tem, pani Maryla mogła pośądzać męża o fantastyczność charakteru. Niezdecydowane jego zaprzeczenie przyjęła wzruszeniem ramion.

— Chyba rozumiem, co mówisz.

— Czy był kto u Joli? — odezwał się wymijająco Jabłeczki.

— Owszem. Ten dziennikarz Stetkiewicz. Bardzo miły człowiek.

Pani Maryla podniosła się z krzesła i lewnym ruchem zdjęła kapelusz.

— Trzeba iść spać.

— Idź, idź, ja się zaraz kładę — mruknął opryskliwie Jabłeczki.

Pani Maryla, która już wychodziła z pokoju, zatrzymała się we drzwiach.

— Czegożeś ty taki zły?

— Ależ nie jestem zły... Jestem w jaknajlepszym humorze. Przestań mnie raz nudzić! — wybuchnął, nie zastanawiając się nad tem, że był to dość dziwny sposób okazywania iaknajlepszego humoru.

Przed dziesięcioma dniami jeszcze taki jego wybuch spowodowałby również energiczną odprawę. Ale pod wpływem przyjaźni z Jolą charakter pani Maryli wyłagodniał. Nietylko

nie obraziła się na męża, ale, zbliżywszy się ku niemu, ujęła go łagodnie za rękę.

— Tobie naprawdę coś jest.

— Głowa mnie boli — stęknął Jabłecki.

Wiadomość o spotkaniu Stetkiewicza przez żonę wywarła na nim jaknajprzykrzejsze wrażenie. W pierwszej chwili zaniepokoił się od-ruchowo, czy dziennikarz, który był świadkiem jego nielegalnej wizyty u Joli, nie zdradził go przed żoną. Odrazu, coprawda, zdał sobie sprawę z bezsensowności tej obawy. Wrazie jakiegokolwiek niedyskrecyi ze strony Stetkiewicza pani Maryla zachowywałaby się zupełnie inaczej. Czyli, że Stetkiewicz był dyskretny. Ale dlaczego? Musiała go o to prosić Jola.

— Ja tego Stetkiewicza znam — odezwał się nagle.

— Wiem — odparła pani Maryla.—Wspominał mi, że się znacie.

Odezwanie się Jabłeckiego miało podstępny cel. Chciał usłyszeć od żony, że o nim na tej wizycie nie wspomniano wcale, jakgdyby nie istniał. Ostatecznie zresztą dziennikarz mógł rozmawiać z jego żoną, nie wiedząc, że to była właśnie pani Jabłecka. I to jak o tako tłumaczyłoby jeszcze jego dyskrecję. Skoro jednak to przypuszczenie okazało się mylnem, to to dowodziło niezbicie, że prawdziwem było poprzednie, co do interwencji Joli.

Jabłeckiego taka złość zdjęła nagle, że aż go podrzuciło na łóżku.

— Bydłę! — syknął przez zaciśnięte zęby.

Nie mógł leżeć. Pani Maryla zasnęła już na szczęście. Pocichu zerwał się z łóżka i, narzuciwszy ubranie, przeszedł do swego pokoju. Zapalił lampę i usiadł przy biurku. Wówczas dopiero przyszła mu na myśl refleksya, że jego złość nietylko nie była uzasadniona, ale zupełnie śmieszna. Przecież Jola w jego własnym interesie prosiła Stetkiewicza o dyskrecję. Powinien jej być być tylko wdzięczny. Pani Maryli nie zależało już może zbyt na jego uczuciach, ale przez miłość własną nie zniósłaby tego rodzaju komedyi.

Wszystko to było prawdą, ale oddając sprawiedliwość szlachetnym intencyom Joli, Jabłecki czuł, że z chęcią rozszarpał by ją w owej chwili na drobne kawałki. Darować jej nie mógł Stetkiewicza. Myśl, że zaciągnął wobec dziennikarza dług wdzięczności, napełniała go upokorzeniem i wściekłością.

W podrażnionej wyobraźni rysował mu się ironiczny uśmiezek, z jakim Stetkiewicz musiał wysłuchać prośby Joli. Taki sam mniejwięcej, jak wówczas w kawiarni po nieudanem zebraniu.

— I takiemu intrygantowi oddawać się w ręce — mruknął, zaciskając pięści.

Ale to było pomyślane w furji. Ochłównawszy nieco, po chwili Jabłecki sam musiał przyznać, że przesadził. Ostatecznie ta jego tajemnica, jaką posiadał Stetkiewicz, nie była znów tak straszna i groźna.

Ale mniejsza o to. Czuł wstręt do dziennikarza i nie życzył sobie, aby tamten cokolwiekbaż o nim wiedział.

Postanowił rozprawić się z Jolą.

Narazie jednak sen go zaczął morzyć, więc wrócił do łóżka. Nazajutrz nie poszedł do biura. Mógł sobie z lekkim sumieniem na to pozwolić, ponieważ z powodu zamętu wojennego porządek biurowy był rozluźniony i na jednodniową czyjąś nieobecność nawet nie zwracano uwagi. Pani Maryla, która od tygodnia codziennie już od rana wychodziła do Joli, tego dnia również została w domu i zapowiedziała nawet, że wyjdzie dopiero na obiad. Jabłeckiemu trafiała się więc nareszcie możliwość ujżenia Joli samej.

Ubrał się pospiesznie, ale kiedy już był na wychodnem, żona zwróciła się nagle do niego.

— A cóż ten twój przyjaciel?

Jabłeckiemu wywietrzała już zupełnie bajka, jaką wymyślił na usprawiedliwienie swego późnego powrotu. Spojrzał na żonę z naiwnem zdziwieniem.

— Jaki?

— No, ten jakiś... kolega szkolny. Miał ci niby dopomódz do założenia partii i ucichło.

— Właśnie teraz mam się z nim zobaczyć — odparł pospiesznie Jabłeczki.

— Jak on się nazywa?

Jabłeczki się zmieszał. Wymyślone nazwisko dawno mu już uleciało z pamięci.

— Jakto nie wiesz?

— Nie, nie... Przepraszam cię, zamyśliłem się i nie dosłyszałem. Coś mówiła?

— Pytałam się, jak się nazywa.

— Karol. Jego trzebaby do nas zaprosić, a tu taki nieład w mieszkaniu — ciągnął pospiesznie, chcąc zaprzątnąć uwagę żony.

I ten podstęp mu się udał. Lepiej nawet, niż przypuszczał, gdyż pani Maryla wyjątkowo tym razem nie stanęła w obronie nieładu w mieszkaniu, ale, rozejrzawszy się po pokoju, westchnęła:

— Aa, mój drogi, mieszkanie do porządku doprowadzić, to najłatwiej.

— A co?

— Na to, żeby kogoś przyjmować, potrzeba pieniędzy.

— Podczas wojny można skromnie — zaprotestował Jabłeczki, ale bardzo niezdecydowanym tonem.

— Choćby najskromniej. Przecież my już ani grosza nie mamy. Nie wiem, jak się do końca miesiąca dociągnie.

— Spróbuj od ciotki pożyczyć.

Pani Maryla machnęła beznadziejnie ręką.

— Ile ty masz?

— Rubel osiemdziesiąt.

— A ty?

— Dwa trzydzieści.

Jabłeczki zmarszczył brwi i po chwili mruknął z gorzkim uśmiechem.

— Razem cztery dziesięć. Niedużo.

Wobec ważności chwili, Jabłeczki, aczkolwiek był już w paltocie i nawet kapelusz miał na głowie, nie spieszył się do wyjścia. Usiadł przy stole, wyczekując, aby pani Maryla podjęła zapoczątkowany przez niego temat.

Ale pani Maryla milczała.

— Więc? — mruknął Jabłeczki po chwili.

— Co więc?

To pozorne niezrozumienie pytań było pewnego rodzaju metodą polemiczną pani Maryli. Jabłeczki wzruszył niecierpliwie ramionami.

— Wybierzesz się do ciotki?

— Mój drogi, chcesz, żebym się do niej wybierała, a sam się jej naraziłeś.

— Ja?

— A kto?

W odpowiedzi na ten nieuzasadniony zarzut Jabłeczki mógł tylko poraż drugi wzruszyć ramionami. Odgadł zresztą odrazu, o co żonie chodziło. Pani Maryla lepiej od niego wiedziała, że kaprysy ciotki Anastazyi były nieobliczalne. I tym razem Jabłeczki do urazy nie dali jej najmniejszego powodu. Ale nie będąc pewną rezultatu swojej wizyty, zgóry chciała zrzucić odpowiedzialność za zawód na męża.

Jabłeczkiemu chodziło jednak o rzecz ważniejszą, niż słuszność. I dlatego nie upierał się przy swoim. Przeciwnie, przybrawszy wyraz skruchy, odezwał się pokornym tonem:

— Być może, że było w tem trochę mojej winy, ale...

— Ale co?

— W każdym razie trzeba by się z nią pogodzić.

Była to jednak kapitulacja zbyt prędką. Pani Maryla czuła bardzo dobrze, że mąż jej nie był naprawdę winien oziębienia stosunków z ciotką. I odrazu odgadła podstępny intencję, jaka się kryła w jego udanej pokorze. Rozdrażniło ją to:

— Ach, tak... Naprawić. A któż to ma naprawiać?

— No, ty.

— Doskonała metoda. Ty swoim brakiem taktu doprowadzasz do zerwania stosunków, a potem ja się mam upakarzać. Dziękuję ci.

— Ależ...

— Nie, mój drogi. Mogę żałować tylko, że wyszłam za człowieka, który nie potrafi nawet zarobić na moje nędzne utrzymanie.

— Dziwny zarzut. Wiesz, że wszystkim pobocinali pensye z powodu wojny.

— A cóżeś ty miał przed wojną?

Pani Maryla wybuchnęła ironicznym śmiechem. I po chwili, mierząc męża pełnym pogardy spojrzeniem, dodała:

— Możliwość pomyśleć, że przed wojną byliśmy milionerami,

— Milionerami nie byliśmy, ale...

— Ale co? Takżeś mnie wciąż wysyłał do ciotki. Jak ty w gruncie rzeczy nic ambicyi nie masz.

— Moja droga...

Jabłecki wyprostował się i uderzył pięścią w stół. Jakiś postronny obserwator mógłby być przypuścić, że go zarzut żony zabolął do żywego. Ale w gruncie rzeczy całe to jego oburzenie było udane. Ile razy pani Maryla udawała się do ciotki po pieniądze, zawsze akt ten musiała poprzedzić scena małżeńska. I te sceny miały już swój wyrobiony typ z zarzutami, powtarzającymi się ze stereotypową dokładnością. Wrażliwość Jabłeckiego na nie mogła się więc stępić. Jeśli od czasu do czasu symulował oburzenie, że poprostu dla przyspieszenia rozwoju akcji. Odpowiedzi męża były konieczne, aby pani Maryla mogła nawiązywać do nich nowe zarzuty.

Czyniła to z przejęciem i temperamentem. Dla Jabłeckiego te jej wybuchy były jedną z niezgłębionych zagadek psychologii kobiecej. Napozór mogło się być zdawać, że pani Maryla była cyniczniejsza od męża. Naprzykład mówiła zawsze o „naciąganiu“ ciotki, podczas, gdy Jabłecki za nic w świecie nie użyłby innego terminu, niż „pożyczka“. Wyraz naciąganie razii go, nie mógł do niego przywyknąć. Ale, gdy

szło o sam fakt, potrafił zachowywać spokój najzupełniejszy, nawet cynizm, i nie mógł pojąć, dlaczego jego żonę napełniało to takim oburzeniem, tembardziej, że wybuchy te kończyły się bardzo niekonsekwentnie. Ostatecznie pani Maryla wybierała się do ciotki i, o ile udało jej się zaciągnąć pożyczkę, odzyskiwała złoty humor. Po fakcie nigdy już nie dręczyła jej myśl o upokorzeniu.

Była to jedna z dziwnych sprzeczności jej charakteru. Ale Jabłecki w pewnych razach umiał niesłychanie szanować cudze indywidualności. I dlatego poddawał się awanturze z pełnym rezygnacyi spokojem.

— Nigdy w życiu nie odżałuję, że mogłam dla ciebie rzucić teatr — westchnęła nagle pani Maryla.

Należało to również do programu i świadczyło, że scena zbliżała się do kulminacyjnego punktu. Jabłecki się ucieszył. Tego dnia wyjątkowo zależało mu na pośpiechu, gdyż mimo wszystko, chciał być przed południem u Joli. Oczywiście, mógł udać obrażonego i wyjść, przerywając w ten sposób rozmowę, ale to była metoda niebezpieczna. Pani Maryla musiała się wypowiedzieć całkowicie, inaczej gotowa była nie pójść do ciotki. W Jabłeckim ścierały się więc dwa uczucia: troski erotycznej i materyjalnej. Obie były tak ważne, że nie mógł się zdecydować, aby jedną dla drugiej poświęcić. Ucieszyło go więc to bardzo, że pani Maryla sama

najwidoczniej skracala tempo sceny. Aby przyspieszyć końcowy wybuch, po którym, według wyrobionego rytuału, pani Maryla powinna była trzasnąwszy drzwiami wyjść z pokoju (a w kwadrans potem i z domu— do ciotki) odezwał się z doskonale udaną pogardą:

— Rzeczywiście, wielkie poświęcenie.

Mimo, że pani Maryla setki razy w życiu słyszała już te refleksye, wypowiedane takim samym zgryźliwym akcentem, jednak poczerwieniała.

— Ach, więc ty nie uważasz tego za poświęcenie!

— Moja droga, o czem innem rozmawialiśmy — mruknął Jabłecki z taką intencją, aby żonie mogło się być wydawać, że rzeczywiście pozwolił sobie na zbyt niestosowną uwagę i że teraz podstępnie pragnął się z niej wywinąć.

— Nie, nie, nie. Nie lubię niedomówień.

Z przedpokoju doleciał nagle odgłos dzwonka. Ktoś dzwonił bardzo gwałtownie.

I to powstrzymało wybuch pani Maryli. Ze zdziwieniem spojrziała w stronę drzwi.

— Któż to może być?

Jabłeckiemu przyszło na myśl, że Jola.

Ale wątpliwości małżonków nie trwały długo. Odrazu przez drzwi doleciał ich głos Twarkowskiego.

— Państwo w domu?

Wizyta kuzyna o tej porze była czemś niespodziewanem zupełnie. I jeden rzut oka na Twarkowskiego wystarczał, aby się przekonać, że musiało zajść coś niezwykłego. Stary kawaler, zazwyczaj ugrzeczniony, spokojny, zachowujący wszystkie formy towarzyskie, tym razem wpadł do pokoju, jak burza.

— Dobrze, że was zastaję!

Mówił zdenerwowanym głosem, krawat miał krzywo zawiązany, jedną dziurkę od marynarki zapiętą o guzik od kamizelki.

— Co się stało?

— A, moi drodzy...

— Chory jesteś?

Twarkowski machnął niecierpliwie ręką.

— Skądże.

Ale podejrzenie co do jego zdrowia mogło być uzasadnione. Usta miał zgorączkowane, oczy podbite, zapadłe i był tak blady, że aż się Jabłeccy przerazili.

— Bo muszę ci szczerze powiedzieć, że wyglądasz trochę niedobrze — zaczął ostrożnie Jabłecki, ale Twarkowski przerwał mu odrazu.

— Głupstwo. To z niewyspania.

— Z niewyspania?

— Wyobraźcie sobie, że przez calutką noc ani oka nie zmrzyłem.

Ze wszystkich możliwych rewelacji ta była najsensacyjniejsza. Twarkowski słynął z tego że wiódł tryb życia regularny, według zegarka.

Ulubionym przytem jego tematem było narzekanie na nocne życie Warszawy. Skoro taki człowiek mógł przez całą noc oka nie zmrzyć, to rzeczywiście musiało zajść w jego życiu coś niestychanego.

Równocześnie jednak wyznanie Twarkowskiego tworzyło tak jaskrawy kontrast z temi wyobrażeniami, jakie o nim mieli Jabłeccy, że oboje nie mogli się powstrzymać od uśmiechu.

— Gdzież się tak zawieruszył?—odezwał się Jabłeczki.

Pytanie to uraziło najwidoczniej Twarkowskiego.

— Cóż ty sobie wyobrażasz, że ja w restauracyi gdzieś noc spędziłem?

— Nie wiem.

— Mówże raz, co się stało — poczęła się niecierpliwić pani Maryla.

Twarkowski wyprostował się uroczyście.

— Całą noc spędziłem przy biurku. Pracowałem.

— Nad czem?

— Otóż o tem właśnie pragnąłem z wami pomówić. Czy ty wychodzisz?—zwrócił się nagle do Jabłeckiego, spostrzegłszy, iż miał on na sobie paltot i kapelusz.

— Miałem wyjść, ale mniejsza o to. Słucham.

— Nie, nie, rozbierz się przedewszystkiem. Musimy porozmawiać poważnie.

Poważnie — to znaczyło, że Twarkowski będzie ich nudził przez trzy godziny z rzędu. W tej chwili Jabłeczki musiał zdać sobie sprawę, że z nadziei zobaczenia Joli przed południem należało zrezygnować. Po południu żona ją weźmie w obroty i znów przez parę dni okazya może się nie trafić. W pierwszej chwili podniecony wygląd kuzyna bardzo go zaintrygował, ale odrazu przyszło mu na myśl, że Twarkowski spędził prawdopodobnie noc na układaniu jakiegoś politycznego programu. I to ostudziło jego ciekawość. Usiadł, ale poprzestał na zdjęciu kapelusza.

— A palto? — dopominał się Twarkowski.

— Przyznam ci się szczerze, że mam bardzo ważny interes na mieście. Ale chyba w dziesięć minut opowiesz nam, o co chodzi. A gdyby się trzeba było nad czemś naradzić, no, to może wieczorem.

— Nie — odparł Twarkowski — musimy o tem pomówić zaraz.

Był jakiś nowy ton w jego głosie. Stano wczość, o jaką Jabłeczki nie podejrzewał nawet dotychczas kuzyna, mimo, iż przypuszczał, że go znał dobrze. Pojął, że wszelkie upierania na nic by się nie zdały. Zdjął palto i powiesił obok na krześle.

Ale Twarkowskiemu i to nie wystarczyło.

— Powieś na wieszadle.

— Mówże raz, o co chodzi!—wykrzyknęła ostatecznie już zniecierpliwiona pani Maryla.

— Zaintrygowaleś nas, a teraz na głupstwa czas tracicie.

— To są rzeczy poważne i trzeba poważnie o tem rozmawiać — odparł Twarkowski.

Klnąc w duchu kuzyna, Jabłecki odniósł palto do przedpokoju. Gdy wrócił, Twarkowski rozejrzał się po pokoju i, jak gdyby atmosfera jadalni wydała mu się nieodpowiednią do wynurzeń, odezwał się nagle:

— Chodźmy do salonu.

To już przebrało miarę cierpliwości pani Maryli.

— Czyś ty oszalał! Mówże raz, o co ci chodzi?

— To są rzeczy poważne — zaczął znów uroczyście Twarkowski, ale pani Maryla nie dała mu dokończyć.

— Wiemy, wiemy... Dziesięć razy już to słyszeliśmy.

W duszy Jabłeckiego zaświtała nagle nadzieja, że może Twarkowskiemu swoją systematycznością uda się tak zniecierpliwic panią Marylę, że w końcu nie będzie już o niczem chciała słyszeć i poprostu wyrzuci go za drzwi. Zdarzało się już i tak parę razy. Twarkowski nie był obraźliwy (oczywiście, tylko w stosunku do rodziny), po takich zatargach w dwa lub trzy dni wracał, jak gdyby nic nie zaszło.

A narazie miałyby to ten dobry skutek, że pozwoliłoby Jabłeckiemu iść do Joli.

Ale Twarkowski rzucił na panią Marylę tak błagalne spojrzenie, że to ją roztkliwiło.

— Chodźmy do salonu, skoro ci tam będzie wygodniej.

W salonie Twarkowski kazał małżonkom zasiąść na kanapie, sam przysunął się do nich z fotelem, potem zerwał się jeszcze i zamknął drzwi do stołowego pokoju, które zostały nieodmknięte, słowem, przygotowywał się, jakby do jakiejś konspiracyjnej rozmowy. Jego podniecenie i tajemniczość tak zasugestyonowały Jabłeckich, że sami przejęli się tym nastrojem i czekali już cierpliwie, aż Twarkowski zacznie mówić.

Ale temu wciąż coś stawało na przeszkodzie. Twarkowski chrząknął już, co mogło być miarą uroczystej doniosłości przemowy, gdy nagle spostrzegł, że miał marynarkę przypiętą do kamizelki. Uśmiechnął się, przywracając garderobę do porządku.

— Widzicie, jaki byłem zdenerwowany.

I znów umilkł. Jabłeckiemu najrozmaitsze przypuszczenia przychodziły do głowy. Nawet takie brutalne: „Może po mordzie od kogo dostał“, ale nie miał już siły poraz czwarty z rzędu pytać kuzyna, co się stało. Czekał.

Twarkowski odezwał się wreszcie szeptem.

— Chodzi o majątek.

— Jaki?

— Mogę być bogatym człowiekiem.

Prawdopodobnie dla Jabłeckich stokroć żywotniejszym tematem byłby sposób, w jaki by oni mogli zostać bogatymi ludźmi, ale bądźco-bądź ze względu na blizkie pokrewieństwo z Twarkowskim, możliwość zmiany jego losu tak-że ich żywo zainteresowała.

— W jaki sposób?

— Zrobiłem wynalazek.

— Jaki?

— Wojskowy.

Na twarzy pani Maryli odmalowało się rozczarowanie. Twarkowski w lot to pochwycił.

— Tak, tak... Uważacie mnie w tej chwili za waryata. Na to byłem przygotowany.

Ani Jabłeczki, ani pani Maryla nie zdobyły się na tę delikatność, aby zaprzeczyć.

Twarkowski uśmiechnął się ironicznie.

— Ma się rozumieć.

— Nie obrażaj się — zaczął Jabłeczki, ale Twarkowski nie dał mu dokończyć. Zmieniając nagle ton, odezwał się zimnym, spokojnym głosem:

— Pomówmy logicznie. Dlaczego przypuszczacie, że nie mogłem zrobić tego wynalazku? Zdaje wam się, że jestem za głupi?

Pytanie znowu stawiało małżonków w drażliwej sytuacji. Bo, gdyby chcieli być szczerzy, odpowiedź musiałaby wypaść twierdząco. Jabłeczki mruknął:

— No, nie...

Ale tak mało było przekonania w jego

głosie, że pani Maryla uznała za konieczne ja-koś silniej zaakcentować swoje zaufanie do umy-słowości kuzyna. Przytoczyła argument kom-promisowy:

— Na tem trzeba się znać.

— Znam się — odparł stanowczym tonem Twarkowski.

Jabłeczki spojrział na niego podejrzliwie. Od pierwszej chwili przyszło mu na myśl, że Twarkowski zwaryował. I Twarkowski to wy-czuł, chociaż wogóle nie odznaczał się zbyt wielką intuicją.

— Nie przyglądaj mi się tak badawczo. Mam wszystkie zmysły w porządku.

— Ależ, mój drogi...

— Wracajmy do rzeczy. Powiedziałaś, Marylu, że na tem trzeba się znać. Otóż raz jeszcze powtarzam, że się znam. Od dzieciń-stwa miałem zamiłowanie do fizyki.

Pani Maryla była młodsza od kuzyna i nie mogła pamiętać jego dzieciństwa. Ale znała pewne szczegóły z tradycyi rodzinnej, między innymi ten, że Twarkowskiego z powodu fizyki właśnie ostatecznie wyrzucono z gimnazyum. Oburzyło ją więc twierdzenie kuzyna tak, że już nie mogła zapanować nad swym wybuchowym temperamentem.

— Mój drogi, zapominasz pewnie, że je-steśmy krewnymi.

— Nie rozumiem.

— Nie rozumiesz? Więc ci wytłómaczę.

Jeśli ty od dziecka miałeś zamiłowanie do fizyki, to ja od dziecka pamiętam, że zawsze sły-
szałam, żeś miał same pałki z fizyki i że dla-
tego wyrzucono cię z gimnazjum, boś trzy razy
z rzędu po dwa lata siadywał w klasach i ścią-
łeś się na poprawce z fizyki. Więc mi już tego
nie opowiadaj!

Twarkowski poczerwieniał zlekka. Znać
było, że wywlekanie tych dawnych wspomnień
dotknęło go niemile. Ale odrazu odzyskał pa-
nowanie nad sobą.

— To wszystko jest prawda. Zapominasz
tylko dodać, że fizyka była tylko pretekstem.

— Do czego?

— Właśnie do usunięcia mnie z gimna-
zjum. Chciano mnie się pozbyć, bo wywiera-
łem zbyt duży wpływ na kolegów.

— Ach, tak!

— A zresztą, wszystko jedno. Przypuść-
my, że miewałem same pałki z fizyki. Czego
to dowodzi? Niczego. Można w szkołach uchod-
zić za nieuka, a w życiu być bardzo inteli-
gentnym człowiekiem. Pomyśl, że co roku w ca-
łym państwie przynajmniej kilkuset uczniów koń-
czy gimnazyum z medalami. I co się z nimi
dzieje? Słyszać o nich w życiu?

— Tak, to prawda — zauważył Jabłecki,
który był zasadniczo przeciwnikiem gimnazyal-
nego systemu wychowania. Twarkowski po-
dziękował mu uśmiechem. Ale tę wymianę

grzeczności pani Maryla odrazu wytlómaczyła
inaczej.

— No, tak, ty mu potakujesz, bo to woda
na twój młyn.

— Jakto?

— Sam także nic nie skończyłeś.

— Przepraszam cię — przerwał ostro Ja-
błecki. Żona dotknęła najdrażliwszego punktu
jego ambicji. I to go zwłaszcza oburzyło, że
wyrwała się ze swoim niedyskretnym przycin-
kiem przy Twarkowskim, wobec którego Ja-
błecki starał się zawsze uchodzić za pewnego
rodzaju autorytet umysłowy.

W innej sytuacji może Twarkowski pod-
chwyciłby tę złośliwą rewelację, równającą go
w prawach z kuzynem, który mu zawsze impo-
nował zagranicznym uniwersytetem, ale narazie
tak był własnymi myślami pochłonięty, że nie
zwrócił na to uwagi.

A Jabłecki przez złość do żony zaintere-
sował się nagle wynalazkiem Twarkowskiego.

— Powiedz-że nam, o co chodzi.

Twarkowski jednak widocznie pragnął jesz-
cze przedtem wpoić w małżonków przekonanie
o swoich prawach do robienia wynalazków.

— Właśnie w dziedzinie wynalazków to
jest charakterystyczne, że mnóstwo znakomitych
wynalazków poczynili ludzie, którzy wcale za-
dnych szkół nie kończyli. Samoucy. Mógłbym
wam tuzinami nazwiska cytować.

— Ciekawam, jakie? — mruknęła pani Maryla.

— No, choćby ten włos.

— Kto taki?

— A, mam na końcu języka nazwisko... Zaraz, przypomnę sobie, to ci powiem. A zresztą, to do rzeczy nie należy. Otóż mówiłem ci, że od dzieciństwa lubiłem fizykę—ciągnął Twarkowski, zwracając się już wyłącznie do Jabłeckiego.— Teraz, jak wybuchła wojna, zainteresowałem się trochę techniką broni. Zwłaszcza pociągały mnie torpedy. Kupiłem parę specjalnych książek i czytywałem to wieczorami.

— Nic nam nie mówiłeś — przerwała wciąż niedowierzająca pani Maryla.

— Nie zgadało się o tem.

— I torpedę wymyśliłeś?—odezwał się Jabłeczki.

— Zaraz. Pozwólcie, że wam wszystko po kolei opowiem. Otóż czytałem i tak coś niecoś roiiło mi się po głowie. Zdawałem sobie sprawę, że te istniejące torpedy możnaby jeszcze udoskonalić, wzmocnić ich niszczyielską potęgę... Ale jak?

Umilkł i spojrzał pytająco na Jabłeckiego, tak, jakgdyby od niego oczekiwał rozstrzygnięcia tej kwestyi.

Była to tylko retoryczna pauza, ale Twarkowski wytrzymał ją tak długo, że wkońcu Jabłeczki odezwał się, wzruszając ramionami.

— Pzecież ja nie wiem.

— I ja nie wiedziałem.

— Zdaje mi się, że jeszcze nie wiesz — zauważyła sceptycznie pani Maryla.

Twarkowski zmierzył ją pełnem wyrzutem spojrzeniem.

— Moja Marylu, jak ty się czego ucze-pisz...

— No, więc mówże nareszcie. Od godziny słuchamy, żeś zrobił jakiś genialny wynalazek, i nie możemy się dowiedzieć, co takiego.

— Bo mi przerywacie.

— My?

— Więc, wyobraźcie sobie, wciąż mi to chodziło po głowie. Probuję z tej strony—nic; z drugiej strony — nic. Aż tu wczoraj wieczorem siadam do biurka—trach! jest. No, mówię wam, takie uczucie, jakby naraz błyskawica zapaliła mi się w mózgu. Zaczynam wyliczać, rvsować. Cała noc zbiegła mi, jak jedna chwilka. Ani się spostrzegłem, a tu szaro, potem świt, ósma godzina, dziewiąta godzina, dziesiąta...

Twarkowski zerwał się z krzesła i począł gorączkowo spacerować po pokoju. Oczy błyszcząły mu nienaturalnym blaskiem. Korzystając z chwili, gdy kuzyn odwrócił się do nich tyłem. Jabłeczki spojrzał porozumiewawczo na żonę i zakreślił palcem kółko na czole. Pani Maryla odpowiedziała mu potakującym skinieniem głowy. Opinia ich co do Twarkowskiego była zdecydowana. Ale oboje niezbyt się tem nieszczę-

sciem przejęli. Pani Maryla uśmiechnęła się nawet.

Twarkowski zatrzymał się nagle przed Jabłeckim i wyciągając z bocznej kieszeni surduta gruby zeszyt, odezwał się tryumfującym tonem.

— Jest.

Jabłeczki począł z zaciekawieniem przeglądać zeszyt. Były to jakieś wyliczenia, rysunki, notatki — wszystko zresztą pisane a nawet wykalfigrafowane bardzo porządnie, równem, spokojnem pismem.

— Lekko licząc, możnaby za to mieć co najmniej okrągły milion — odezwał się Twarkowski.

— Mam nadzieję, że nie zapomnisz o krewnych — odparł żartobliwie Jabłeczki.

— Podzielę się z wami poprostu! — wykrzyknął Twarkowski z akcentem szczerzego uczucia w głosie.

Ale zaraz spochmurniał.

— Tylko...

— Co?

— Ano, trzeba przedewszystkiem, żębym sam miał te pieniądze.

Pani Maryla spojrzała na kuzyna podejrzliwie. Aczkolwiek nie wierzyła absolutnie w wynalazek Twarkowskiego, jednakże w tem zastrzeżeniu coś ją dotknęło niemile, jakgdyby to już była próba poszukiwania jakiegoś wykrętu.

— Jakto sam... Przecież, skoro ten wynalazek jest naprawdę coś wart...

— Wart jest dużo, nietylko coś — odparł Twarkowski z pobłażliwym uśmiechem człowieka, przygotowanego na to zawczasu, że nie będzie zrozumiany. — Wart jest dużo — powtórzył poraz drugi po chwili, ale to, co dotychczas zrobiłem, to są tylko teoretyczne wyliczenia; trzeba teraz zbudować model i na to potrzebaby mi było paru tysięcy rubli. Powiedzmy — pięciu! Jeśli je będę miał, zrobię majątek, jeśli nie...

Pełnym rezygnacyi ruchem rozłożył ręce

— No, przecież specjaliści ten wynalazek ocenią — odparła pani Maryla. — Jeśli uznają go za dobry, to rząd poprostu może ci dać pieniądze.

Twarkowski skrzywił się nagle, jakgdyby go coś zabolalo.

— Niema nic gorszego, jak przychodzić z wynalazkiem nieudoszkonalonym, to znaczy, nie doprowadzonym do perfekcyi w najdrobniejszych szczegółach. Wówczas pierwszy lepszy detalik odrazu może ludzi zrazić. Skoro wy, bliżcy krewni, których znam od dzieciństwa, do których mam zaufanie, uważacie mnie za waryata, to dlaczego jakiś inżynier z ministeryum marynarki, któremu bym ewentualnie to przedstawiał, nie miał by mieć o mnie takiego samego wyobrażenia.

Pytanie to było logiczne. W głosie Twar-kowskiego dźwięczał przytem żal, który rozbroił Jabłeckich.

— Przedewszystkiem my cię nie uważamy za waryata — odezwała się pani Maryla.

— Więc co ci jeszcze do tego wynalazku potrzeba? — odezwał się Jabłeczki czując, że to najskuteczniej zmieni temat rozmowy.

— Powtarzam ci, zbudować model. Mam jeszcze parę drobnych wątpliwości, ale żeby zdać sobie z nich sprawę, muszę już tę całą moją maszynę mieć przed oczami, zrobioną.

— I na to potrzebaby pięciu tysięcy rubli?

— Conajmniej.

— W dzisiejszych czasach — odezwał się Jabłeczki tonem, który uwalniał go najzupełniej od ścisłego formułowania myśli.

— Ba, żeby nie ta wojna — westchnął Twar-kowski.

— Żeby nie wojna, tobyś przecie i tego wynalazku nie zrobił, bo na myśl by ci to nie przyszło.

— Kto wie, kto wie... Ja o tych rzeczach ludziom nie rozповідаłem, ale zajmowałem się niemi zawsze. Moi drodzy...

— Co?

— Przyszedł mi jeden projekt do głowy. Twarkowski co chwila urywał, co mogło świadczyć, że wypowiedzenie tego jednego pro-

jektu krępowało go trochę. Ale pani Maryla od-gadła intuicyjnie, o co mu chodziło.

— Ciotka Pełtwiczowa? — odezwała się, mie-rząc Twarkowskiego badawczem spojrzeniem.

— Tak.

— Nie.

— Nie — powtórzył za żoną Jabłeczki jeszcze twardszym tonem.

Na twarzy Twarkowskiego odmalowało się wyraźnie przygnębienie.

— Sądziacie?

— Napewno.

— A ja miałem nadzieję, że Maryla będzie mi mogła trochę dopomóc.

Pani Maryla zaprotestowała energicznie.

— Nie, nie, nie... Na to nie licz...

— Ciebie ciotka Pełtwiczowa tak lubi.

— Wcale mnie nie lubi.

— Wogóle pani Pełtwiczowa jest na nas o coś urażona — poparł żonę Jabłeczki.

Twarkowski uśmiechnął się ironicznie. I po-patrzył na małżonków tak, jakgdyby budziło się w nim podejrzenie co do szczerości ich słów i in-tencji.

— Urażona na was, od dawna?

— Od paru miesięcy.

— Hm.

— Cóż cię to tak dziwi?

— Ja miałem wrażenie, że... ciotka poma-ga wam trochę.

— Nam?!

Pani Maryla zerwała się gwałtownie z krzesła.

— I któż to te plotki robi?

— Ależ, Marylu — przerwał jej błagalnym tonem Twarkowski, zatrwożony już nieco niedyskrecją, jaką popełnił.

— Kto ci to powiedział?

Twarkowski pochylił pokornie głowę.

Ale ten symboliczny gest skruchy nie zadowolili pani Maryli. Powtórzyła natarczywym tonem.

— Kto ci to powiedział?

— Nikt. Zdawało mi się...

— Głupio ci się zdawało.

— No, bo sama parę razy mi wspominałaś.

To była prawda, rzeczywiście. Pani Maryla dawniej jeszcze wspominała kilkakrotnie przy Twarkowskim o pożyczkach, jakich im udzielała ciotka. Nie miało to charakteru zwierzeń, ale raczej wyrzutów czynionych mężowi. Fakt jednak pozostawał faktem i Twarkowski miał dane do swego twierdzenia.

Pani Maryli nic tak jednak nie drażniło, jak cudza słuszność.

— Zamiast sobie głowę głupimi wynalazkami zawracać, pomyślałbyś lepiej, do jakiej partii wstąpić—wybuchnęła.

Twarkowski nie był obraźliwy, od najbliższych zwłaszcza wiele rzeczy łagodnie przyjmował,

ale tym razem „głupi wynalazek“ dotknął go do żywego. Wyprostował się sztywno.

— Czy głupi to już inni osądzą—wycodził przez zęby.

— A zresztą, przecież ona nie ma tyle pieniędzy, żeby ci mogła tak na poczekaniu dać pięć tysięcy rubli — odezwał się Jabłecki.

Wynalazca był skłonny do ustępstw.

— Ostatecznie, nie chodzi mi o to, żeby to było jednorazowo.

— I tak i tak nie dostaniesz—syknęła pani Maryla.

— Spróbuje.

— Jakto?

— Wybiorę się do niej.

— Sam?

— No, liczyłem na ciebie, ale skoro mi odmawiasz...

Jabłeccy spojrzeli na siebie zaniepokojeni. Nie porozumiewali się ze sobą, ale obojgu jednocześnie jedna i ta sama myśl przyszła, że ponieważ ciotka Pełtwiczowa była nieobliczalna i narwana, więc kto wie... I pani Maryla odezwała się nagle nieoczekiwanie przyjaznym tonem:

— Ja ci nie odmawiam. Ostatecznie, skoro ci tak na tem zależy, mogę się do niej wybrać.

Wbrew temu, czego się można było spodziewać jednak. Twarkowski przyjął tę życzliwą ofertę dość chłodno.

— Pójdę — powtórzyła natarczywie pani Maryla.

Twarkowski znów nic nie odpowiedział. Po wargach błąkał mu się jakiś niepokojąco ironiczny uśmiech.

— Ileż by ci na początek było potrzeba?

— Nie, nie... nie chodź.

— Dlaczego.

— Zdecydowałem się, sam pójdę.

— I wszystko popsujesz! — wybuchnął Jabłecki.

— Popsuję?

— Ma się rozumieć. Z Pełtwiczową trzeba umieć rozmawiać. Ty jej napewno coś odrazu takiego palniesz, czem ją do siebie zraszisz.

— Ależ...

Tym razem pani Maryla wyręczyła męża, nie pozwalając Twarkowskiemu dokończyć zdania.

— Ma się rozumieć. Jesteś gwałtowny, odrazu się pokłócicie.

— Ja gwałtowny?

— Wogóle może nie, ale dziś jesteś zde nerwowany — zaczął łagodzić Jabłecki trochę już może ryzykowną opinię żony.

— Hm — mruknął przeciągle Twarkowski. Coś to westchnienie miało symbolizować, ale co? Jabłecki napróżno starał się to wyczytać z oczu kuzyna. Pani Maryla siedziała z zaciśniętymi ustami, co świadczyło, że siłą woli po-

wstrzymywała wybuch. Wytworzyła się nagle sztuczna, naprężona atmosfera.

Jabłecki wyczuwał doskonale, co się działo w duszach jego żony i Twarkowskiego. Pani Maryla popsowała wszystko jednym niezręcznym, powiedzeniem. Całe życie nazywała Twarkowskiego ślamazarą i niedołągą i naraz poczęła mu wyrzucać gwałtowność. Twarkowski i gwałtowność. Mimo całej powagi sytuacji Jabłecki musiał zagryść wargi, żeby nie parsknąć śmiechem. Ale szybko odeszła mu ochota do śmiechu. Chodziło o Pełtwiczową. A nuż taka stara histeryczka da się opętać Twarkowskiemu. Było to zupełnie w jej stylu. Wynalazek, sława, zawracanie głowy... I gotowa była zacząć pchać w niego pieniądze.

Pani Maryla także już teraz zdawała sobie sprawę ze swojej niezręczności i dlatego była zła. A nagła sztywność Twarkowskiego aż nadto wymownie świadczyła, że się już domyślił, dlaczego tak im zależało na tem, żeby sam nie chodził do Pełtwiczowej.

Pod takim wrażeniem nie można go było z domu wypuszczać. Jabłecki odezwał się nagle tonem niesłychanego zaciekawienia:

— Ale opowiedz - że nam coś nareszcie o samym wynalazku. Na czem to ulepszenie polega?

— Długo trzebaby mówić — mruknął Twarkowski.

Ta powściągliwość dawała miarę jego urazy.

— No, więc cóż, że długo... Mów.

— Nie, nie, nie... Nie mam czasu.

— Ależ...

— Doprawdy, nie zatrzymujcie mnie... Kiedy indziej wam opowiem. Dziś nie mam czasu.

Twarkowski był łagodny i cierpliwy, wzmian za to, jeśli się czasami „zaciął“, żadna siła ludzka nie była w stanie przewyciężyć jego uporą. Jabłeccy wiedzieli o tem i nie próbowali go zatrzymywać. Pożegnanie było bardzo chłodne. Jabłeczki odprowadził kuzyna do przedpokoju.

— Cóżes ty się obraził na nas?

— Nie.

— Maryla pójdzie do ciotki. Ja ją sam wyprowadzę.

— Zbyteczne, sam się tem zajmę.

Ton tych odpowiedzi był jeszcze wymowniejszy od ich lakonizmu. Wróciwszy do żony, Jabłeczki odezwał się wzruszając ramionami.

— To bydlę zwarjowało.

— Mniejsza o to, ale gotów intryg narobić.

Cynizm pani Maryli zaimponował Jabłeczkiemu. W duchu przyznał jej też słuszność, że chwila nie była odpowiednią potem, aby się zajmować stanem umysłowym krewnego. Należało szybko i energicznie przeciwdziałać jego możliwym intrygom.

— Wybierzesz się do ciotki?

— Zaraz.

— Gotów naplotkować, że zależało nam na tem, aby go do niej nie dopuścić.

— Już mi to na myśl przychodziło.

— Dziś pójdę sama, ale jutro, albo pojutrze musimy razem ją odwiedzić.

— Oczywiście.

— Ona jest skłonna do entuzjazmu i taka rzecz, jak wynalazek, może na nią podziałać.

— Zawsze jej piątej klepki brakło — mruknęła pani Maryla, odważniejsza od męża w formułowaniu swoich myśli. Spotkamy się na obiedzie.

— Ja też wychodzę.

— Dokąd?

— Mam parę interesów — odparł wymijająco Jabłeczki. Tak się szczęśliwie składało, że mógł jeszcze zdążyć wpaść przed obiadem do Joli.

IX.

Jabłecki podprowadził żonę tuż pod samą bramę kamienicy, w której mieszkała utytułowana ciotka, i w ostatniej chwili odezwał się takim tonem, jakby szło o jakiś nic nie znaczący drobiazg, który mu się mimowoli na myśl nasunął.

— A ile masz zamiar?

Pani Maryla skrzywiła się niewyraźnie.

— Zobaczę.

Jej brak werwy rozdrażnił trochę Jabłeckiego.

— W takich razach trzeba mieć tupet.

— Idź sam.

— Już się obrażasz.

— Nie obrażam się, tylko ponieważ ja idę a nie ty, więc się obejdę bez twoich nauk moralnych.

I znikła w bramie. Jabłecki uszedł wolno parę kroków, przystanął i począł obserwować bramę, niespokojny, czy nie zobaczy zaraz żony z powrotem. Ale minęła dość długa chwila, pani Maryla się nie pokazywała, co było pocieszającą oznaką że zastała ciotkę w domu. Ja-

błecki wierzył w przywiązanie ciotki do siostrzenicy i w talenty dyplomatyczne żony. Na tem jednak, aby się upewnić, że pani Maryla zastała ciotkę, zależało mu i z innych jeszcze względów. Pełtwiczowa była gadatliwa i nudna i Jabłecki wiedział, że wcześniej, niż za jakieś dwie godziny, żona jego nie wydobędzie się stamtąd. Nie było więc obawy, aby go zaszła u Joli.

Chodziło tylko o to, aby Jolę zastać. Niestety było to wątpliwe! Jola przed południem nie przesiadywała w domu nigdy. Przez całą drogę z Hożej na Szczyglą Jabłecki powtarzał że Joli nie będzie, ale kiedy zadzwonił i usłyszał rzeczywiście, że „panny Joli niema“, odczuł to tak, jakgdyby Jola naumyślnie wyszła aby narazić go na zawód i przykrość.

— Dawno panna Jola wyszła?—dopytywał się służącej.

— Od samego rana.

Zdejmowało to oczywiście wszelką odpowiedzialność z Twarkowskiego. Ale potrzebując na kimś złość swoją skupić, Jabłecki jemu przypisywał winę niezostania Joli w domu.

— Żeby mnie to bydłę nie przetrzymało, byłbym ją jeszcze zastał napewno. Idyota... W Tworkach skończy ze swojemi wynalazkami—przeklinał w duchu kuzyna żony.

Równocześnie jednak wściekły był na Jolę i przepisywał jej najniecieńsze intrygi. Oczywiście, cała ta przyjaźń z Marylą to miała tylko

na celu, aby jego drażnić. Jola była chytra i opętała Marylę, używając jej dla swoich kieteryjnych celów. Jabłeckiego ogarnęło nagle oburzenie, że tak wyzyskiwano dobrą wiarę jego żony.

Wlokąc się apatycznie przed siebie, dojrzał nagle Zachrupczyńskiego. Chciał go wyminąć, bo nie był usposobiony do rozmowy, ale bankowiec też go zauważył i zatrzymał.

— Kiepsko — odezwał się tajemniczym szeptem.

JabłECKI tak był narazie pochłonięty troskami osobistymi, że przyjął tę wiadomość dość obojętnie.

— Pod jakim względem?

Na twarzy Zachrupczyńskiego odmalował się wyraz zgorzzenia i zdumienia.

— Jakto, pod jakim względem? Zbliżają się...

— Ji — mruknął sceptycznie JabłECKI.

— Proszę pana, ja plotek nie rozpowszechniam nigdy. I jeżeli ją panu co mówię, to to jest murowane.

— A cóż się stało?

— Bank Państwa... już... już...

— Parę tygodni temu już pan to samo opowiadał.

— Wtedy ewakuację w ostatniej chwili odwołano. Zresztą, przekona się pan, może jutro, może pojutrze. Moje uszanowanie.

Zachrupczyński był widocznie urażony bra-

kiem zaufania do jego wiadomości „Moje uszanowanie“ było wypowiedziane tonem, który do prawdziwości owego uczucia mógł wzbudzić pewne powątpiewania, zimno podał dłoń JabłECKIEMU.

Ale JabłECKI przytrzymał go za rękę. Ochłonałszy z wrażeń osobisto-erotycznej natury, zaczął czuć społecznie i informacyjnie bankowca zaniepokoiły go trochę.

— Więc to już taki gwałt?

— W każdym razie, sytuacja poważna.

— Hm...

Wyraz troski jaki się odmalował na twarzy JabłECKIEGO, udobruchał bankowca.

— Tak, panie... Wszystko spakowane... wszystkie akta, papiery książki. Czekają tylko ostatniego rozkazu. Jechać. Jazda.

— To by było fatalne.

— Wyobrażam sobie — roześmiał się zjadliwie Zachrupczyński.

I po chwili dodał:

— Zwłaszcza dla wielu ludzi, którzy się już przygotowywali u nas do odgrywania wybitnych ról politycznych.

JabłECKI spojrzał na niego podejrzliwie. Nie wiedział, czy to miał być przyczyna do jego ambicyi politycznych. W każdym razie, mógł to sobie tak wytłumaczyć. Odparł chłodno:

— Rola polityczną można odegrać zawsze.

— Zapewne, zapewne.

— O ile chodzi nie o własne ambicje, tylko o rzeczywistą chęć służenia krajowi.

— Takich polityków chyba jest mało na świecie — mruknął Zachrupczyński.

— Dlaczego?

— Wszystkim chodzi o własne ambicje.

Jabłeczki odczuł to jako obrazę, wyrządzoną całej korporacji, do której w duchu się zaliczał.

— Bardzo jednostronny pogląd.

— Ja się byle czem entuzjazmować nie potrafię.

— Nasz swojski pesymizm...

— Płynący z doświadczenia.

— Albo z rozgoryczenia zawiedzionych ambicyi — odparł Jabłeczki.

Zachrupczyńskiemu nie podobała się ta uwaga. Przystanął i zmierzył Jabłeczkiego przeciągłym, wyzywającym spojrzeniem.

— Cóż to ma znaczyć?

— Oh, pan to odrazu do siebie bierze — odparł Jabłeczki.

— Do siebie? Nie — zaprzeczył Zachrupczyński.

Ale po chwili dodał ze złośliwym uśmiechem.

— A cóż pańska partya polityczna?

— Jaka moja partya? Nie mam partyi.

— No, przecież nas pan zwoływał celem wyłuszczenia programu.

Wobec tego, że zebranie się nie udało

w wyrazach „nas zwoływał“ była pewnego rodzaju subtelna ironia. Ale Jabłeczki ją przełknął.

— Już pan zaniechał zamiaru? — dopytywał się Zachrupczyński, sądząc, że jest to temat dla Jabłeczkiego nieprzyjemny.

— Nie zaniechałem i w tych dniach mam zamiar znów kilkunastu ludzi zebrać. Sądzę, że ustalenie sobie poglądów na pewne zagadnienia chwili bieżącej jest konieczne — recytował Jabłeczki frazes z jakiegoś artykułu wstępnego.

— Tak... tak.

— Tylko urzędzę to inaczej. Nie w kawiarni, a u siebie w mieszkaniu, wieczorem. Zjemy kolacyę i pogadamy.

Zachrupczyński był oszczędny i, zwłaszcza w tych wojennych czasach, lubiał jadać kolacye poza domem. Pomysł więc zebrania wieczornego bardzo mu się podobał.

— Tak, to racya.

Szczerze uznanie, z jakim to wypowiedział, ujęło Jabłeczkiego. Zachrupczyński wrócił na listę gości, z której przez parę minut był wykreślony.

— Sądzę, że pan nie odmówi mi przybycia.

— Przyjdę, przyjdę... bardzo jestem ciekaw.

Rozstali się jaknajczulej. Ale ledwo Jabłeczki uszedł parę kroków, Zachrupczyński go dogonił.

— Tylko panie — zaczął szeptem z tajemniczą miną.

— Co?

— Jeśli mamy się naradzić, to trzeba szybko...

— Ma się rozumieć. Takiś sprawy...

— Nie, nie... Tu nie chodzi o ogólną zasadę. Trzeba się spieszyć, bo za parę dni możemy mieć gości.

— W takim razie nie byłoby już nad czym radzić, uśmiechnął się gorzko Jabłecki.

— Jakto? Właśnie w takim razie — wybuchnął Zachrupczyński. Wytknąć linię postępowania.

— Ale czy to aby pewna wiadomość o tym Banku Państwa?

Zachrupczyński nie znosił, aby kwestionowano jego wiadomości. To też odrazu odparł chłodniejszym tonem:

— Ja plotek nie rozpuszczam.

— Ależ niema mowy o tem — zaprzeczył żywo Jabłecki. — Tylko to źródło, z którego pan słyszał, mogło być mylne.

— Ja się informuję zawsze z dobrych źródeł.

Drugie pożegnanie było już znacznie chłodniejsze, niż pierwsze.

— Idjota — pomyślał Jabłecki, oglądając się za bankowcem. W zasadzie nie przywiązywał wagi do jego wiadomości, ale wogóle nie lubiał nawet plotek na ten temat. I dlatego Zachrupczyński popsuł mu trochę humor.

Pozatem to spotkanie i rozmowa posłużyły

mu za punkt wyjścia do rachunku sumienia. Ostatniemi czasy zaniedbał zupełnie działalność polityczną. Wszystko przez Jolę, która tak mu zaprzętała głowę, że nie potrafił o niczem innym myśleć. Po pierwszym nieudanem zebnaniu wciąż miał się niby to zajmować urządzeniem nowego, ale szło mu to jakoś niesporo zwlekało się z dnia na dzień.

Dobrym skutkiem tego chwilowego uczucia rozgoryczenia był nagły przepływ energii. Jabłecki wyprostował się i rozczesał palcami brodę.

— Trzeba działać.

To znaczyło — urządzić zebranie u siebie w mieszkaniu. Oczywiście, zebranie z kolacją, Jabłecki, jako początkujący polityk, nie mógł jeszcze urządzić wieczornych zebrań bez kolacji. Wątpił, czy sam program byłby dostateczną zachętą dla zaproszonych do przyjścia. Ale na to trzeba było pieniędzy. Zdjęła go nagle trwoga o rezultat dyplomatycznej misji żony.

Wszystko przez Jolę, która osłabiła w nim energię i wpętała go w tę apatyę.

— Nie, dość — mruknął, marszcząc groźnie brwi.

Był to nieodwołalny wyrok: zerwanie.

I w tej chwili, o kilkanaście kroków przed sobą, ujrzał Jolę, która wyszła ze sklepu. Jola go nie widziała, więc mógł uniknąć spotkania. I zdawał sobie sprawę, że to byłoby najrozsą-

dniejszem; właściwie nic już nie mieli sobie do powiedzenia.

Ale machinalnie szedł za nią.

— Właściwie...

— Właściwie chodziło o zerwanie stosunków erotycznych a nie towarzyskich. Przywitać się było można w każdym razie. Już jakieś dwa kroki tylko dzieliły go do Joli.

— Dzień dobry pani.

— A, dzień dobry panu. Co za miłe spotkanie.

„Miłe spotkanie“ i konwencyonalny uśmiech, który nagle doprowadził Jabłeckiego do pasy. Ale, oczywiście, zapanował nad gniewem. Stał się zimny, wytworny, wyniosły.

— Dawno pani nie widziałem.

— Od onegdaj.

— W kuchni się nie liczy. Zresztą, lada dzień przestaniemy tam bywać — dorzucił nagle.

— Dlaczego?

— Zbrzydła mi już ta studencka atmosfera. Zupełnie Genewa mi się przypomina.

Jola uśmiechnęła się w nieokreślony sposób.

— Czemuż pan złorzeczy biednej kuchni. Cóż ona winna, że panu Genewę przypomina?

— Mniejsza o to. To nie zabawny temat.

— Ja kontynuuję ten, który pan poruszył.

— A ja przechodzę do innego. Nie możemy już nawet teraz nigdy swobodnie porozmawiać.

— Czemuż mnie pan nie odwiedzi?

— Ach, tak...

Kilka kroków uszli w milczeniu. Po ustach Joli błąkał się wciąż nieznacznym uśmiechem.

— Wie pani, że ja tego wcale nie rozumiem — odezwał się po chwili Jabłeczki.

— Czego?

— Przyjaźni pani z moją żoną.

— Pańska żona jest tak miła.

— Czy to ironia?

— Ironia? Skądże?

— Przyznam się pani, że ten komplement pod adresem mojej żony nie wydał mi się zupełnie szczerym.

— Ale dlaczego?

— Takie miałem wrażenie.

— Pan swojej żony nie docenia.

— Ach, tak.

— Stanowczo.

Jola powiedziała to poważnym tonem, ale równocześnie w oczach jej błysnęło coś, jakby refleks tłumionego uśmiechu. Jabłeczki spojrzał na nią podejrzliwie. Obawiając się, że Jola podkpiwała sobie z niego prosto, postanowił walczyć z nią tą samą bronią — w silniejszym stopniu.

— I pani podjęła się szlachetnej misji nawrócenia mnie?

— Możebym się i podjęła, gdybym mogła mieć nadzieję na powodzenie.

— Więc pani nie wierzy, żebym zaczął żonę... uznawać.

— Nie, pan jest za banalny na to.

— Dziękuję pani! — wybuchnął Jabłeczki.

— Nie, to ja raczej powinienam pana przeprosić za moją zbytnią szczerłość.

— Ach, więc opinii swojej o mnie pani nie cofa.

Jola spojrzała na niego z zagadkowym uśmiechem i nic nie odpowiedziała.

Parę kroków uszli w milczeniu.

— Więc moją żonę jest kobietą wyższą, niepospolitą — zaczął z przekąsem Jabłeczki.

— Pospolitą w żadnym razie nie jest.

Jabłeczki uśmiechnął się ironicznie. Był pewien, że cała ta pochlebna charakterystyka żony była mówiona jedynie i wyłącznie jemu na złość. Postanowił też być złośliwym.

— Teraz rozumiem.

— Co?

— Poznawszy moją żonę, i jakby to powiedzieć, oceniwszy jej niepospolite zalety, uczuła pani rodzaj skruchy.

Spojrzał bystro, ciekaw wrażenia, jakie słowa jego wywarły na Jolę. I znów podchwycił ten sam uśmiech, jak przed chwilą. Milczenie Joli go zawiodło, bo czekał na jakąś odpowiedź, aby do niej nawiązać dalsze złośliwości.

— Nic pani mi nie odpowie?

— Nie zadawał mi pan pytań.

— Zadaję więc. Czy mój domysł był trafny.

— Może.

Jabłeczki spodziewał się, że Jola szczerze czy nieszczerze odpowie potakująco na jego pytanie. Ale, usłyszawszy tę odpowiedź, jakiej się spodziewał, doznał nieokreślonego uczucia rozdrażnienia.

— Ach, więc domysł mój był trafny.

— Powinno to pana cieszyć.

— Bezwątpienia.

— Pierwsza cnota polityka jest przenikliwość psychologiczna.

W tem już była wyraźna ironia. Jabłeczki poczerwieniał.

— Dowidzenia pani.

— Cóż tak nagle?

— Nie widzę powodu, żebym miał wysłuchiwać pani złośliwości.

— Dorosły człowiek, żeby się tak unosił. Chwilami mam wrażenie...

— Jakie? — podchwycił gorączkowo Jabłeczki.

— Jakgdyby pan był uczniakiem.

— Hm — mruknął melancholijnie. W głosie Joli zabłąkał się jakiś akcent, który go nagle rozbroił.

— I nie rozumiem, gdzie się pan dopatrzył w moich słowach ironii. Przecież pan zajmuje się polityką.

— Panno Jolu.

Było to powiedziane tkliwie i lirycznie. Jabłecki czuł sam, że wypada z roli, ale...

— Słucham pana — odparła Jola uprzejmym akcentem towarzyskiej rozmowy.

Jabłecki wyczuł, że to był ton sztuczny, może umyślnie użyty, aby go powstrzymać od lirycznych wylewów, ale już go poniosło.

— Dlaczego pani się tak dla mnie zmieniła?

— Ja dla pana? Nie uważam.

— Nie chce mnie pani u siebie przyjąć.

— Zdaję mi się, że pan nie próbował mnie odwiedzić.

— No, bo moja żona wiecznie u pani przesiaduje.

— A cóż panu ta biedna żona przeszkadza?

Jabłecki wyprostował się nagle sztywno.

— Rozumiem.

— Co pan rozumie?

— Wszystko.

— Bo ja nic.

— I pozwoli pani, że ją pożegnaję — ciągnął lodowatym tonem.

— Nie pójdzie pan na obiad? — przerwała mu nagle Jola.

— Pójdę.

— No, bo już jest obiadowa pora. Ja idę do kuchni. Spóźniam się dziś trochę na dyżur, ale prosiłam, żeby mnie zastąpiono. Skoro mamy jedną drogę, nie potrzebuje pan uciekać.

Te nagłe przejście od tematów uczucio-

wych do najpospolitszej prozy życia zbiło Jabłeckiego z tropu. Czas mu już było na obiad, tembardziej, że miał się spotkać w kuchni z żoną, a ciekaw był gorączkowo rezultatu jej konferencji z ciotką.

— Chodźmy.

Jola parsknęła śmiechem.

— Z czego się pani śmieje.

— Z pańskiego, pełnego rezygnacji tonu.

— Cóż zrobić, trzeba zrezygnować.

— Może pan nie chodzić na obiad. Sądziałam, że pan chce go zjeść nie tylko ze względu na moje towarzystwo.

— Ja nie obiad miałem na myśli.

— A co?

— Nasz stosunek.

Jola znowu wybuchnęła śmiechem. Jabłecki zmarszczył ponuro brwi, ale odrazu postanowił widocznie zmienić uczuciową taktykę, bo i sam się roześmiał,

— Żona moja powinna dla pani czuć szczerą wdzięczność — zaczął tonem, któremu starał się nadać, coprawda niezupełnie udatnie, pozory niedbałości.

— Za co?

— Zbłąkanego jej męża nawraca pani na drogę małżeńskiejszej cnoty.

— I mąż powinien mi być wdzięczny.

— Szkoda tylko...

— Że co?

— Że pani starała się sprowadzić go z drogi cnoty.

— Żałuje pan?

Jabłecki wzruszył impertynencko raminami.

— Żałuję, nie żałuję...

— No, więc wszystko w porządku.

— Zapomnijmy o tem, co było—odezwał się drwiąco patetycznym tonem.

— I niech pan przyjdzie do mnie z żoną.

Ostatnie słowa zamienili już na schodach, prowadzących do kuchni. Przed drzwiami Jola obejrzała się szybko za siebie. Schody były puste. Ujęła za klamkę i nagle, pochylając się ku Jabłeckiemu, nadstawiła mu usta pocałunku.

Jabłecki czuł, że powinien się być cofnąć, może rzucić jakieś szyderstwo, ale...

— Jolu — szepnął, starając się ją chwycić wpół.

I zaraz odskoczył, bo wydało mu się, że usłyszał jakieś kroki poza sobą.

Po ustach Joli przewinął się ironiczny uśmieszek.

— Biedaku.

— Dlaczego?

— Tak pan naraża swoją dobrą opinię.

Jabłecki wyciągał już ręce, aby ją znów ująć wpół, ale tak go to szyderstwo zawstydziło, że przędwszystkiem uznał za stosowne oczyścić się z zarzutu.

— Moją opinię? W jaki sposób?

— Gdyby nas zobaczono, rozeszłoby się po mieście, że pan zdradza żonę.

— Więc cóż z tego?

— Człowiekowi, który pragnie odegrać rolę w życiu politycznym, nie wypada.

— I politycy zdradzają żony.

— Ale nie na schodach.

Jabłecki musiał w duchu przyznać Joli głęoką rację. Sam nie zastanawiał się nad tą stroną niebezpieczeństwa. A przecież to było najważniejsze. Co za atut dla przeciwników politycznych. Mimowoli spowaźniał.

— Czyż nie rozsądnie mówię?

Jola odchyliła głowę wtył i wpatrywała się w niego zlekka przymglonemi oczami. Potem powoli zaczęła otwierać usta. Jabłecki znów uczuł to lekkie mrowie w ciele, które tak paraliżująco działa na rozsądek. Rzucił się do jej ust.

— Poświęć mi dziś popołudnie... Przyjdę — wyszeptał po chwili zdławionym, drżącym głosem.

Jola przymrużywszy oczy, z uśmiechem wykonała powoli przeczący ruch głową.

— Błagam.

— Nie.

— Dlaczego?

— Umówiłam się z Marylą. Ma przyjść do mnie po południu.

— Powiedz jej, że ci coś wypadło, że nie możesz... Przecież codziennie się widujecie.

— Taby było nieładnie.

— Poprostu nie chcesz, żeby do ciebie przyszedł.

— Ja bym bardzo chciała, ale...

— Ale co?

— Skoro się umówiłam, Nie, nie... toby było bardzo nieładnie.

— Jolu!

Jabłeczki zapomniał już o wszelkich względach rozsądku i bezpieczeństwa. Było mu wszystko jedno, czy ich kto zajdzie czy nie. Objąwszy Jolę rękami za głowę, znów starał się ją pocałować w usta, ale ona, wykręcając głowę, uchylała się od pocałunku.

— Ktoś idzie — szepnęła nagle gorączkowo.

Jabłeczki odskoczył, Jola znikła za drzwiami.

Okazało się jednak, że nikt nie szedł. Był to tylko jej podstęp, aby się uwolnić z uścisków Jabłeckiego. On stał przez chwilę jeszcze pod drzwiami, zdenerwowany, zgorączkowany, starając się ochłoniąć i myśli zebrać. Dla uspokojenia wypalił jeszcze papierosa i dopiero potem wszedł.

Przez drzwi z przedpokoju zobaczył w pierwszej sali Jolę, która wesoło rozmawiała z jakimś dwoma młodymi ludźmi. Odwróciła się i skinęła mu głową.

— Dzień dobry panu.

— Kiepska komedyantka — pomyślał ze złością.

Ale jeśli Jola była kiepską komedyantką tylko, to tem smutniej o nim świadczyło, że tak jej ulegał. Przyszła mu to na myśl odrazu. Witając się z Jolą, ledwo dotknął jej ręki.

— Widzę, że pan dziś nie w humorze — uśmiechnęła się.

I po chwili dodała:

— Czy to pod wpływem politycznych wiadomości tak pan sposępniał.

— A jakież są wiadomości?

— Według mnie, bardzo dobre.

— No?

— Wojska niemieckie się zbliżają.

— Aha! — odparł z ironicznym uśmiechem.

— Mogłabym tak samo panu odpowiedzieć.

Jabłeczki skłonił się i chciał odejść. Jola go zatrzymała.

— Żony pan szuka. Niema jej jeszcze.

Ta wiadomość ucieszyła Jabłeckiego. Przewszystkiem pragnął być jeszcze przez chwilę sam, a powtóre fakt, że pani Maryla zasiadywała się u ciotki, świadczył o pomyślnem załatwieniu sprawy.

— Ile? — Ta kwestya oderwała go narazie od wszelkich trosk społeczno-erotycznych.

— Tu pod oknem jest wolny stoliczek, niech pan siada. A póki żony niema, ja ją będę za-

stępować, dobrze? — śmiała się Jola, siadając przy Jabłeckim.

— Przecież pani dyżuruje.

— Nie.

— Skądżeż pani ma swoje polityczne wiadomości o wojskach niemieckich.

— Z dobrego źródła.

— To źródło pewno?

Jabłeczki wskazał oczami na jednego z dwóch młodych ludzi, którzy przed chwilą rozmawiali z Jolą. Jabłeczki znał go tylko z widzenia, ale wiedział, że był on wrogiem moskali.

— Dlaczego pan się domyśla, że „pewno od niego“?

— Bo on już parę razy oddawał Warszawę Niemcom.

— Ja nie pamiętam.

— A ja pamiętam — odparł Jabłeczki opryskliwie.

Nadejście pani Maryli przerwało w samą porę tę polityczną rozmowę, która dążyła do przemienienia się w kłótnię. Przyjaciółki ucałowały się na powitanie serdecznie, co rozdrażniło Jabłeckiego.

— Moznaby pomyśleć, że panie z dziesięć lat się nie widziały.

— Zazdrosny — roześmiała się Jola.

Bardziej jednak Jabłeckiego to drażniło, że Jola pozostała przy stoliku, tak, że nie mógł dowiedzieć się od żony o rezultacie wizyty

u ciotki. Patrzył na nią wyczekująco, ale pani Maryla, jakgdyby chcąc naumyślnie wystawić jego cierpliwość na próbę, nie zwracała na te spojrzenia uwagi. Wdała się z Jolą w najobjętniejszą rozmowę o jakiejś wspólnej znajomej, sanitaryuszce, którą zaczęły zawzięcie obmawiać. Jabłeckiemu zabrakło wreszcie cierpliwości.

— Byłaś u ciotki? — przerwał żonie rozmowę z Jolą.

— Wiesz przecież, że od niej wracam — odparła mu obrażonym tonem.

Już ten ton mógł przekonać Jabłeckiego, że interes nie powiódł się zupełnie pomyślnie. Na szczęście, w chwilę potem jedna z panien dyżurujących odwołała Jolę. Jabłeczki pośpiesznie zwrócił się do żony przyciszonym głosem:

— Nie udało się?

Pani Maryla wzruszyła ramionami.

— Masz czasami taki ton, jakgdybyśmy byli parą bandytów.

Ta jej drażliwość utwierdziła Jabłeckiego ostatecznie w przekonaniu, że się nie udało. Zasepił się.

— A cóż mówiła? — zapytał po chwili.

— Dała mi czterdzieści rubli.

— Aa...

Była to kropla w morzu, ale zawsze kropla. W głosie Jabłeckiego zadźwięczała nuta uciechy. Pani Maryla, wyczuwszy ją, zmierzyła męża pełnym pogardy spojrzeniem.

— Widzę, żeś już wesół.

— Jakto?

— Byle ci się udało kogoś naciągnąć, zaraz masz humor.

Wyraz „naciągnąć“ dotknął Jabłeckiego do żywego. Nie znosił pewnego rodzaju wyrazów. Poczerwieniał, ale nie chcąc w kuchni wszczynać sprzeczek z żoną, zagryzł usta.

Pani Maryla wyczuła bardzo dobrze stan jego duszy i po chwili dorzuciła.

— Miła jest ta żebranina.

Jabłeckiego aż podrzuciło na krześle, ale milczał.

— Jeżeli tylko na ciotkę liczysz, to nie wyobrażam sobie, jak do końca wojny wytrwamy — zaczęła znów po chwili pani Maryla.

— Wcale na nią nie liczę. I wcale jej pieniędzy nie potrzebuję. Za tydzień odda jej się wszystko, cośmy pożyczyci.

W rozdrażnieniu zaczął mówić tak głośno; że aż pani Maryla musiała mu zwrócić uwagę.

— Nie krzycz. To nikogo nie obchodzi.

Pozatem zresztą dumna zapowiedź męża nie wywarła na niej zbyt wielkiego wrażenia. Słyszała już takie zapowiedzi nieraz. Zapytała jednak dla ścisłości.

— A na cóż liczysz?

— Mam pewien interes na widoku.

— Jaki?

— Powiem ci jak go przeprowadzę.

— Coś w rodzaju wynalazku Twarkowskiego?

— Możesz się śmiać.

Ponieważ pani Maryla była przyzwyczajona do tego, że ironia jej doprowadziła męża do pasy, więc tym razem jego spokój zwiódł ją. W oczach jej zbudziło się zaciekawienie.

— Dlaczegoż nic mi nie chcesz powiedzieć?

— W każdym razie, nie tutaj. To długa sprawa. Przekrzycki mnie w to wciągnął — improwizował JabłECKI, przypominając sobie nagle nazwisko fikcyjnego kolegi.

— Przekrzycki?

Z pełnego zaciekawienia tonu głosu pani Maryli, JabłECKI mógł się przekonać, że odniósł nad nią tryumf zupełny.

— A on miał przyjść do nas?

— Lada dzień będzie.

— Powinieneś i ty wziąć się do czegoś — ciągnęła zachęcająco pani Maryla. Teraz wszyscy interesu robią. Ciotka mi opowiadała. Tam u niej w podwórzu na trzecim piętrze mieszkają jacyś państwo Mizińscy. On właściwie nic nie robił, jakaś niewyraźna figura. Wiecznie mieli awantury z gospodarzem domu, wciąż przyłazili jacyś żydzi, komornicy. On podobno miał przedtem jakiś sklep, ale zbankrutował... niewyraźna historia. No, a teraz od początku wojny, jaśnie państwo. Wciąż wynajęty powóz stoi przed bramą, ona się stroi... widziałam ją

z okna, jak przechodziła przez podwórze... Powiadam ci rajery, jakie miała na kapeluszu, co najmniej trzysta rubli... I ciotka mi mówiła, że całe umeblowanie zmienili... Ale, wiesz, był u niej Twarkowski. Najważniejszego ci nie powiedziałam — wykrzyknęła nagle pani Maryla, przerywając opowiadanie o Mizińskich.

— Był? Kiedy?

— Jak ja wracałam. Minęliśmy się. Jechał dorożką.

— Ale wiesz, że do niej?

— No, jakżeż, naumyślnie parę kroków zawróciłam. Wsiadł przed bramą.

— A to bydlę! — wybuchnął Jabłecki.

— Musimy koniecznie razem złożyć wizytę ciotce.

— Ależ ma się rozumieć, choćby jutro — z głębokim przekonaniem w głosie przyznał żonie słuszność Jabłecki.

X.

Pani Maryla miała się zejść z Jolą dopiero o piątej i po obiedzie postanowiła wrócić jeszcze do domu. Jabłecki chciał również wrócić do domu, żeby się przespać, bo nic innego nie miał do roboty, ale ponieważ wiedział, że żona zamęczałaby go pytaniami o ów fikcyjny interes, do którego miał go wciągnąć fikcyjny kolega, więc przed bramą pożegnał ją z miną człowieka, który ma bardzo wiele spraw na głowie.

— Odprowadź mnie parę kroków.

Jabłecki spojrzął na zegarek.

— Nie mogę. Nie mam ani chwili czasu. Już i tak się zapóźniłem. Przekrzycki czeka na mnie.

— Gdzie?

— W hotelu.

— W którym?

— W Bristolu.

— No to ja cię odprowadzę.

— Dobrze. Chociaż wiesz, ja wsiadam w dorożkę, bo mi się strasznie spieszy. Skoro

mamy wspólnie robić interesy, nie wypada, że-
bym się spóźniał.

— Ma się rozumieć — przyznała pani Ma-
ryla mężowi słusność. Widocznie zaczęła
już poważnie zapatrywać się na jego projekty
robienia interesów, gdyż odezwała się nagle:

— Może ci pieniędzy potrzeba?

— Daj parę rubli.

Dała mu dziesięć rubli. Jabłecki przez du-
mę nie chciał jej sam o pieniądze prosić, ale
poczuwszy szeleszczący papierek w dłoni, odzy-
skał nieco humoru.

— No, to dowidzenia.

Skinął na dorożkę, ale pani Maryli przy-
szedł nowy projekt do głowy.

— Odwiozę cię, bo jestem strasznie cie-
kawa.

Przeciwko temu Jabłecki protestować nie
mógł. Gdy wsiedli, pani Maryla zaczęła odrazu
ciekawie:

— O cóż to chodzi?

— O dostawy.

— Dla wojska?

— Ma się rozumieć.

— Mów głośniej — zwróciła uwagę męża,
który dawał jej odpowiedzi ledwo dosłyszalnym
głosem.

— Trudno rozmawiać, taki turkot...

Dorożka zatrzymała się nagle. Przejeżdża-
ły jakieś tabory wojskowe i zatamowały ruch

uliczny. Stwarzało to idealne warunki do roz-
mowy.

— Warto brać dorożkę — oburzył się Ja-
błecki. Chyba zrezygnuję z tej jazdy i piecho-
tą pójdę. Prędej będę.

— Ale czekaj... zaraz przejadą. Więc o cóż
to chodzi?

W głosie pani Maryli drgało już zniecier-
pliwienie. Trzeba było dać zdecydowaną odpo-
wiedź.

— Szczegółów jeszcze nie wiem.

— A cóż mi mówić...

— Mówiłem ci tylko o doskonałym inte-
resie. Kiedy to? Onegdaj.. Tak, tak, onegdaj
spotkałem Przekrzyckiego na ulicy, powiedział
mi, że się wziął do dostaw i że jeśli chcę mu
pomagać, to mogę zarobić. Dziś właśnie ma
mnie wtajemniczyć w szczegóły. Oczywiście,
gdybym mógł w to trochę własnych pieniędzy
włożyć, to możnaby tysiące zarobić — improwi-
zował, nabierając coraz więcej fantazyi.

Pani Maryla spodziewała się jednak wido-
cznie faktów bardziej określonych i ścisłych, bo
na twarzy jej odmalowało się rozczarowanie.

— Skończy się na tem, że wydasz po ka-
wiarniach te dziesięć rubli, które ci dałam.

— Ależ moja droga — oburzył się Jabłe-
cki. I po chwili dodał tonem sentymentalnego
wyrzutu:

— Zawsze musisz wszystko ostudzić we
mnie.

— Bo cóż mi opowiadasz o interesie, jak to są dopiero jakieś dalekie plany.

Dorożka zatrzymała się przed hotelem. Sentymentalna nuta Jabłeckiego musiała jednak roztkliwić nieco panią Marylę, gdyż przy rozstaniu odezwała się ciepło:

— Pilnuj się tylko, żeby cię nie wyzy-skał...

— Ale...

— Ty się na interesach nie znasz.

— Nie znam się na interesach, ale potrafię logicznie myśleć. To wystarcza.

Jabłeczki pokręcił się po przedsionku hotelowym i po chwili, wymiarkowawszy, że żona musiała już dość daleko odejść, przemknął się do kawiarni. Czuł się najgorzej, jak tylko człowiek się czuć może. Tak przynajmniej sam określał swój stan psychiczny w myśli. Po tych wszystkich kłamstwach, w gruncie rzeczy bezcelowych, ogarnęło go przygnębiające upokorzenie.

— Na co to, po co?

Śmiać mu się chciało z własnej głupoty.

Nagle, rozejrzawszy się po kawiarni, zauważył mecenasa Cisiewicza, który siedział sam przy stoliku w najodleglejszym, ustronnym kącie sali.

— Aha...

Jabłeczki uśmiechnął się ironicznie. Przy-szło mu na myśl, iż mecenas prawdopodobnie

polował na jakieś „chucherko“. I postanowił mu przeszkodzić. Zbliżył się do jego stolika.

— Cóż to pan mecenas taki samotny?

— A dzień dobry.

Nieżyczliwe spojrzenie, jakie towarzyszyło tym słowom, przekonało Jabłeckiego, że jego domysł był prawdopodobny.

— Można się do pana mecenasa przy-siąść?

— Proszę, proszę.

— Ale może pan na kogo czeka?—ciągnął Jabłeczki ze złośliwym uśmiechem.

— Ależ nie...

— Chłodno już się zaczyna robić.

— Co?

Mecenas przyłożył rękę do ucha.

— Chłodno już się zaczyna robić—powtó-rzył Jabłeczki.

— Bystry z pana człowiek — odparł impertynencko Cisiewicz, mierząc go drwiącym spojrzeniem.

Jabłeczki się zmieszał. Komu innemu po-trafiłby odpowiedzieć, ale autorytet Cisiewicza bądźco bądź onieśmiał go trochę. Chwilę prze-siedzieli w milczeniu. Naraz Cisiewicz, którego towarzystwo Jabłeckiego drażniło widocznie w najwyższym stopniu, począł gwałtownie dzwo-nić w szklankę.

— Garson, płacić!

— Pan mecenas ucieka?

Cisiewicz zajęty wyszukiwaniem drobnych w portmonetce, nic mu nie odpowiedział.

— Są ważne nowiny z wojny — odezwał się Jabłecki, aby go ułagodzić. W gruncie rzeczy zależało mu na życzliwości mecenasa i nie chciał się z nim źle rozstawać.

— Jakie?

— Podobno Niemcy są już bardzo blisko. Naumyślnie mówił głośno, aby Cisiewicz mógł go dobrze słyszeć. Ale mecenas nie ocenił tej uprzejmości.

— Krzycz pan po kawiarniach, to pana do kozy wsadzą—odparł opryskliwie.

I odszedł, ledwo dotknąwszy dłoni Jabłeckiego.

— Idyota—zirytował się Jabłecki.— Skoro ma schadzki i nie chce ludzi spotykać, to powinienby jakąś inną kawiarnię sobie obrać, ale nie tu, w środku miasta.

Słuszność tej uwagi jednak, na którą i sam mecenas Cisiewicz zgodziłby się prawdopodobnie bez zastrzeżeń, nie zdołała w nim zatrząść przykrego uczucia niezadowolenia z własnych czynów. Czyny te były głępsze jeden od drugiego. To musiał przyznać.

— Ale dlaczego?

Nad tem pytaniem nie potrzebował długo się zastanawiać. Do niedawna miał wytkniętą, równą linię postępowania, której się trzymał wiernie. Gmatwaniny zaczęły się od chwili, gdy nawiązał z powrotem stosunki z Jolą.

A więc należało z nią zerwać.

I znów uczynił to postanowienie — ostateczne, nie psując sobie skupionego nastroju ducha refleksją, że takich ostatecznych postanowień uczynił już w ciągu ostatnich dni conajmniej kilkadziesiąt.

I odrazu ogarnął go gorączkowy zapal do politycznej roboty. Zebranie, zebranie! Gdyby to było możliwe, zwołałby je dziś jeszcze. W głowie mu się paliło. Czuł, że gdyby mówił — porwałby tłumy.

To natchnienie, nie znajdujące sobie ujścia, tak go podniecało, że nie mógł na miejscu usiedzieć. Chciał coś robić. Postanowił zatelefonować do żony. Jola miała telefon. Pośpiech ów nie był tylko zresztą nerwowym odruchem, miał i praktyczny cel na względzie. Pani Maryla potrafiła czasami bardzo szybko wydawać pieniądze. Należało więc jaknajspieszniej się porozumieć, aby część zdobytych kapitałów zarezerwowała na przyjęcie gości.

Podszedł do telefonu i względnie szybko uzyskawszy połączenie, usłyszał po chwili lęklawy, żydowski głos:

— Kto tam?

— Proszę poprosić pannę Jolę do telefonu.

— Pannę Jolę?

— Tak.

— Pan ma do niej interes?

— No tak, skoro chcę z nią mówić, to widocznie mam—wybuchnął Jabłeczki.

— Zaraz poproszę... Zaraz — odparł mu lękliwy głos uspokajającym tonem.

— Doleciało go parę słów, wypowiedzianych w żargonie. Uśmiechnął się ironicznie.

— Miłe środowisko.

I nagle zdjęło go takie obrzydzenie do Joli, że aż wstyd mu się zrobiło przed samym sobą, iż mógł wogóle zawracać sobie nią głowę.

— Kto tam?

— Jabłeczki.

— Ach, to pan... Cóż się stało, że pan telefonuje. Myślałam, że pan na mnie śmiertelnie obrażony.

— Dlaczego?

Przyszło mu na myśl, że właściwie nie należało wdawać się z Jolą w rozmowy, tylko od razu poprosić żonę do telefonu, ale stało się — powiedział.

— Bo pan miał taką minę przy obiedzie. Bardzo jestem wdzięczna, że pan zatelefnował.

— Właściwie...

— Co?

— Ja chciałem się z żoną porozumieć.

— Ach, więc to nie do mnie telefon. Niestety, nie mogę pańskich pragnień zaspokoić. Maryli niema. Wyszła przed chwilą.

— Dokąd?

— Nie wiem. Za jakimiś sprawunkami.

To się Jabłeczkiemu nie podobało. Właściwie rozmowę z Jolą można było uważać za skończoną. Ale...

— A czemuż pani z nią nie poszła?—odezwał się po chwili.

— Dziwny z pana człowiek.

— Dlaczego?

— Dwie godziny temu robił mi pan wyrzuty, że za dużo czasu spędzam z pańską żoną, a teraz, kiedyśmy się na jedno popołudnie rozstały, znów pan niezadowolony.

— Ach, więc panie rozstały się na całe popołudnie.

Jabłeczki zdał sobie nagle sprawę, że akcent żywego zaciekawienia w tem pytaniu nie był wcale potrzebny.

— Jestem osamotniona.

— Tak... — odparł niezdecydowanym głosem.

— A to po części z pańskiej winy.

— Jakto?

— Bo Maryla chciała, żebym z nią wyszła, ale...

— Ale, co?

— Po naszej dzisiejszej rozmowie...

Jabłeczkiego zaczynało ogarniać nerwowe zaniepokojenie. Nie miał zamiaru korzystać z okazji i składać wizyty Joli, ale czuł, że gdyby taki zamiar mu przyszedł, to jednak mimo wszelkie ostateczne postanowienia...

— A cóż nasza dzisiejsza rozmowa? — zaczął zmienionym trochę głosem, ale Jola przerwała mu nagle:

— Nudny jesteś. Wsiadaj w dorożkę i przyjeżdżaj.

W dwie minuty potem siedział już w dorożce. I słabość własnego charakteru nie budziła w nim najmniejszych wyrzutów sumienia. Przeciwnie, od razu nabrał takiego humoru, jakiego dawno już nie miał.

Pędem wbiegł po schodach na górę i zadzwonił. Jola sama otworzyła mu drzwi. Miała na sobie jaskrawy, czerwony szlafrok.

— Przepraszam pana za ten negliż... Zmęczona jestem... — odezwała się mdlejącym głosem.

Ogarnął go nagle taki zapał erotyczny, że chwycił ją wpół i usiłował przyciągnąć do siebie.

— Człowieku, czyś pan oszalał? — szepnęła, wyrywając mu się z tego zbyt namiętnego uścisku.

— Tak mi było tęskno — zaczął Jabłecki, ale dalsze liryczne wynurzenia, Jola przerwała mu wybuchem śmiechu.

— Z czego się pani śmieje?

— Żeby pan widział, jaką zabawną miał pan minę.

Uraziło go to trochę i zawstydziło.

— Szkoda, że pani dostrzega we mnie tylko śmieszne strony.

— Widzę, że wyrządziłam panu przykrość. Przepraszam.

Powiedziała to z akcentem tak szczerzej skruchy w głosie, że Jabłeckiego ogarnęło rozrzewnienie. Ale, nie chcąc się powtórnie narażać na śmieszność, nie wypowiadał już swoich uczuć. Za to spróbował zamanifestować je czynami.

— Ach, jakież z pana nieznośny człowiek. Ale po tem zastrzeżeniu sama nadstawiła mu usta do pocałunku.

— Dość.

— Jeszcze... jeszcze — szeptał stłumionym, zgorączkowanym głosem.

— Nie... nie... Zmęczona jestem. Niech pan siada.

— Jolu — odezwał się z płaczącym wyrzutem.

— Co?

— Dawniej rozmawialiśmy ze sobą mniej ceremonialnie.

— Więc — siadaj. Ja się położę na kanapie. I rozmawiajmy przyzwoicie.

Jabłecki nie bardzo był jednak do rozmowy usposobiony. Milczał, wpatrując się w Jolę roziskrzonymi oczami. Jola nawpół przymknęła oczy i odezwała się nagle z uśmiechem:

— Masz prawdziwy skarb a nie żonę.

Jabłecki wzruszył ramionami.

— Znów?

— Jakto znów?

— Wiem, że jesteś pełna zachwytu dla mojej żony. Jużeśmy rano o tem rozmawiali.

— Pierwszy raz w życiu widzę takiego człowieka — zgorszyła się Jola. — Pojmuję, że można żony nie doceniać, nie kochać, ale żeby się oburzać, gdy kto o niej dobrze mówi...

— Ja się wcale nie oburzam, tylko...

— Tylko co?

— Chyba moglibyśmy znaleźć ciekawsze tematy.

Jabłecki wstał z krzesła, przeszedł się parę razy po pokoju i nagle usiadł na kanapie koło Joli.

— Cóż to za zmiana miejsca?

Nic nie odpowiedział, pochylił się i zamknął jej usta przeciągłym pocałunkiem. Od ust przeszedł do brody, od brody do gardła, trzymając się linii prostej z matematyczną ścisłością. Jola z widoczną rozkoszą poddawała się jego pieścizotom. Aż nagle wyprężając ręce odpechnęła go od siebie dość gwałtownie.

— Ach, mój drogi.

Spojrzał na nią zamglonym wzrokiem.

— Co?

— Jak twojej żonie na drugie imię? Wyobraź sobie, że zapomniałam.

— Nie, to są kpiny! — wybuchnęła, zrywając się gwałtownie z kanapy.

— Czegóż ty się gniewasz?

— Widzę, że mnie pani uważa za głupca—

wycedził przez zęby. I nagle skłonił się Joli sztywno.

— Dowidzenia.

— Dowidzenia — odparła spokojnie Jola. Zbyt powiewna szata osunęła jej się z nóg, obnażając je aż do kolan.

Jabłecki zamaszystym krokiem ruszył ku drzwiom, ale w chwili, gdy już miał tylko ująć za klamkę, zatrzymał się i odwrócił.

— Chciałem panią tylko jeszcze prosić — zaczął stłumionym głosem.

— O co?

Jabłecki nie kończył zdania. Coprawda, sam nie wiedział, o co chciał jeszcze Jolę prosić. Odezwanie się jego było podstępnyim wybiegiem, którym sam siebie usiłował w błąd wprowadzić, żeby znaleźć pretekst do pozostania jeszcze w pokoju.

I Jola zdawała sobie widocznie z tego sprawy, gdyż nie powtarzała pytania. Z uśmiechem, mrużąc oczy, skinęła na Jabłeckiego głową.

— Chodź.

W Jabłeckim znów się zbudziła ta zawziętość, jaką daje poczucie, że jest się choćby chwilowo panem sytuacji.

— Po co? — odparł zimno.

— Zobaczysz.

Ta nieokreślona zachęta była wypowiedziana tonem, który tak ściśle określał obietnicę, że Jabłecki uczuł niepokojący dreszczyk. Ale się

trzymał. Tylko—cofnął się od drzwi dwa kroki na pokój.

— Znów zaczniesz mi się dopytywać, jak mojej żonie na drugie imię.

— Trzeba mi było poprostu odpowiedzieć.

— Wanda.

— I wszystko w porządku.

Jabłecki już był z powrotem tuż przy kanapie, na której leżała Jola.

— Siadaj.

— Dlaczegoś ty teraz taka niedobra dla mnie?—westchnął lirycznie Jabłecki.

Odpowiedź Joli nie miała napozór najmniejszego związku z tem pytaniem.

— Ale siadaj, to nie znaczy...

Nie dokończyła zdania.

Dość długą chwilę trwało upojenie. Jabłecki, który, jak wielu mężczyzn, był gadatliwym wówczas właśnie, kiedy bez słów doskonale można się było obchodzić, odezwał się nagle.

— Kochasz mię choć trochę?

Jola wykonała prawie niedostrzegalny, potakujący ruch głową.

Wówczas ogarnął go istny szał. Tuląc ją do siebie, począł ją okrywać namiętynymi pocałunkami, przyczem szukając wyrazów uwielbienia, porównywał ją do rzeczy tak dalekich i niepodobnych napozór, jak kot i brylant.

— Moje ty kociaki.

— Mój brylant.

Jola leżała z przymkniętymi oczami, jakby nawpół przytomna. Po chwili westchnęła głęboko i otwierając oczy, odezwała się słabym głosem:

— Nie będziesz się znów na mnie gniewał?

— Nie, nie — zapewniał ją gorączkowo, z najtkliwszem, na jakie się umiał zdobyć, uczuciem w głosie.

— Bo ja chciałam coś powiedzieć.

— Mów.

— Żebyś ty wiedział, jak znakomicie Maryla scharakteryzowała endeków.

Jabłecki znów się zerwał i odskoczył od kanapy, jak oparzony.

— Nie, wiesz!...

Nie dokończył zdania. Uczucie, które chciał wypowiedzieć, było jak skomplikowane, że mu zabrakło wyrazów.

Jola parsknęła śmiechem.

— Człowieku, to już się staje chorobliwą manią.

— Co?

— Przy tobie niepodobna powiedzieć wrażliwość etyczna.

— Nie rozumiem.

— Bardzo proste. Sądzę, że tak cię drażni najlżejsza wzmianka o żonie, no, bo masz wyrzuty sumienia, że ją zdradasz.

Jabłecki, który uważał, że człowiek silny nie powinien nigdy doznawać wyrzutów sumienia, wzruszył niecierpliwie ramionami.

— A, moja droga.

— Czegóż się zapierasz. Nie powinienes się tego wstydzić i to jest zresztą bardzo naturalne.

— Niby dlaczego?

— Bo masz taką przemiłą żonę, że trzeba już, no nie wiem, dziwnego jakiegoś zamiłowania do grzechu, żeby ją zdradzać.

— Doprawdy? — odparł z ironicznym przekąsem.

— Nie stój że tak pośrodku pokoju, jak posąg. Usiądź. Ach, mój drogi, nie na fotelu, tylko tu, przy mnie... Tak, jak przed chwilą siedziałeś.

Spełnił to polecenie postusznie, aczkolwiek z miną trochę nadąsaną.

— Teraz proszę się pochylić i..

— I co?

— I pocałować Jolę.

Po kilku namiętnych pocałunkach Jabłeckiego znów ogarnął liryczny nastrój.

— Kochasz mnie choć trochę?

Jola uśmiechnęła się zagadkowo.

— Jestem dla ciebie pełna uczucia podziwu.

Mile mu to zabrzmiało w uszach, ale od razu uląkł się jakiejś ironji.

— Podziwu, a cóż we mnie może aż podziw wzbudzać?

— Mówiłam ci.

— Kiedy?

— Przed chwilą.

— Nie wiem.

— No, to, że mając taką przemiłą żonę, możesz ją zdradzać. Ja na twojem miejscu...

Ale Jabłecki nie chciał już słuchać. Przerwał jej opryskliwość, czerwieniąc ze złości:

— Chodziła czapła na wysokich nogach po desce, powiedzieć ci jeszcze... Widzę, żeś postanowiła kpić sobie ze mnie, ale ja kpin nie znoszę. Dowidzenia.

Szybko podszedł ku drzwiom. Ale znów w chwili, gdy już miał ująć za klamkę, zatrzymał się i odwrócił. Wydało mu się, że za mało silnie zaakcentował ostateczny charakter pożegnania.

I rzucił ponurym głosem:

— Dowidzenia. Raz na zawsze.

— Przecież na obiadach będziemy się widywali—zauważyła logicznie Jola.

— A, na obiadach — owszem. Tak, na obiadach będziemy się widywali. Możemy się na obiadach widywać — powtarzał machinalnie. I podniecenie, w jakim się znajdował, nie pozwalało mu wybrnąć z tych obiadów.

Jola przeciągnęła się leniwie na kanapie.

— Skoro to już raz na zawsze, więc mógłbyś mię na pożegnanie pocałować.

— Nie.

— Boisz się?

Ruchem oczu Jabłecki zmanifestował przesadne nieco zdumienie. Zresztą, znów już cofnął się od drzwi.

— Czegóż miałbym się bać?

— Że zostaniesz.

— A może bym się został?

Już był przy kanapie.

— Dobrze. Nachyl się, pocałuj mię raz i odejdz. Tem mi zaimponujesz.

— Zaimponuję? Czy nie zbyt silne wyrażenie.

— Nie, przekonałam się, że w pewnych razach absolutnie siła woli cię zawodzi.

— Może mnie nie zawiedzie...

— A więc... Mniej słów, więcej czynów.

Jabłecki pochylił się ku jej ustom, Jola zarzuciła mu rękę dookoła szyi.

— Proszę mnie nie zatrzymywać.

— Jestem od ciebie słabsza... Tak łatwo będzie ci się wyrwać. No, dość... Dowidzenia.

— Jolu...

— Dowidzenia.

Jabłecki, który stał pochyłony i w dość trudnej, co prawda, pozycji, naraz stracił równowagę i osunął się na kanapę.

XII.

Pani Maryla niecierpliwie wyczekiwała powrotu męża.

— Więc cóż to za interes?

Jabłeckiemu niewinne jego kłamstwo wywietrzało coprawda zupełnie z głowy. Wyszedł od Joli o wpół do dwunastej zmęczony i przedenerwowany, z mocnym postanowieniem zerwania. Natomiast od następnego dnia zaraz miał się zabrać z całą energią do przeprowadzenia swoich planów politycznych. Pytanie żony zaskoczyło go zniemacka.

Ale zaraz odzyskał dar orientacji.

— Hm... — odparł, marszcząc brwi. — Nic z tego.

Na twarzy pani Maryli odmalowało się rozczarowanie.

— Dlaczego?

— Bo ten pan poprostu chciał mnie wyzyskać.

— Ale o cóż to chodziło?

— Mówiłem ci, że o dostawy. W szczególności nie chciał mnie wtajemniczyć i to mnie przedewszystkiem już źle usposobiło. Prostu chciałem, żebym był jego chłopcem do posług. A, przepraszam! — wybuchnął z tak szczerze udanym oburzeniem, jakgdyby naprawdę coś podobnego zaszło.

— Dużo wydałeś? — przerwała mu nagle pani Maryla.

— Nic — odparł dumnie i ogarnięty jakimś niewytłomaczonym zapalem, znów zaczął kłamać na temat fikcyjnego przyjaciela.

— Oburzyło mnie to i powiedziałem mu parę słów prawdy. Kanalia — zakończył z obrzydzeniem.

— Opowiadałeś, że taki twój przyjaciel...

— Omyliłem się — westchnął ponuro Jabłecki.

— Ty się często tak mylisz.

Jabłecki w tej chwili dopiero się zorientował, że jego westchnienie było taktycznym błędem, gdyż kierowało umysł żony na drogę refleksyi. I chcąc zmienić temat rozmowy na jakiś miłszy, odezwał się:

— W poniedziałek biorę pensję.

— Jutro musimy się razem do ciotki wybrać — odparła pani Maryla, harmonizując się nagle myślami i uczuciami z mężem.

— Dobrze.

— A pojutrze sama do niej znów pójde.

Jabłecki błysnął na żonę oczami.

— Myślisz?

Pani Maryla odparła krótko:

— Może.

Po chwili milczenia Jabłecki odezwał się, jakby zażenowanym nieco tonem.

— To ciotka w dobrem usposobieniu?

— Zastraszona.

— A czegoż się boi?

— Mój drogi — odezwała się zafrasowanym tonem pani Maryla. — Ale to podobno Niemcy naprawdę zbliżają się do Warszawy.

— Zawracanie głowy — wybuchnął Jabłecki. — Któż ci to mówił?

— Wszyscy mówią.

— To jest niby kto: wszyscy.

— No, ciotce opowiadał jakiś znajomy, który ma duże stosunki w sferach wojskowych.

— Błagier.

— No, mój kochany, ciotka stosunki ma — ujęła się za krewną pani Maryla, zadraśnięta nagle w uczuciach rodzinnych.

Jabłecki na te stosunki ciotki miał inny pogląd, ale opamiętał się w porę, że narazie ciotka była nietykalna.

— I cóż on opowiadał? — mruknął po chwili.

— No, mówię ci, że Niemcy się zbliżają. Jabłecki spoępniał.

— Nieprawda — zaprzeczył nagle energicznym tonem.

— A skądiesz ty możesz wiedzieć?

— Ja mam także stosunki i to z ludźmi, którym można wierzyć.

— Tak, jak temu twojemu przyjacielowi — zauważyła złośliwie pani Maryla.

— Ach, nie wspominaj mi o tej kanalii. Zresztą, z tym panem już się nie znamy.

— Toście się źle rozstali?

— Zerwaliśmy.

Po tem wyznaniu Jabłecki doznał chwilowego uczucia ulgi. Spadło mu z duszy dręczące kłamstwo, z którego nie wiedział, jak wyrwać.

Od chwili przyścia do domu wciąż właściwie zbierał się, aby powiedzieć żonie, że w najbliższych dniach miał zamiar urządzić wieczorem w domu polityczne przyjęcie. I jakoś nie chciało mu się to precyzyjnie przez gardło. Obawiał się niezyczliwego przyjęcia tego projektu, a bez zgody i sankcyi pani Maryli urządzenie zebrania było niemożliwe.

Chcąc żonę przychylnie do siebie usposobić, odezwał się nagle.

— Ten interes się nie udał, ale nic straconego niema. To mi nasunęło myśl, aby wogóle się interesami zająć. Skoro teraz wszyscy interesy robią, dlaczegóż ja nie mam ro-

bić? — ciągnął ze wzrastającą za każdym słowem fantazyą.

— Sam przyznałeś, że pieniędzy na to nie mamy.

— Ale znam ludzi, którzy je mają.

— Więc cóż z tego?

— Trzeba ich złączyć, zorganizować, podsunąć pomysł, a wówczas bez pieniędzy można interes zrobić. Właściwie w ten sposób tylko powinno się interesy robić — wykrzykiwał, zapalając się szczerze do własnych myśli. Ogarnęło go nagle podniecenie.

— A jakież ty możesz mieć pomysły?

— Moja droga, trzeba w pewnym kierunku myśleć, a wówczas pomysły przychodzą. To jest sekret pomysłów — rzucił drugi aforyzm w ciągu paru sekund.

Aforyzmy te trafiły pani Maryli do przekonania.

— To masz rację — odparła po chwilowym namyśle.

— Widzisz! — wykrzyknął triumfująco.

Przyszło mu na myśl, że jednak wypo wiedział maksymy bardzo mądre. I w tym przeblasku zadowolenia fantazyja jego znalazła nagle ożywcze źródło. Czyż dla człowieka, który chce zrobić dobry interes, może być coś łatwiejszego, jak wyszukanie i zrobienie takiego interesu?

— Myśl — odezwała się zachętliwie pani Maryla.

Jabłecki uczył, że nadeszła nareszcie chwila, w której można było zacząć mówić o przyjęciu.

— Przedewszystkiem musimy urządzić zebranie. Sprosi się kilkunastu ludzi. Tylko trzeba będzie ich przyjąć. Skromnie — dorzucił pospiesznie, widząc niechętny grymas żony — jakaś herbata, przekąski.

— Chciej to przyzwoicie urządzić, to zaraz kilkanaście rubli pójdzie.

Jabłecki spodziewał się takiej właśnie odpowiedzi a nie innej, ale miłą dla niego niespodzianką był ton — ton nie wykluczający możliwości kompromisu.

— Zapewne, kilkanaście rubli by to kosztowało — przyznał żonie słuszność, — ale dla stosunków...

Pani Maryla milczała. Widocznie przetrwała w myśli racje męża.

— A kogo byś zaprosił? — odezwała się nagle.

Pytanie to świadczyło, że kwestya urzędu politycznego przyjęcia została zdecydowana przychylnie. Jabłecki zmierzył żonę pełnem miłości spojrzeniem.

— W tej chwili...

Zamyślił się głęboko, aż panią Marylę zniecierpliwiło to wkońcu.

— Mecenas Cisiewicz.

— Ten stary adwokat?

— To człowiek, który ma wielki mir.

W chwili swego namysłu Jabłecki zoryentował się, że staruszką nie można było pogardzać. Postanowił pójść osobiście, przeprosić go i zaprosić. Innych miał zamiar pozapraszać listownie.

— Więcej? — dopytywała się pani Maryla.

— Stetkiewicz.

— A, Stetkiewicz trzeba koniecznie. To bardzo miły człowiek.

— Znasz go?

— Mówiłam ci przecież, że go poznałam u Joli.

— A prawda, prawda. Czy on tam często bywa?

— Zdaje się, że od czasu do czasu przychodzi. Ja go raz tylko widziałam.

— Ścierwo — pomyślał Jabłecki. Sam nie wiedział, do kogo to brzydkie określenie miało się stosować w pierwszym rzędzie: do Joli czy do Stetkiewicza. Ale zaraz stracił humor. „Od czasu do czasu“... Zbudziła się w nim nagle podejrzliwa myśl, czy jego żona nie była w porozumieniu z Jolą.

— Cóżes ty się tak nadą? — odezwała się pani Maryla.

— Myślę — odparł ponuro.

I po chwili zaczął wyliczać dalej.

— Zachrupczyński. To jest idyota, ale go trzeba zaprosić.

— Dlaczego?

— Bo, jakbym go nie zaprosił, toby mię zaczął w najstraszniejszy sposób obmawiać.

— A Twarkowskiego poprosisz?

— Wiesz, że sam nie wiem. Obiecywałem mu, że go poproszę, ale teraz...

— Do przyszłej soboty może go już zamkną u czubków — odezwała się pani Maryla. Spokojny ton, jakim wyraziła to przypuszczenie, świadczył, że uczucia rodzinne nie były w niej zbyt silnie ugruntowane.

Ustalono wreszcie listę. Składała się ona z tych samych ludzi, których Jabłecki już raz zapraszał bezskutecznie, do kawiarni. Pani Maryla, skoro się czemś postanawiała zająć, to już wkładała w to cały zapal. Odrazu omówiła z mężem wszystkie szczegóły przyjęcia. Pierwszym najważniejszym krokiem wstępnym miało być doprowadzenie mieszkania do przyzwoitego wyglądu.

— I wiesz — odezwała się pani Maryla — przyznam ci się, że mi już ta cała kuchnia dla inteligencji obrzydła.

— I mnie.

— Czy nie lepiej by było zacząć obiady z powrotem jadać w domu?

— Masz dyżury.

— No, więc dwa razy na tydzień będę dyżurowała. Wymówię się, że częściej nie mogę. Ale na codzienne chodzenie już mi to obrzydło.

— Doskonale — zgodził się Jabłecki.

Było mu to nawet bardzo na rękę. Obiady

w kuchni wytwarzały mus ciągłego widywania się Jołą. A ponieważ postanowił zerwać z nią już ostatecznie i nieodwołalnie, więc rad był, że to się skończy. Bo choć niby z natury rzeczy rozmowy przy obiadach musiały być objętne, jednak nie chciał i tego stosunku podtrzymywać.

Nazajutrz pierwszy domowy obiad po kilkunastodniowej przerwie małżonkowie powitali z uczuciem żywego zadowolenia.

— A wiesz, ja teraz dopiero widzę, jaka to męcząca rzecz takie ciągłe przymusowe towarzystwo.

— To prawda — zgodziła się pani Maryla.

— Bo, żeby jeszcze mózdz dobierać sobie ludzi, jakich się chce widywać — ciągnął z rosnącym zapałem Jabłecki — to co innego. Ale siadasz, a tu przyłazi ci pierwszy lepszy bałwan i...

Odgłos dzwonka w przedpokoju przerwał mu zdanie w połowie.

— Masz! — roześmiała się pani Maryla.

Niespodziewanym gościem był Twarkowski. Gwałtownie wpadł do pokoju. Znow znac było na nim niezwykle podniecenie, ale już nie posępne, jak poprzednim razem, lecz wesołe.

— No, widzicie! — krzyknął tryumfującym tonem. — Odmawialiście mnie, zniechęcali, a tymczasem się udało. Nie wszyscy uważają mnie za idyotę, tak, jak wy!

Jabłeczki spojrział na żonę, żona na niego i oboje wyczytali wzajemnie w swoich spojrzeniach — niepokój.

— Co się udało?

— Byłem wczoraj u ciotki.

— I?

Pani Maryła podniosła się od stołu, blada.

— Ciotka zachwycona jest moim wynalazkiem.

Jabłeczki parsknął śmiechem.

— Chyba ciotka na torpedach się nie zna.

— Ale zrozumiała, że z tego mogą być pieniądze.

Pani Maryła wzruszyła ramionami.

— Swoją drogą podziwiam twoją fantazję. Przecież ty nawet nie jesteś jej krewnym.

— Jakto nie? — oburzył się Twarkowski.

— Ja jestem z nią w dość dalekim stopniu pokrewieństwa, a cóż dopiero ty.

— Rodzina to rodzina — zauważył filozoficznie wynalazca. Zresztą życzliwe przyjęcie, jakiego u niej doznałem, świadczy, że uważa mnie za osobę sobie bliską.

— I ma zamiar dać ci pieniędzy?

— Już dała.

Słowa te podziały na Jabłeckiego i panią Maryłę piorunująco. W pokoju zapanowała cisza. Po długiej chwili dopiero pani Maryła, ochłonawszy z pierwszego wrażenia, zdobyła się na zapytanie.

— Ile?

— Sto rubli.

Jabłeczki siłą woli musiał zapanować nad sobą, aby nie rzucić się na kuzyna. Wyczuwał, że jego żona przechodziła taką samą walkę wewnętrzzną.

— Sto rubli — roześmiał się ironicznie. — Zdaje mi się, że to ci na przeprowadzenie studiów nie wystarczy.

— Na początek...

— Ach, więc ci obiecała więcej? — wykrzyknęła gorączkowo pani Maryła.

— Bardzo życzliwie zajęła się moją sprawą — odparł Twarkowski. I z uśmiechem zwrócił się do Jabłeckiego:

— Mogę cię prosić o papierosa?

Jabłeczki zmierzył go wściekłym spojrzeniem. Opanował się jednak momentalnie i zamiast nawymyślać kuzynowi, jak miał ochotę, wyciągnął ku niemu papierosnicę. Tylko gest, jakim mu ją podał, był lekceważący i wzgardliwy. Tej satysfakcyi nie mógł już sobie odmówić.

Ale Twarkowski nie zauważył tego.

— Dziękuję.

W pokoju zapanowała cisza. Konsternacja Jabłeckich była tak widoczną, że nie mogła ująć uwagi Twarkowskiego.

Odezwał się po chwili.

— To dziwne... Mam wrażenie...

I umilkł, czekając pytań. Ale ani Jabłeczki, ani pani Maryła nie byli tego wrażenia ciekawi.

— Mam wrażenie — kończył powoli Twarkowski, że jesteście niezadowoleni.

I ta refleksja nie wywołała żadnej odpowiedzi.

Twarkowski zmarszczył brwi.

— Nie rozumiem, co się wam stało.

— Głowa mnie boli — odezwała się opryskliwie pani Maryla.

— Bo też jakoś mizernie dziś wyglądasz — odparł Twarkowski. I dodał z akcentem szczerego współczucia w głosie:

— Bardzo cię głowa boli?

— Bardzo.

— A i ty jakiś nieswój jesteś — zwrócił się Twarkowski do Jabłeckiego.

— Bo i ja jestem niezdrów.

— Także cię głowa boli?

— Także.

— To dziwne — mruknął Twarkowski. I posmutniał, z czego można było wnioskować, że jego pytania nie były konwencyonalną formą tylko i że odczuł szczerze dolegliwość kuzynów.

— Chociaż — ożywił się nagle — może to mniej dziwne, niż mi się wydało. I mnie teraz bardzo często głowa boli. A przedtem nie bolała mnie nigdy. No, może zdarzyło się raz na rok, ale co to znaczy. Wiecie, ja myślę, że to ze zdenerwowania... To ta atmosfera wojenna tak działa. Nie sądzisz? — zwrócił się do Jabłeckiego.

— Może — odparł Jabłeczki lakonicznie.

Wobec uporczywej małowówności małżonków rozmowa mało miała widoków na ożywienie. Twarkowski wstał z krzesła i przeszedł się parę razy po pokoju.

— Niedługo wszyscy będziemy mieli pieniądze! — wykrzyknął nagle, zacierając wesoło rękę.

Ale i ta perspektywa szczęśliwej przyszłości nie zdołała wyrwać Jabłeckich z ich posępnego zamyślenia. Pani Maryla gryzła wargi i miała taką minę, jakgdyby lada chwila miała wybuchnąć płaczem.

— Podzielimy się tem, co zarobię, po bratersku — ciągnął Twarkowski tklwym tonem. — Ja jestem sam, potrzeby mam skromne, właściwie mówiąc, majątku mi nie potrzeba.

— Przedewszystkiem zarób — mruknął Jabłeczki.

— Mój drogi, teraz to już jest rzecz pewna. Jabłeczki wydał pogardliwie usta, ale nic nie odpowiedział.

— No, widzę, żeście nie w humorze — odezwał się po chwili Twarkowski. — Uciekam. Zajdę do was w tych dniach wieczorem.

— Przyjdź — odezwała się nagle pani Maryla.

Po wyjściu Twarkowskiego małżonkowie przez długą chwilę siedzieli w milczeniu. Wreszcie Jabłeczki odezwał się pierwszy:

— No... no.

W tem mało znaczącem napozór mruknięciu mieścił się jednak upokarzający wyrzut: „Widzisz, ty dostałaś czterdzieści rubli, a on sto. I w dodatku po tobie przyszedł”. Pani Maryla tak to odczuła. W oczach jej zapaliły się iskry.

— Trzeba ci było iść samemu! — wybuchnęła, prostując się przed mężem.

Ale Jabłecki sam się odrazu zawstydził swego odruchu. Wobec powagi sytuacji nie można było rozpraszać energii na małostkowe złośliwości.

— Moja Marylu, nie kłóćmy się teraz.

— Ona oszalała!

— Chyba.

— No, bo inaczej niepodobna sobie tego wytłómaczyć. Przedemną jęczała, że nie wie, czy nie będzie zmuszona jeszcze żyć z dobroczynności publicznej, a tu...

— On zaraz bezpośrednio po tobie przyszedł.

— No, mówiłam ci, żeśmy się minęli.

— Wiesz, że mnie do tej chwili trudno w to uwierzyć.

— On zwaryował, ona oszalała, no, i porozumieli się.

— Dobrze — wybuchnął nagle Jabłecki, ale nie można przecież pozwolić, żeby dwoje waryatów strwoniło majątek.

— Nie pozwól, skoroś taki mądry.

— Trzeba na nią wpłynąć.

— A, mój kochany... To właśnie nieszczęście, że waryat się z nią dogada, a rozsądny człowiek nie. Wiesz, czego ja teraz żałuję?

— No?

— Żeś ty nie wpadł na ten pomysł, żeby jej opowiedzieć, żeś zrobił jaki wynalazek.

Jabłecki wzruszył ramionami, ale nieszczęrze, bo w duszy już sam tego żałował.

XIII.

Z wizyty u ciotki Pełtwiczowej Jabłeccy wyszli zupełnie przygnębieni. Okazało się, że ex-baletnica była najzupełniej zawojowana przez Twarowskiego, pełna entuzjazmu dla jego rzeźkomego wynalazku, tak że nie dopuszczała nawet żadnych sceptycznych zastrzeżeń na ten temat. Wprawdzie nowa prośba pani Maryli o pożyczkę została uwieńczona pomyślnym skutkiem; ciotka tak już wierzyła święcie w miljony, jakie miał jej przynieść wynalazek Twarowskiego, że to wpłynęło dodatnio na jej hojność, ale cóż, suma, jaką pani Maryla wzięła (znów czterdzieści rubli), była drobiazgiem wobec tego, co mógł wydostać Twarowski.

— Wiesz, że on jest jednak geniusz — odezwał się na schodach Jabłeczki.

— Nie, tylko ona waryatka — odparła spokojnie pani Maryla.

Jabłeczki musiał w duchu przyznać, że było to logiczniejsze ujęcie kwestyi.

Przed bramą pani Maryla wyciągnęła do męża dłoń na pożegnanie.

— Dowidzenia.

— Dokąd idziesz?

— Zajdę do Joli na chwilę. Obiecałam dziś być u niej.

— A ja pójdę do Cisiewicza — mruknął Jabłeczki. — Daj mi trochę pieniędzy.

Pani Maryla wręczyła mu wspaniałomyślnie dwadzieścia rubli, połowę pożyczki, nie czyniąc nawet zwykłych, poniekąd nałogowych wspomnień na temat oszczędnego wydawania pieniędzy.

Mecenas Cisiewicz miał u siebie jakiegoś interesanta i Jabłeczki trzy kwadransy prawie przesiedział w poczekalni. Przez cały ten czas myślał o Twarowskim. Postępek kuzyna żony zaimponował mu w gruncie rzeczy, a wstyd mu było tego uczucia, więc pragnął je zagłuszyć rzekomem współczuciem dla biednego obłąkanego. Ale nad tem altruistycznym uczuciem górował przykry i, co najgorsze, spóźniony żal, że przecież tak łatwo było „nabrać“ hrabinę Pełtwiczową.

Jabłeczki myślał już nawet: „nabrać“, choć wogóle czuł wstręt do tego rodzaju trywialnych wyrażań.

Za młodu jeszcze, jako baletnica, ciotka Pełtwiczowa słynęła z intelektualnych aspiracyi. I tę strunę należało w niej poruszyć, aby wkraść się w jej łaski. Jabłeczki, niestety, zdał sobie z tego sprawę zapóźno.

A Twarkowski potrafił to wyzyskać po mistrzowsku.

— Jako jednak czasem najgorszy głupiec na dobry pomysł wpadnie—westchnął Jabłecki smętnie.

Ścierały się w nim dwa uczucia. Rozsądek nakazywał stłumić żal i pewnego rodzaju upokorzenie, że jednak Twarkowski okazał się sprytniejszym, i właśnie, nietylko się od niego nie boczyć, ale szukać raczej tem większego zbliżenia. Podrażniona ambicya jednak buntowała się przeciwko tym kompromisowym pomysłom. Jabłecki zniechęcił kuzyna żony. I chwilami nienawiść ta dochodziła do takiego natężenia, że budziły się w nim wprost mordercze instykty.

— Zdusiłbym hycła.

I wyobrażał sobie — z rozkoszą, jakby Twarkowski przeżył się i siniął pod jego palcami.

Mecenas Cisiewicz przyjął Jabłeckiego dość chłodno.

— A, czemuż zawdzięczam pańskie odwiedziny?

Jabłecki odrazu uderzył w pokorny ton.

— Przedewszystkiem chciałem pana mecenasa przeprosić.

— Za co?

— Byłem trochę zdenerwowany w kawiarni.

Cisiewicz, oczywiście, nie dosłyszał.

— Byłem trochę zdenerwowany w kawiarni — wykrzyknął Jabłecki.

— Wszyscy są teraz zdenerwowani — odparł wyrozumiale Cisiewicz.

— To ta atmosfera wojenna tak działa. Moja żona naprzykład wciąż teraz cierpi na bóle głowy. Dawniej nigdy się na to nie skarżyła.

Jabłecki zorientował się nagle, że popełnił plagiat na zniechęconym kuzynie, powtarzając jego spostrzeżenia. I to go zawstydziło.

Mecenas zawziętym człowiekiem nie był i po pięciu minutach zapanowała już między nim a Jabłeckim jaknajlepsza harmonia. Zaproszenie z chęcią przyjął i obiecał stawić się punktualnie. Ale jego przyjścia Jabłecki był najpewniejszy.

Przy pożegnaniu, odprowadzając Jabłeckiego do przedpokoju, Cisiewicz odezwał się nagle:

— Mój panie, pan się po mieście kręci i zna najrozmaitszych ludzi.

— Tak wielu nie znam — zaprzeczył Jabłecki, któremu charakterystka człowieka kręcącego się po mieście, nie wydała się pochlebną.

— Ale to czasem przypadkowo znać można.

— A o kogo pana mecenasowi chodzi?

— Jakby go tu określić? Wysoki, chudy, z małemi wąsikami, ma olbrzymi nos.

Jabłecki ze zdumieniem spojrzął na Cisiewicza. Przytoczony przez niego rysopis w zupełności odpowiadał Twarkowskiemu.

— A mecenas nie wie, jak się nazywa?

— Ba, żebym wiedział, to bym się pana nie pytał.

— Ostatecznie, wysokich ludzi z dużymi nosami jest wielu w Warszawie.

— Właśnie, właśnie... ale czasem, przypadkowo można trafić. Zdaje mi się, że to jakaś podejrzana figura — dodał po chwili Cisiewicz.

— Młody, stary?

— Stary. Wygląda tak, jakby żałobę po kimś nosił, bo chodzi cały czarno ubrany.

Znów i w tym szczególe było podobieństwo do Twarkowskiego. Jabłeckiego zaczęło to intrygować.

— A gdzie go mecenas spotyka?

— W kawiarni.

— Znam kogoś, kogo mi ten opis bardzo przypomina.

— A kto to taki?

— Niejaki Twarkowski, urzędnik.

Mecenasowi nic to nazwisko nie powiedziało.

— Może się tak nazywa, nie wiem. Ale, ten pański Twarkowski, to kanalia, co? — dorzucił nagle szybko, z zaciekawieniem.

— Trochę — zgodził się Jabłeczki.

Składanie wizyt (ostatecznie postanowił zapraszać wszystkich osobiście) zajęło mu czas do wieczora. Powróciwszy do domu, zastał już panią Marylę. Na pierwszy rzut oka zobaczył odrazu, że znajdowała się w stanie niestęchanego podniecenia.

— Wyobraź sobie!

I nie kończąc zdania, zaniósła się spazmatycznym śmiechem.

— Co się stało?

— Wyobraź sobie...

— Ale co mam sobie wyobrazić?

— Ten bałwan...

Po tem określeniu dopiero Jabłeczki zgadł, że mowa znów będzie o Twarkowskim.

— Był jeszcze raz u ciotki?

— Prawdopodobnie — odparła ironicznie pani Maryla.

— Kobieto, mówżeż wyraźnie.

— Spotkałam go na ulicy w dorożce, w dwukonnej dorożce.

— Rozbija się.

— Ale zgadnij z kim?

— Z ciotką.

— Ach, jakżeś ty idyota!

Ze względu na widoczne podniecenie żony, Jabłeczki nie poczuwał się do obowiązku obrony swoich władz umysłowych. Poprzestał na lekkim wzruszeniu ramion.

— Skądżeż ja mogę wiedzieć z kim Twarkowski jeździ po mieście.

— Domyśl się!

— A, moja droga, nie po to chyba żyjemy razem, żeby się bawić w odgadywanie zagadek.

— No, więc ci powiem: z damą z półświatka!

— Z damą z półświatka?

— No tak, mówię ci wyraźnie...

I pani Maryla użyła określenia bardziej jaskrawego i dobitnego.

— I to za pieniądze ciotki — odezwał się po chwili Jabłecki.

— Dość dużo czasu potrzebowałeś, aby dojść do tego wniosku — odparła z ironicznym przekąsem pani Maryla.

Jabłecki parsknął nagle śmiechem.

— Z czego ty się śmiejesz?

— Bo swoją drogą, wyobrazić sobie Twarkowskiego.

— Szczęśliwie masz usposobienie, że przede wszystkim dopatrujesz się w tem zabawnej strony.

Jabłecki spoważniał.

— Trzeba by ciotkę uprzedzić. Ostatecznie, skoro pieniądze jej mają iść na taki cel.

— Rozmawiałeś dziś z ciotką. Widziałeś, jak jej zawrócił w głowie. Jestem przekonana, że choćby jej nie wiem co opowiedzieć, nie uwierzy. Twarkowski zresztą nie jest taki głupi, jak ci się zdaje. Wytłomaczy jej, że to nasze intrygi. Wie przecież, że od ciotki bierzemy pieniądze.

— Jak wyglądała?

— Kto?

— Ano, ta kokota.

— A wiesz, miałem się jej przyglądać.

Ale po tym pogardliwym wykrzykniku pani Maryla dodała zaraz:

— Jakaś nawet, zdaje się, młoda dziewczyna. Blondynka drobna.

— Blondynka, drobna?—podchwycił z zywieniem Jabłecki.

Przyszło mu na myśl, że może to było „Chucherko“. W takim razie, ów tajemniczy, chudy, czarny pan z dużym nosem, którym się tak zainteresował mecenas, mógł być naprawdę Twarkowskim.

Pani Maryli nagłe zaciekawienie męża wydało się podejrzanem. Spojrzała na niego przenikliwie.

— Znasz ją?

— Nie, skądżeż mógłbym ją znać.

— A dlaczego cię tak zajęło, że blondynka, drobna.

Jabłecki zawahał się chwilę, ale pęd do rozmowy przemógł w nim względy dyskrecyi. Opowiedział żonie scenę z mecenasem Cisiewiczem w kawiarni i rozmowę, jaką miał z nim w mieszkaniu. Z tych dwóch danych Jabłecki wyciągnął wniosek, że Twarkowski odbił Cisiewiczowi „Chucherko“.

— A ten Cisiewicz żonaty? — zaciekawiała się nagle pani Maryla.

— Ma się rozumieć.

— I dzieci ma?

— Dwie córki.

— Bydlę! — wybuchnęła pani Maryla. I na-

raz uogólniając ten zarzut na cały rodzaj męski, zwróciła się do męża:

— Wszyscy jesteście jednakowe bydłeta.

Jabłeczki skłonił pokornie głowę, jakby uznając słuszność tego zarzutu.

— Żeby taki idyota tyle zamieszania narobił — odezwał się po chwili.

Najnieoczekiwanej w świecie pani Maryla wystąpiła w obronie kuzyna.

— On wcale nie jest taki idyota. To ty go zawsze za idyotę przedstawiałaś, bo sam siebie uważasz za bardzo mądrego.

Jabłeczki uczuł, że na jego głowę spadnie odpowiedzialność za niemoralne prowadzenie się kuzyna żony. Nic nie oppowiedział. Ale pani Maryla nie chciała porzucać tak wdzięcznego tematu.

— Tobie się zawsze zdaje, że jesteś naj-
mądrzejszy — powtórzyła z naciskiem.

— Wcale mi się to nie zdaje. A o kuzynie twoim i ty sama niezbyt pochlebnie się zawsze wyrażałaś.

Ponieważ argument był prawdziwy, więc pani Maryla zbyła go pogardliwym milczeniem.

— Wiesz co [mi na myśl przychodzi? — odezwała się po chwili.

— No?

— Że on sam w ten swój wynalazek nie wierzy.

— Jakto?

— To był poprostu kawał, obmyślony na to, żeby naciągnąć ciotkę.

— No, nie! — zaprotestował Jabłeczki.

Tak podstępnych machinacyi nie chciał Twarkowskiemu przyznać.

— A ja ci mówię, że tak jest napewno. On zna ciotkę i potrafił sprytnie obmyśleć, jak z nią należy postępować. Ty dużo opowiadasz o tem, że się znasz na ludziach.

— Ach, tak..

— Ma się rozumieć.

Jabłeczki zmierzył żonę spojrzeniem, w którym się malowało zgorzenie i pogarda.

— Nad jednym się nie zastanawiasz.

— Nad czem?

— Że w takim razie twój kuzyn dopuścił się najpospolitszego oszustwa.

Na wyrazach „twój kuzyn“ położył znaczący nacisk, który miał świadczyć, że jego osobiście nic z Twarkowskim nie wiązało.

— Ja wiem, że on potrafi dawać sobie radę w życiu — odparła cierpko pani Maryla.

— Skoro to nazywasz „dawaniem sobie rady“...

— Nawet taki niedołęga, głupiec, jak on

— Moja droga — zaczął ostro, podniesionym głosem Jabłeczki, ale pani Maryla odwróciła się nagle gwałtownie i wyszła z pokoju, trzaskając drzwiami.

— Ładna etyka — mruknął szyderczo Jabłeczki.

Usiadł przy stole i wyciągnawszy z kieszeni kamizelki mały pilniczek, zaczął nim opłowywać paznokcie. Mogło się zdawać napozór, że zajęcie to pochłonęło go najzupełniej. Ale był to pozór tylko, machinalna czynność, przy której nie myślał o niczem. Wszystkie władze umysłowe miał jakby zamglone wściekłością.

Drzwi od sypialni otworzyły się nagle i w progu ukazała się pani Maryla. Była ubrana do wyjścia. Przeszła przez pokój, nie spojrzawszy na męża.

— Do ciotki idziesz? — odezwał się Jabłeczki.

Niewinne to w gruncie rzeczy pytanie warło efekt piorunujący. Pani Maryla odwróciła się błada, z ogniem w oczach, z zaciśniętymi ustami. Była tak wzburzona, że przez chwilę nie mogła dojść do słowa.

— Co ci się stało?

— Pytasz mię, czy do ciotki idę? — odezwała się nagle z akcentem przesadnej, lodowatej uprzejmości. A niby poco, w jakim celu mam iść do ciotki... Żeby żebrać dla ciebie o pieniądze... Tak?

Jabłeczkiemu krew uderzyła do głowy.

— Co to ma znaczyć! — wykrzyknął, uderzając pięścią w stół z taką siłą, że aż wszystko zatrzęsło się w pokoju.

Ale pani Maryli ten wybuch nie przestraszył. Spojrzała na męża wyzywająco.

— Co ma znaczyć? Powiedziałam chyba wyraźnie, po polsku.

— Słuchaj, jeżeli jeszcze raz na coś podobnego sobie pozwolisz...

— Nie, nie pozwolę sobie, bo już mam dosyć tego życia z tobą i ciebie, niedołęgo!

XIV.

Brzmiało to niby groźba zerwania. Ale, ponieważ zdarzało się już nieraz, podczas ostrzejszych zatargów małżeńskich, że pani Maryla wychodząc z domu zapowiadała, iż już nigdy nie wróci, więc Jabłecki nie przejął się zbytnio jej słowami. W pierwszej chwili ucieszył się nawet, że go żona zostawiła samego. Ale bardzo szybko przekonał się, niestety, że to była zawodna uciecha. Samotność nie łagodziła bynajmniej przykrego, dręczącego stanu ducha, w jakim się znajdował; przeciwnie — zaostrzała go nawet. Z dwojga złego, lepiej już było kłócić się z żoną.

Spojrzał na zegarek. Było już parę minut po wpół do dziewiątej. Obrzydł mu nagle dom, ale z drugiej strony nie miał pójść dokąd. Wysiadywać znów w jakiej kawiarni... Ostatecznie, w braku innych byłby to może i najlepszy sposób zabicia czasu, ale pod warunkiem, żeby się tam odrazu znaleźć, bez potrzeby chodzenia.

Usiadł przy stole i znów machinalnie zaczął opiłowywać paznogie. Z ulicy dolatywał głuchy turkot jakichś przejeżdżających wozów, po szybach bębnił deszcz. Wytwarzało to posępny, przygnębiający nastrój.

U drzwi wchodowych rozległ się nagle dzwonek.

— Aha — uśmiechnął się Jabłecki ironicznie.

Pewien był, że to żona wraca. Ponieważ służąca się nie zjawiała, więc poszedł sam otworzyć drzwi.

I stanął, jak wryty. We drzwiach ukazał się Twarkowski, uśmiechnięty, rozpromieniony.

— Dobrze, że was zastaję.

Jabłecki zawahał się, czyby mu nie zatrzasnąć drzwi przed nosem. Ale Twarkowski przestąpił już próg. Oczywiście, tego, co się działo w duszy Jabłeckiego, nie mógł wiedzieć, odczuł jednak niewyraźne przyjęcie.

— Cóż to na mnie tak patrzysz, jak na raroga?

— Masz dziwnie wesołą minę — odparł ironicznie Jabłecki.

— Zacząłem żyć.

— Wiem, wiem...

Twarkowski nie zwrócił uwagi na znacząco-szydlerczy ton tych słów.

— Jakżeż się miewacie? Obawiałem się, żeście się pochorowali.

— Ależ nie...

— Maryla jest?

— Wyszła.

— Szkoda.

— E, wiesz, może tym razem nie żałuj tego, że jej niema — odparł Jabłecki, którego korciło, żeby poruszyć sprawę niemoralnego prowadzenia się kuzyna.

Twarkowski spojrział na niego ze zdziwieniem.

— Dlaczego?

— Maryla jest na ciebie oburzona.

— Na mnie? A to z jakiego powodu?

— Domyśl się.

Twarkowski zmarszczył brwi i twarz jego przybrała wyraz głębokiego namysłu.

— Pojęcia nie mam — odezwał się po chwili. Być może, że ją czemś uraziłem ostatnim razem. Ale wy oboje byliście tak podenerwowani.

— Nie udawaj, mój drogi. Maryla cię widziała dzisiaj na mieście. Ładnie się prowadzisz.

— Nic nie rozumiem?

— Z kim dziś jechałeś dwukonną drożką?

— Aa! — wykrzyknął Twarkowski.

W tonie tego wykrzyknika była wyraźna tendencja do zbagatelizowania całej sprawy. I to rozdrażniło nagle Jabłeckiego.

— Wcale nie. „Aa“... — odparł podniesionym głosem. — Przyznam ci się, że to jest conajmniej dziwne, żeby w tych czasach czło-

wiek w twoim wieku afiszował się w biały dzień po mieście z kokotami.

— Ależ mój drogi...

— Pozwól mi skończyć. I to w dodatku za cudze pieniądze. Udało ci się od tej biednej Pettwiczowej kilkadziesiąt rubli wyciągnąć, naopowiadałeś jej o wynalazku i okazuje się, że ładny wynalazek. Gdybyś miał osiemnaście lat, to takie rzeczy mogłyby jeszcze uchodzić, chociaż nie, i to nie i to nie — poprawił się nagle Jabłecki, jakby zdając sobie sprawę, że nawet i w stosunku do młodzieńczego wieku nie można było tak daleko wyrozumiałości posuwać.

— Mój drogi...

— Nie przerywaj mi.

Jabłecki wpadał w coraz większą rozdrażnienie. Trochę ponosił go bieg własnych myśli, ale przede wszystkim drażnił go pogodny, nie zamącony śladem najmniejszej skruchy wyraz twarzy Twarkowskiego.

— Możesz sobie przyjąć to, jak chcesz, obrazić się albo nie obrazić, ale ja ci powiem wprost, co myślę.

I zawahał się. W gruncie rzeczy był człowiekiem miękkim i rzucenie komuś zdecydowanej obelgi w twarz sprawiało mu trudność.

Na chwilę zapanowało milczenie. Aż nagle Twarkowski odezwał się spokojnym tonem.

— Co myślisz?

— Co myślę, co myślę?... Myślę, że to jest w najwyższym stopniu nieuczciwe.

Twarkowski jednak nie przejął się tym zarzutem tak, jak przypuszczał Jabłecki. Skrzywił się, ale raczej z wyrazem nudy, niż oburzenia. I odezwał się spokojnie:

— Nie unos się.

— Och, mój drogi, ja się nie unoszę.

— Żona cię zbuntowała, bo to kobiety zawsze drażni.

Jabłecki zawstydział się trochę, że jego oburzenie przypisano moralizatorskim wpływom żony. Ale na nic innego nie potrafił się zdobyć ponad banalne zaprzeczenie.

— Wcale mię żona nie zbuntowała.

— No, to ci się dziwię. Myślałem, że jesteś człowiekiem szerszych pojęć.

— Ładnie sobie wyobrażasz „szersze pojęcia“ — roześmiał się szydlerczo Jabłecki.

— No, bo cóż się stało? Żona twoja widziała mnie w dwukonnej dorożce z pewną damą.

— Tak.

— Faktem jest, że jechałem w dwukonnej dorożce z pewną damą.

— Co ty, kpisz sobie ze mnie? — oburzył się Jabłecki.

— Pozwól-żeż mi dojsć do słowa.

— Przypuszczam, że nie ograniczyło się tylko do jazdy dorożką.

— Nie, nie ograniczyło się — odparł spokojnie Twarkowski.

— Wiesz, że jesteś bezczelny! — wybuchnął Jabłecki.

Twarkowski i tę obelgę zniósł spokojnie. Wzruszył tylko nieznacznie ramionami i po chwili odezwał się:

— Dlaczego? Skoro mi zadawałeś pytanie, to chyba po to, żebym ci szczerze na nie odpowiedział. Ja ci szczerze odpowiedziałem.

— Ale pani Pełtwiczowa, dając ci w zaufaniu pieniądze, nie spodziewała się zapewne, że je obrócisz na taki cel.

— Nie wszystko — mruknął Twarkowski.

Jego logiczne zastrzeżenia zaczynały doprowadzać Jabłeckiego do takiej furii, że z trudem panował nad sobą.

— Jeszcze by tego brakowało.

— A powtóre...

Twarkowski nie kończył myśli. Jabłecki podchwycił z ironicznym przekąsem.

— No, co? Co, powtóre?

— Ja działałem w interesie ciotki.

To wyznanie zamknęło Jabłeckiemu usta. Zmarszczył brwi i miał przez chwilę taki wygląd, jakgdyby zastanawiał się naprawdę nad tem, czy mógł zachodzić jaki związek między interesami hrabiny Pełtwiczowej a eskapadą Twarkowskiego. Twarkowski tak jego zamyslenie zrozumiał i odezwał się uprzejmym tonem.

— Wydaje ci się to niezrozumiałe?

— Rzeczywiście.

— A to bardzo proste. Potrzeba mi było intelektualnego wstrząśnienia.

— Tak.

Jabłecki postanowił zgadzać się już na wszystkie argumenty Twarkowskiego. Ostatecznie ugruntowało się w nim przekonanie, że kuzyn pani Maryli szwankował nieco na umyśle. Ale Twarkowski z intuicyją, o jaką trudno go było podejrzewać, odgadł ten zamiar.

— Mówisz tak, aby zbyć, bo mnie uważasz za waryata, powiedzmy, za pół waryata.

Jabłecki nie zaprzeczał.

— Nie wiem, czemu oboje z Marylą uprzedziliście się tak do mnie. Mam nadzieję, że wynika to z jakiegoś nieporozumienia, które się powinno wyjaśnić. Wspominałem ci, że było mi potrzeba intelektualnego wstrząśnienia. Tak! W moim wynalazku jest jeszcze parę drobnych niedokładności. Głupstwo. No, ale, aby torpeda funkcjonowała prawidłowo, należy je pousuwać. Kwestya paru godzin zastanowienia — mówił urywanemi zdania z gorączkowymżywieniem.

Jabłeckiego gniew minął i nawet zaczynało się w nim budzić coś w rodzaju współczucia.

— I do czego ci było potrzeba tego intelektualnego wstrząsu? — uśmiechnął się po błazliwie.

— Aby odzyskać sprawność mózgu.

— Nie wiedziałem, że to taki skuteczny sposób.

— Owszem, przy dużem przepracowaniu umysłowem.

Jabłecki nie mógł się od śmiechu powstrzymać. Twarkowski, sądząc widocznie, że tę oznakę dobrego humoru należy już uważać za zażegnanie nieporozumienia, wyciągnął ku niemu przyjaźnie rękę.

— Widzisz.... A wyście tak wpadli na mnie.

— Nie widzę w tem jednak dobra ciotki— śmiał się Jabłecki, bawiąc się coraz bardziej rozumowaniem kuzyna.

— Jako? Im prędzej doprowadzę wynalazek do końca, tem prędziej będziemy mieli pieniądze. Ja dla was pracuję, a wy się na mnie boczycie.

Aczkolwiek Jabłecki nie wiele sobie po wynalazku kuzyna obiecywał, jednak szlachetna intencya ujęła go trochę.

— Zobaczymy.

Twarkowski spoważniał nagle.

— Mój drogi, ja przyszedłem do ciebie w poważnej sprawie.

— No?

Twarkowski zmrużył figlarnie oczy i, wytrzymawszy długą pauzę, odezwał się takim tonem, jakim się zazwyczaj oznajmia rozkoszne niespodzianki.

— Mam zamiar założyć pismo i, wiesz, kogo chcę powołać na naczelnego redaktora?

Jabłecki znów poprzestał na monosylabie.

— No?

— Ciebie.

Tę ponętą obietnicę Jabłecki przyjął jednak chłodno, tak chłodno, że aż na twarzy jego kuzyna odmalowało się zgorzenie i rozczarowanie.

— Sądziłem, że cię to żywiej obejdzie.

— Ależ owszem, bardzo ci jestem wdzięczny — odezwał się żywo Jabłecki, pod wpływem nagłej refleksyi, że Twarkowskiego należało traktować, jak waryata.

— Nie masz mi za co dziękować. Nie robię tego dla zaskarżenia sobie twojej wdzięczności, tylko uważam, że trzeba ci dać możliwość wypłynięcia na szersze wody.

— Dziękuję ci.

— Pismo codzienne.

— Wielkie — mruknął z ironiczną powagą Jabłecki.

— Ma się rozumieć. Większe od wszystkich istniejących. Czekaj, mój kochany. Od dziś za rok. We własnym pałacu będziesz mieszkał. Czekaj!

Twarkowski zmarszczył brwi i sięgnął po zegarek.

— Doskonale.

— Co?

— Tak się szczęśliwie składa, że mam je-

szcze godzinę czasu. Będziemy zaraz mogli omówić szczegóły.

Ale Jabłecki nie miał najmniejszej chęci na omawianie szczegółów. Również spojrzął na zegarek.

— Niestety. Muszę wyjść.

— Musisz?

— Tak.

— Czy nie mógłbyś odłożyć tego na godzinę. To sprawa ważna?

— Czekają na mnie. Umówiłem się.

— W kawiarni?

— Nie, nie, nie — zaprzeczył pospiesznie — czując, że do kawiarni Twarkowski od razu zechciał, by mu towarzyszyć. — W prywatnym mieszkaniu.

— Odprowadzę cię. Przez drogę będzie można trochę pomówić. Czy to daleko?

— Nie, tuż zaraz... O parę domów.

— A kto tam mieszka?

— Chodźmy! — jęknął Jabłecki, czując, że jeszcze jedno takie pytanie, a zbraknie mu cierpliwości i rzuci się na kuzyna.

XV.

Nie było innej rady, aby się pozbyć Twarkowskiego, musiał sam wyjść i pozwolić mu się kilkadziesiąt kroków odprowadzić pod bramę jednej z sąsiednich kamienic, gdzie udał, że niby to wstępuje na górę. Ale Twarkowski wpadł w taki zapał, że przed bramą jeszcze próbował go przytrzymać.

— Parę słów...

— Ale, człowieku, deszcz pada.

Taki argument nie mógł kuzyna pani Maryli przerazić.

— Wejdzmy do bramy.

I w bramie jeszcze męczył go dobre dziesięć minut opowiadaniem o zamierzonym piśmie. I jednak siła wymowy jego była taka, że rozbudził w Jabłeckim pewne zaciekawienie: jakby to było, gdyby miało być naprawdę. Przyłapawszy się na tym uczuciowym odruchu, Jabłecki się zawstydził i gwałtownie przerwał rozmowę.

— No, dowidzenia, bo tak do jutra moglibyśmy gadać. Poczem pędem uciekł w po-

dwórce, obawiając się, że Twarkowski będzie chciał go jeszcze na schody odprowadzać.

— Przecież za to połowa grzechów powinna mi być odpuszczona — uśmiechnął się, usiłując wziąć całą tę przygodę z komicznej strony.

Ale to mu się nie udało. Nad subtelnem uczuciem pobłażliwej ironji odrazu zapanowała pospolita nienawiść. Przeczekawszy przezornie parę minut, żeby Twarkowski miał czas oddalić się na przyzwoitą odległość, wyszedł na ulicę. I nie wiedział, co ze sobą zrobić. Do domu skoro się już tak złożyło, że wyszedł, nie chciał mu się odrazu wracać. Do tych kawiarni, w których mógł spotkać kogoś ze znajomych, było daleko, a pogoda nie zachęcała bynajmniej do chodzenia po mieście. Deszcz zaczynał padać coraz gwałtowniej. Wprawdzie, zrobiwszy jeszcze kilkanaście kroków, można było na rogu znaleźć dorożki, ale Jabłecki na tym właśnie jednym jedynym punkcie był przesadnie oszczędnym. Wydatek na dorożkę zawsze mu się wydawał niepotrzebnym zbytkiem. Pominawszy te względy jednak, w gruncie rzeczy nie chciał się z nikim widzieć. Stan jego duszy był taki, że i samotność mu ciążyła i perspektywa towarzystwa ludzkiego z góry przemawiała go niechęcią. Znaleźć wyjście z takiego stanu ducha bez pomocy jakiegoś silnego wrażenia z zewnątrz jast niesłychanie trudno — to też Jabłecki włókł się niezdecydowanym kro-

kiem po deszczu i to poczucie zupełnego wykolejenia duchowego powiększało w nim tylko jeszcze obrzydzenie do wszystkiego.

Nawprost kamienicy, w której Jabłeccy mieszkali, znajdowała się mała, podrzędna cukierenka. Jabłeczki nigdy w niej nie był i naraz, rzuciwszy machinalnie wzrokiem na oświetlone drzwi, postanowił tam poszukać przytułku dla swego rozbicia. Przy kasie, obok bufetu, zastawionego ciastkami, drzemał właściciel, tęgi mężczyzna z obwisłymi czarnymi wąsami i dużym guzem pośrodku łysej zupełnie czaszki. Zmierzywszy Jabłeckiego spojrzeniem, w którym malowała się podejrzliwość i niechęć, zadzwonił. Nikt się jednak na odgłos dzwonka nie zjawił. Właściciel sam musiał się podjąć obowiązków służącego.

— Czem panu mogę służyć?

— Proszę o herbatę z cytryną.

— Zabrali mi kelnerów do wojska i bez służby zostałem — usprawiedliwił się zgryźliwym tonem przed Jabłeckim.

I znikł za drzwiami, skąd zaraz rozległ się jego głos:

— Ja cię hyclu nauczę romansować po bramach.

W chwilę potem ukazał się przed Jabłeckim wyrostek we fraku o tyle za długim, że poły wlokły mu się prawie po ziemi. Łatwo się było domyśleć, że był to frak wziętego do

wojska kelnera, po którym, w drodze spadku, dostał się jego małoletniemu zastępcy.

— Czy i gazety? — odezwał się, stawiając przed Jabłeckim szklanę z takim rozmachem, że aż rozlał herbatę na stół.

— Daj! — odparł machinalnie Jabłeczki.

Ale gdy mu chłopiec przyniósł pisma, odłożył je ruchem, wyrażającym najwyższą niechęć i pogardę dla drukowanego słowa. Nie był usposobiony do czytania. Miał umysł zaprzątnięty myślami, do których może nie przyznałby się wobec nikogo głośno. Ale wobec siebie, w najtajniejszych głębiach duszy... Twarkowski był wariat, to nie ulegało kwestyi, wpadł jednak na genialny sposób zawrócenia głowy Pełtwiczowej. I w gruncie rzeczy tak łatwo było wpaść na ten sposób... To, co Jabłeczki czuł, było zbliżone do wyrzutów sumienia.

— A gdyby?

Po tem milczącym pytaniu, które jednak musiało iść aż gdzieś z dna duszy, bo uzewnętrznęło się nawet w przelotnym ożywionym błysku oczu, znów odrazu twarz Jabłeckiego przybrała poprzedni wyraz rozgoryczenia i apatyi. Zjawiać się teraz u Pełtwiczowej z nowym wynalazkiem nie miało sensu. Na to już by się baba nie wzięła. Do razu sztuka. I właśnie ten raz wyzyskał Twarkowski.

— Doprawdy, w życiu tylko głupcom i wariatom szczęście sprzyja — uśmiechnął się ironicznie. Była w tem jakby nuta żalu do wła-

snego rozsądku i inteligencji, które skazywały go na upośledzenie.

Sięgnął po papierosy i ponieważ nie miał przy sobie zapalek, skinął na chłopca, który stał pod ścianą i z wyraźną niechęcią przyglądał się temu jednemu jedynemu gościowi, który jak gdyby po to tylko przyszedł, aby mu przerwać miłą zabawę.

— Daj-no mi ognia!

Ale właściciel, któremu to polecenie przerwało znów drzemkę, w tej chwili zainterweniował.

— Pokój do palenia jest obok.

Jabłeczki wzruszył ramionami.

— Przecież nikogo niema.

— Trudno, proszę pana, musi być porządek...

Jabłeczki wstał urażony.

— Płacić.

Ta jego manifestacja nie wywarła jednak wrażenia na gospodarzu, który widocznie więcej dbał o porządek, niż o zyskiwanie sobie klienteli. Znów zadzwonił, chociaż tym razem było to niepotrzebne, bo wyrostek, pełniący funkcje kelnera, już sam podszedł do Jabłeczkiego.

— Na to jest porządek, żeby był porządek — mruzczał gospodarz, poszukując w szufladzie drobnych na wydanie Jabłeczkiemu reszty z rubla. — I tak już się wszystko do gó-

ry nogami przewraca. Kelnerów mi pozabierali...

Ze zgryźliwego tonu tej skargi można było wyczuć, że jego przestrzeganie porządku było protestem przeciwko nieładowi, jaki wprowadzała w życie wojna. Jabłeczki kierował się już ku wyjściu, gdy nagle drzwi otworzyły się z hałasem i do cukierni weszła grupa mężczyzn, prowadzących jakąś bardzo ożywioną rozmowę. Był wśród nich Stetkiewicz. Zobaczywszy Jabłeczkiego, odłączył się zaraz od swego towarzystwa i podszedł ku niemu.

— Doskonale, że pana widzę. Pan był wczoraj u mnie?

— Byłem.

— Właśnie, oddano mi pańską kartę i nie mogłem odżalować, że mnie pan nie zastał w domu. Ale mnie wogóle w domu trudno złapać. Teraz takie gorączkowe czasy, tyle mam różnych spraw, że przez cały dzień jestem rozzerwany. Jakby pan chciał ze mną pogadać, to najlepiej w redakcyi. Od czwartej do szóstej bywam zawsze. Wogóle może by pan kiedy zaszedł?... Zbiera się trochę ludzi, bardzo miła atmosfera. Ja jestem w towarzystwie, ale siadajmy na chwilę... Czego się pan napije... Kawy? Mały, dwie kawy!

Młodzieniec w za-obszernym fraku uczuł się widocznie dotknięty przewiskiem „mały“, gdyż zmierzył Stetkiewicza pełnem oburzenia spojrzeniem.

— Chodźmy do drugiego pokoju, bo tu palić nie wolno—zauważył Jabłecki.

Ale Stetkiewicz był osobistym znajomym właściciela cukierni i miał wyjątkowe prawa.

— Nie da nam pan palić?—ozwał się trochę drwiącym tonem.

— Już jak redaktor chce palić, to proszę—odparł z rezygnacją cukiernik.

Jabłeckiemu tę różnicę w traktowaniu jego samego i Stetkiewicza mogła wynagrodzić nieoczekiwana serdeczność dziennikarza. I co prawda, pojęcia nie miał, czem sobie te nagłe łaski wytłomaczyć.

— Domyślam się, że pan był u mnie w sprawie tego waszego zebrania...

— Tak.

— Kiedyż to będzie?

— W przyszłą sobotę.

— W kawiarni?

— Nie, nie, nie... U mnie wieczorem.

— A, wieczorem. Zaraz muszę sobie zanotować, żeby już na ten wieczór nie brać żadnych zobowiązań.

Dziennikarz wyciągnął z kieszeni notatnik i nakreślił w nim coś pospiesznie ołówkiem.

— Doskonale. W domu będziemy mogli swobodniej rozmawiać. Ja nawet wystąpię z pewnym projektem. Czy pańska grupa jest liczna?

Wyrazy „pańska grupa“ oszołomiły zupełnie Jabłeckiego. Tak jeszcze nikt do niego nie

przemawiał. Miał ochotę rzucić się na szyję dziennikarzowi. Niestety, tę przelotną radość zaćmiła odrazu konieczność odpowiedzi.

— Nie bardzo — odparł skromnie.

— Ilu was jest?

— Kilkudziesięciu.

— Jednak?—zdziwił się mile dziennikarz.—

I wszyscy będą?

— Może nie wszyscy, ale większość.

Do soboty było jeszcze sporo czasu. Jabłecki postanowił odrazu sprosić, kogo się dało, aby ta jego grupa przedstawiała się możliwie najbardziej imponująco. Oczywiście powiększało to odrazu koszt przyjęcia do bajońskich sum, ale Jabłecki z niczem już nie chciał się liczyć. Musi być i będzie. Radość odkrycia, że w opinii ludzkiej istniała jakaś „jego grupa“, nie pozwalała mu zastanawiać się nad takimi drobiazgami, jak wydatki.

— Nie chodzi zresztą o to, żeby wszyscy byli—mruknął dziennikarz.

I, wskazując ruchem głowy na sąsiedni pokój, w którym rozsiedli się jego towarzysze, a skąd dolatywał gwar bardzo ożywionej rozmowy, odezwał się:

— I my właśnie wracamy z zebrania.

— Aha—podchwycił z zaciekawieniem Jabłecki.

— Nawet przebieg był bardzo burzliwy — ciągnął z ironicznym uśmiechem dziennikarz.

— A o cóż poszło?

— O cóż może w naszych czasach chodzić. Różnice orientacji. Wie pan, do jakiego wniosku doszedłem.

— No?

— Że agitacja niemiecka robi swoje w Warszawie.

— Ale...

— Napewno. Oni tu mają swoich agentów...

Jabłeckiemu przyszła nagle na myśl Jola. Badawczo i podejrzliwie spojrzął na dziennikarza.

— Sądzi pan?

— Ho, ho.

Stetkiewicz zamyślił się i po chwili zaczął przyciszonym głosem.

— Jak panu wiadomo, na początku wojny powstało u nas nowe stronnictwo. Właściwie to była secesja dawnej lewicy zjednoczenia narodowego.

— Jakto, dawnej lewicy? — odezwał się Jabłeczki, który mimo kilkumiesięcznej kariery politycznej nie zupełnie wyraźnie orientował się jeszcze we wszystkich odcieniach partyjnych.

Stetkiewicz spojrzął na niego ze zdumieniem.

— Dawnej lewicy. Nie wie pan, że zje-

dnoczenie narodowe ma dawną lewicę i nową lewicę.

— Zdawało mi się, że nowa lewica już nie istnieje — zaczął się wykręcać Jabłeczki.

— Rozbili się na trzy grupy, ale istnieją. A dawna lewica zorganizowała się, jako odrębne stronnictwo, na początku wojny. Otóż ja należałem do nich. Od pewnego czasu co prawda zaczynały się już tam zarysowywać różnice i dziś właśnie nastąpił ostateczny rozłam. Tworzymy secesję.

— Ach! więc ta dawna lewica się rozleciała!

— To jest ostatnia sensacja naszego życia politycznego.

— A secesya?

— Właśnie organizujemy się. I przyszło mi na myśl, czy nie byłoby dobrze, żebyśmy się razem złączyli.

— Jakto, razem?

— Z pańską grupą. Zdaje mi się, że różnic programowych niema. Przynajmniej wnioskuje z tego, co od pana słyszałem. Nas jest niewielu, ale wszystko tędy ludzie.

Optymistyczne przypuszczenie co do braku różnic w programach zadziwiło trochę Jabłeczkiego. Nigdy w życiu z dziennikarzem o tem nie mówił. Ale nie chciał zbyt pedantyzmem psuć sobie rozkosznego nastroju.

— Doskonale — odparł, podając Stetkiewiczowi rękę.

— Przejdźmy tam! — krzyknął dziennikarz, zrywając się z krzesła.—Zapoznam pana z bardzo dzielnymi ludźmi.

I zaprowadził go do swego towarzystwa. Ale, ponieważ cukiernię już zamykano, więc po prezentacyi niewiele czasu pozostało im na rozmowy.

Jabłeczki był tak podniecony, że nie chciał się ze Stetkiewiczem rozstawać. Ale nie było już dokąd pójść. Przytem, ponieważ deszcz padał, Stetkiewicz zaczął się odrazu rozglądać za dorożką.

— Więc kiedyż się zobaczymy?

— A no, może jutro wpadniecie do nas do redakcyi.

— O której?

— Koło południa. No i do widzenia, bo leje coraz gorzej.

Jabłeczki miał tylko parę kroków do domu. Pani Maryla nie powróciła jeszcze. Martwiło go to, bo pod wpływem radosnego podniecenia zapomniiał o wszelkich urazach do żony i chciał się pochwalić przed nią powodzeniem.

XVI.

— Hm... Drapnęła...

Jabłeczki obraca w palcach różowy list i gdyby mu kto kazał w tej chwili ściśle określić co czuje, byłby w kłopotcie. Na szczęście nikt tego od niego nie wymaga, a on sam poprzestaje na poddawaniu się nastrojom, nie zastanawiając się nad ich jaskrawymi przeciwieństwami. Przez pięć minut jest wściekły. Z chęcią zadusiłby żonę własnymi rękami. To znów przychodzi pięć minut absolutnej obojętności. Drapnęła to drapnęła. Mniejsza o to.

Ten list czekał na niego wczoraj wieczorem w domu. Pani Maryla była podczas jego nieobecności w mieszkaniu, spakowała część swoich rzeczy i wyniosła się... Oczywiście do ciotki Pełtwiczowej. A może do Joli? Mniejsza o to, do tej, czy do tej, nie będzie jej szukał.

Spogląda na zegarek i zrywa się z łóżka. Trzeba iść do biura. Tylko się nie wyspał przez tę całą historję, bo wczoraj zdenerwowany

snuł się do czwartej rano po mieszkaniu, a dziś obudził się przed ósmą. I przez cały dzień będzie ociężały, rozbity. Przez chwilę usiłuje cynicznie w siebie wmówić, że właśnie o to tylko, że się nie wyspał, może mieć urazę do żony. Ale naprawdę tkwi tam jeszcze coś głębiej.

— Nie, ona oszalała — mruczy, zabierając się ociężale do mycia. No, bo niby czem innym wytłomaczyć tę ucieczkę? Pokłócili się o Twardowskiego, ale cóż to znaczy? Bywały stokroć gorsze zajścia między nimi i pani Maryla nie uciekała.

— I ten list!

Przerywając na chwilę mycie, Jabłeczki wraca do łóżka i znów odczytuje kilkanaście wyrazów, nakreślonych na zmiętym arkusiku listowego papieru.

„Już mam dość ciebie idyoto...” „Wielu durniów widziałam...” „Żeby kogoś los złączył z tak głupim człowiekiem...”

Przez mgnienie oka, pod wpływem myśli, że to wszystko wyniknęło z jakiegoś przedenerwowania żony, zaczyna się w nim budzić roztkliwienie — ale twarde wyrazy listu przecinają ten nastrój odrazu.

— I ja mam dość.

I nagle znów spogląda na zegarek. Ostatecznie do biura można by się trochę spóźnić... A gdyby tak wpaść do Joli jeszcze przedtem. Ale zaraz potrząsa przecząco głową. Nie, nie...

To już jest głupi projekt. Przedewszystkiem żony tam niema i jeszcze nie zdążyły się skomunikować. A gdyby była, to właśnie gdzie jak gdzie, ale u Joli teren nie nadawał by się do spotkania.

Wogóle te zbyt gwałtowne odruchy nie mają sensu. Najlepiej — czekać. I to postanowienie wydaje się nagle Jabłeczkiemu tak jedynie racjonalnem, że może się tylko dziwić, że mu wcześniej do głowy nie przyszło.

— Stary jestem a głupi.

Maryla uniosła się, uciekła — jest zdenerwowana może więcej niż dawniej, bo wojna denerwuje wszystkich, po paru godzinach uspokoi się i wróci, sama, bez poszukiwań. I Jabłeczki wychodzi z domu, zawstydzony trochę, że mógł nie spać w nocy, wybierać się rano do Joli i wogóle, że odczuł to wszystko tak, jakby nie miał najmniejszego pojęcia o psychologii kobiecej.

* * *

Niebawem jednak mógł się przekonać że jego znajomość psychologii kobiecej tym razem go zawiódła.

Minęło czterdzieści ośm godzin — w ciągu takiego czasu nerwy by się uspokoiły. a tymczasem pani Maryla nie pokazała się z powrotem. To świadczyło, że ucieczka jej miała jakieś głębsze przyczyny. I to było dla Jabłeczki

ckiego najzupełniejszą zagadką. Zapewne, że pożycie ich nie odznaczało się zgodą, pani Maryla odgrażała się często, że ucieknie, odgrażała się nawet tak często, że Jabłecki przestał zwracać na to uwagę. Traktował to, jako pewien konwencyonalny zwrot małżeńskich sprzeczek. I naraz pani Maryla spełniła swoje pogroźki. Niby dlaczego przedwczoraj a nie dwa tygodnie temu? Nie zeszło nic takiego, coby usprawiedliwiało ten gwałtowny przewrót w ich życiu.

Jabłecki postanowił w ciągu dnia odwiedzić ciotkę Pełtwiczową, u której pani Maryla prawdopodobnie zamieszkała.

— Może sobie wracać, albo nie wracać, ale niech się dowiem przynajmniej o co jej poszło...

Ubierał się pospiesznie, bo znów trochę zaspął, a nie chciał się zbyt spóźnić do biura. I tak w ciągu ostatniego tygodnia spóźnił się cztery razy.

U drzwi wchodowych rozległ się nagle dzwonek przeciągły, niecierpliwy.

— Maryla. Któżby inny tak dzwonił.

I Jabłecki rzucił się ku drzwiom uradowany. Gdyby był w stanie analizować w tej chwili swoje uczucia, przekonałby się może, że ta radość była trochę nieoczekiwana. Przez czterdzieści ośm godzin wmawiał w siebie że ucieczka żony nic a nic go nie obeszła...

Ale się zawiódł. Wczesnym gościem był Twarkowski.

— Jak się masz!

Na Twarkowskim znać było silne zdenerwowanie. Oczywiście, zjawiał się jako poseł od Maryli. Jabłecki znał sposób przedstawiania spraw przez kuzyna. Wiedział, że na wstępy i omówienia zużyłby conajmniej trzy kwadransy. I na to nie chciał tracić czasu.

— Od Maryli przychodzisz?

— Jaktó od Maryli?

Podziw Twarkowskiego był tak szczery, że nie mógł być udawany.

— To nic nie wiesz?

— Nie wiem.

— Nie widziałeś się z nią?

— Nie. Ale co się stało?

— Rozeszliśmy się.

— Wy?

Twarkowski aż się w tył cofnął ze zdumienia.

— A o cóż wam poszło?

— Niewiem.

— Jaktó nie wiesz. Wtęc któż będzie wiedział?

— Może ona wie, bo ja nie wiem. Poprostu uciekła odemnie.

— Kiedy?

— Onegdaj.

— Hm. Ona zawsze była narwana — odezwał się po chwili Twarkowski tonem, który świadczył, że nie przywiązywał zbyt wielkiej wagi do tego zajścia. — Pewno jest u ciotki.

— A u ciotki nie byłeś?

— Nie byłem. Mogę tam dziś zajść.

— Ja sam zajdę.

— Parę dni się pokrzywi i wróci. Mój drogi ja do ciebie w ważniejszej sprawie przychodzę. Musisz być moim sekundantem.

Jabłecki spojrział na kuzyna i parsknął śmiechem. Wszystko mu się w głowie mieściło, tylko nie to, żeby Twarkowski mógł się z kimś pojedyńkować. Jego wesołość uraziła widocznie Twarkowskiego. Wyprostował się i odezwał nieco wyzywającym tonem.

— Z czegoż ty się śmiesz?

— Przepraszam cię. Ale wiesz, to był dość zabawny kontrast. Ja ci opowiadam, żeśmy się z żoną rozeszli, a ty mnie prosisz na sekundanta.

— Wcaleście się z żoną nie rozeszli.

— Jakto nie. Dwa dni już jej niema.

— Jeszcze dwa dni jej nie będzie i wróci.

Spokój kuzyna zasuggestyjonował Jabłeckiego. A może rzeczywiście on sam brał to wszystko zbyt nerwowo i niecierpliwie.

— A cóż ty masz za awanturę?

— Znasz tego starego, głuchego idyotę, Cisiewiczza?

— Znam. Tylko, zdaje mi się, że nie jest idyotą. To bardzo poważny prawnik — zaczął bronić Jabłecki autorytetu mecenasa.

— Jaki jest prawnik, to mi wszystko jedno,

ale jako człowiek, idyota. Nie rozumie najprostszyc rzeczy.

— Jakich?

— No, że skoro kobieta go porzuciła, to przez to, że mnie awanturę robi, względów jej nie odzyska.

— Ach, więc to o kobietę wam poszło. O tę, z którą jeździłeś?

— Tak. To jego dawna przyjaciółka. I wyobraź sobie, ten stary ramol spotyka mnie wczoraj w kawiarni i zaczyna mi wygrażać kijem i wymyślać. Miałem ochotę wyrwać mu kij i obić. Ale nie zrobiłem tego. Zapanowałem nad sobą. Wyszedłem. Będiesz moim sekundantem.

— Ale przecież teraz strzelać się ze sobą nie będziecie.

— Ja też nie mam zamiaru się z nim strzelać. Niech mię przeprosi.

— A jak nie będzie chciał?

— To już wasza rzecz, sekundantów, żeby go zmusić do tego! — wybuchnął Twarkowski.

Tego rodzaju pojęcie o roli sekundantów wydało się Jabłeckiemu dość szczególnem. Ale nie kładł na to nacisku. Cała historia wydała mu się nagle dość zabawną. A zresztą zaczynało mu zależeć na Twarkowskim.

— Dobrze—odparł poważnie.

Twarkowski uroczyście uściśnął go za rękę.

— A kto będzie drugim sekundantem?

— Jeszcze nie wiem. Zatelefonuję ci do biura.

W głębi duszy Jabłecki podzielał przekonanie kuzyna, że dąsy żony potrwają jeszcze dzień, może dwa, wreszcie trzy dni, ale że wszystko zakończy się pogodzeniem. Z biura dwa razy telefonował do Joli, ale nie było jej w domu. Koniecznie chciał się z nią zobaczyć, ponieważ pewien był, że obie przyjaciółki już się skomunikowały i że Jola potrafi go objaśnić, co właściwie skłoniło panią Marylę do ucieczki. Była to już wprost teoretyczna ciekawość.

— Jednak ten Twarkowski jest chytry... Myśmy go wszyscy za głupca uważali — musiał oddać w głębi duszy sprawiedliwość kuzynowi. I to na razie może było najprzykrzejsze. Skoro się kogoś przez długie lata przyzwyczaiło uważać za idyotę, trudno jest odrazu zmienić o nim zdanie i to w ten sposób, żeby go stawiać sobie poniekąd za ideał. A Jabłecki nie mógł tego wobec siebie samego zaprzeczyć. Twarkowski zaczynał mu imponować. Zwłaszcza, zaimponowały mu spokój i stanowczość, z jakim Twarkowski zbagatelizował ucieczkę pani Maryli. On sam denerwował się, histeryzował. W gruncie rzeczy o co? Przecież właściwie nie zależało mu na tem, żeby żyć z żoną. Stosunek ich już się wyczerpał i nic więcej dać sobie nawzajem nie mogli.

Kto wie czy nie lepiej byłoby mu samemu? Zastanawiając się nad tem wszystkim w biurze, w końcu począł się wahać, czy wogóle warto było chodzić do Joli. Tembardziej, że nieraz wzdychał przed nią: „Ach, gdybym był wolny, gdybym był wolny“. I Jola dawała mu do zrozumienia, że gdyby był wolny, to i ich wzajemny stosunek ułożyłby się inaczej. Otóż moment ten nadszedł, ale teraz właśnie Jabłecki absolutnie pojęcia nie miał, jak w stosunku do Joli korzystać z tej wolności.

— Słowem—zawracanie głowy.

W ten sposób nieodpowiedni może do melodramatyczności sytuacji, określał zamęt jaki miał w duszy. Dobrą stroną miało to tę, że na intensywnem myśleniu godziny biurowe zbiegły mu niepostrzeżenie.

Ale na parę minut przed wyjściem spostrzegł, że dwóch kolegów wiodło jakąś przyciszoną rozmowę, podczas której obrzucali go ukradkowemi spojrzeciami.

— O mnie gadają — przyszło mu odrazu na myśl i aby się upewnić, sam zaczął ich nieznacznie obserwować. I po dwóch minutach nie mógł już mieć wątpliwości. Nietylko mówili o nim, ale o ucieczce pani Maryli. Cóżby inaczej miały znaczyć te ironiczne uśmiešky? Jabłecki wiedział, że Warszawa jest plotkarskim miastem, mimo to jednak wydało mu się, że do biura nowina przyszła stanowczo za prędko. Oczywiście przyszła z kuchni dla inteli-

gencji. Obaj ci koledzy tam się stołowali właśnie. Tam musiało się kotłować.

I nagle zauważył, że jeden z rozmawiających zwrócił na niego wzrok z wyraźnym współczuciem. Zdjął go odrazu gniew, graniczący nieomal z furją.

— Cóż on idyota sobie myśli... Będą mnie żalowali!

Pod wpływem podrażnionej ambicyi, nie zastawiając się nad tem, co robi, wstał i zbliżył się do kolegów.

— Panowie o mnie rozmawiają?—roześmiał się wesoło.

— Skąd to panu do głowy przyszło?

— Zauważyłem.

— Przecież pan przy swoim biurku nie mógł słyszeć, o czem rozmawiamy.

— Ale można wyczuć.

— Ii, wyczucia zawodzą.

— Nie zawsze. Zresztą niema nic dziwnego w tem, że o mnie rozmawiacie. Jestem bohaterem chwili.

— Dlaczego?

— Niechżeż pan nie udaje. Żona uciekła odemnie. Warszawa lubi takie plotki.

Obaj koledzy przyjęli to wyznanie milczeniem. I to podcięło Jabłeckiemu jego fantazyę. Zamilkł. Ale po chwili znów się odezwał:

— Nawiasem mówiąc, wcale się tem nie przejmuję.

Na tem rozmowa się przerwała. W dwie

minuty potem, Jabłecki już jej sam żalował. Po co się wrywał z temi zwierzeniami. Co to miało za sens?

Wprost z biura pojechał do Joli, odkładając obiad na później. O tej godzinie napewno można było zastać Jolę w domu.

W dorożce, poraz pierwszy od dwóch dni, próbował analizować swój stan duchowy. Szczepnie, bez póź. Odczuł ucieczkę żony, czy nie? Właściwie całe jego zdenerwowanie mogło by być świadczyc, że odczuł, i to nawet bardzo. A przecież w ciągu paru ostatnich lat pożycie z żoną już mu ciążyło i nieraz wzdychał do rozwodu. Tamtych uczuć także nie wmawiał w siebie... Były szczerze.

Zwłaszcza, ostatni wybryk — te wyznania wobec kolegów biurowych pozostawiły mu wrażenie niesmaku.

— Byle tylko wobec Joli nie palnąć jakiego głupstwa w tym rodzaju.

Przed samemi drzwiami ogarnął go lekki niepokój.

— Zastałem pannę Jolę?

— Owszem, jest.

Jola powitała go zagadkowym uśmiechem.

— Ach, to pan?

— Oczywiście, wie pani już o wszystkim.

— Owszem, wiem.

— Kiedy się pani dowiedziała?

— Wczoraj.

- I cóż pani na to?
- Jakto, cóż ja? Cóż pan na to? Chyba pana obchodzi bliżej ta kwestya, niż mnie.
- Panią wcale nie obchodzi?
- W każdym razie nie tak, chyba, jak pana.
- Sądziłem, że jako przyjaciółka...
- Jako przyjaciółka mogę się tylko cieszyć.
- Dziękuję.
- Za co?
- Za szczerość.
- Zawsze staram się być szczerą. A zresztą, czyż pan sam nie przyznawał mi się kiedyś, że pan jest bardzo, bardzo złym mężem.
- Prawda.
- A mimo to od tej obojętnej panu kobiety żąda pan wierności i posłuszeństwa.
- Przeciwnie, przeciwnie, bardzo się cieszę— przerwał jej Jabłecki.
- W takim razie wszystko cudownie się składa.
- Czemuż aż cudownie?
- Skoro cztery osoby, się cieszą...
- Jabłecki spojrzał badawczo na Jolę.
- Jakto cztery?
- Niech pan nie będzie za bardzo podejrzliwy. Mówię cztery, ponieważ ja mam prawo uchodzić za dwie osoby. Kochanka męża i powiernica żony.

Jabłecki uśmiechnął się niewyraźnie z dowcipu.

- I wszystkie się cieszą.
- A z czegoż pani się cieszy?
- Jako przyjaciółka pana cieszę się, bo się pan cieszy. Jako przyjaciółka Maryli cieszę się, bo ona się cieszy.
- A... więc się cieszy?
- Mam być szczerą.
- Tylko.
- Jest uszczęśliwiona.
- Bardzo pięknie.
- Przepraszam, nie wiedziałam, że panu przykrość sprawię, ale sam pan żądał odemnie szczerości.
- Jabłecki wzruszył ramionami.
- Przykrość? — odezwał się z akcentem pogardliwego zdziwienia.
- Nie umiał pan ukryć nawet swego uczucia.
- Żartuję pani.
- Nie.
- Nie będę pani przekonywał. Ale może mi pani jedną rzecz powie. Interesuję mię to poprostu przez psychologiczną ciekawość. Czy Maryla, przepraszam, moja żona, a raczej moja ex-żona, zdaje mi się, że to najodpowiedniejsza nazwa...
- Najodpowiedniejsza.
- Jabłecki uśmiechnął się ironicznie.

— Tak stanowczo pani to powiedziała.
A może się pogodzimy właśnie.

— Co do tego mogę panu zaręczyć, że na pewno nie.

— Przypuśćmy. Więc — czy moja ex-żona zwierzała się przed panią.

— Zwierzała.

— I co jej poszło?

Jola uśmiechnęła się zagadkowo, tak samo jak na powitanie Jabłeckiego.

— Czy wciąż mam być szczerą?

— Wciąż... wciąż — odparł niecierpliwie, bo już go zaczynały denerwować te ciągłe pytania.

— Więc dobrze. Maryla nie może panu darować Twarkowskiego.

Jabłecki zmarszczył brwi.

— Jakto?

— Ach, mówmy bez ogródek — roześmiała się cynicznie Jola. — No, poprostu nie może panu darować przepuszczenia takiej okazji. I tego nigdy panu nie przebaczy.

XVII.

— I on miał bezczelność prosić mnie na sekundanta. Kijem go obiję i tak mu będę sekundował!

Jabłecki tak był wściekły na Twarkowskiego, że gdyby go teraz spotkał na ulicy, na pewno nie miałby siły zapanować nad sobą i rzuciłby się na kuzyna.

Z Jolą rozmawiał dość długo. Oczywiście, Maryla wypaplała przed przyjaciółką wszystko: o Pełtwiczowej, o pożyczkach, o zamachu Twarkowskiego na kieszeń ciotki. I to właśnie, że Twarkowskiemu udało się ciotkę „naciągnąć“ a Jabłecki nie wpadł na ten pomysł, raz nazawsze obrzydziło go w oczach pani Maryli.

— Chciała mnie na oszusta wykierować. Miły charakter! — aż się trząsł z oburzenia Jabłecki.

O piątej miał się zejść z Twarkowskim i drugim sekundantem, jakimś panem Skwarczyńskim. I nagle przyszła mu chęć, aby udać

się na spotkanie, ale po to tylko, by rozprawić się z Twarkowskim.

— Oszust, pospolity oszust!

Z tej zadumy wyrwał go nagle głos Stetkiewicza.

— Cóż to pan taki zasepiony?

— Aa...

Stetkiewicz, widocznie już w poczuciu przysłego koleżeństwa partyjnego, troskliwie ujął Jabłeckiego pod rękę.

— Przykrość was jakaś spotkała?

— Nie, nie...

Parę kroków zrobili w milczeniu. Nagle Stetkiewicz odezwał się z uśmiechem.

— Poznałem dziś pańskiego kuzyna.

— Kogo?

— Pana Twarkowskiego.

Jabłecki stanął, jak wryty. Tego jeszcze brakowało, żeby mu Stetkiewicz Twarkowskim głowę zawracał.

A publicysta ciągnął z uśmiechem:

— Bardzo miły człowiek.

Jabłecki nie mógł już dłużej panować nad sobą.

— Przedewszystkiem bydlę.

— Kto?

— No, kto? Twarkowski. A powtóre, wcale nie jest moim kuzynem. Jest kuzynem mojej dawnej ex-żony, z którą rozeszliśmy się.

Stetkiewicz przyjął to do wiadomości

w milczeniu. Miał taką minę, jakby w myśli powiedział sobie: „Teraz rozumiem“, a właśnie nic nie rozumiał.

— Nie wiem, czy pan nie jest uprzedzony trochę do swego kuzyna — odezwał się po chwili. — Mnie się podobał. Taki entuzjastyczny umysł.

— Entuzjastyczny umysł! — Jabłecki miał ochotę obić kijem już nie tylko Twarkowskiego ale i Stetkiewicza.

— Wie pan, co mnie już do niego życzliwie usposobiło, jeszcze nim go poznałem.

— No?

— To, że Cisiewicz o nim źle mówił.

— Cisiewicz jest bardzo przyzwoitym człowiekiem.

— Pierwszy raz to od pana słyszę.

— Znany prawnik.

— Ale z czego znany? Z tego, że ramol i głuchy. Ludzie go się boją, bo każdego potrafi na śmierć zanudzić.

Jabłecki zmarszczył brwi i szukał przez chwilę w myśli argumentów na obronę Cisiewicza, ale, niestety, nie mógł ich znaleźć, bo dotychczas, co prawda myślał o Cisiewiczu mniej więcej to samo.

— A przytem...

— Co?

— On się coraz bardziej odchyła od naszej orientacji. Tak, że, wie pan, zastanawia-

łem się już poważnie nad tem, czy go warto ścigać na nasze zebranie.

— A Twarkowskiego chciałby pan zaprosić?

— Musowo,

I to „musowo“ było wypowiedziane jaknajkategoriyczniejszym tonem. Nie była to już propozycja, ale żądanie. Jabłecki nie mógł się powstrzymać od ironicznego uśmiechu. Czy pan Stetkiewicz nie rościł sobie zbyt dużych praw do tego zebrania.

Nie miał czasu jednak zastanawiać się nad tem, bo przedewszystkiem pochlebna opinja Stetkiewicza o Twarkowskim wzbudziła w nim najwyższe zdumienie.

Można było zrozumieć, że Twarkowski opętał taką Pełtwiczową, starą, chciwą dziwaczkę, której perspektywa powiększenia majątku zawróciła w głowie, ale żeby urokowi jego ulegał Stetkiewicz, bądźcobądź inteligentny człowiek...

— Czy panu Twarkowski opowiadał o swoim wynalazku?

— Owszem.

— I uważa go pan za człowieka o zdrowych zmysłach?

— Ja się na torpedach nie znam — odpowiedział wymijająco publicysta.

— I ja się nie znam. Ale sędzę, że to niepotrzebne, aby się przekonać, że się ma z półgłówkiem do czynienia.

— No, to niewinna manja. Ostatecznie, skoro poza tem człowiek chce coś pożytecznego robić.

— A cóż on robi?

Na twarzy Stetkiewicza odmalował się wyraz lekkiego wahania. To zaintrygowało Jabłeckiego i ponowił pytanie:

— Cóż on robi?

— Przystąpił do naszego pisma.

— W jakim charakterze?

— Jako współwydawca.

— A... — Jabłecki w jednej chwili zrozumiał wszystko. Zmierzył publicystę pełnem bezbrzeżnej pogardy spojrzeniem. „Więc to jest pan Stetkiewicz, działacz, nieposzlakowany pisarz, którego za kilkaset rubli kupić można.

— W partyi tacy ludzie są potrzebni — mruknął Stetkiewicz i odrazu poprawił się szybko, spostrzegwszy, że zwrot nie był bardzo zręczny.

— On zresztą, mojem zdaniem, wcale nie jest taki, jak panowie go malujecie. Ma porywający entuzjazm.

Jabłecki zagryzł usta, aby nie parsknąć śmiechem.

Porywający entuzjazm. Co jeszcze... Okaże się, że jest najgenialniejszym człowiekiem w kraju. Wzruszył ramionami i uchylił kapełusza.

— Żegnam pana.

I odwrócił się, nie podając publiczście ręki. Usłyszał za sobą ostry głos:

— Panie Jabłecki...

Ale nie zwrócił na to uwagi. Niech się Stetkiewicz obraża na niego, niech mu przysyła sekundantów! Myli się tylko, jeśli sądzi, że on będzie tracił czas na rozprawy honorowe z takimi ludźmi, jak pan Stetkiewicz.

— Jazda! — krzyknął, wskakując pośpiesznie do dorożki.

— Dokąd?

— Prosto.

I obejrzał się wyzywająco na Stetkiewicza. Ale publicysta znikł już w tłumie. — Tchoź — pomyślał z pogardliwym uśmiechem Jabłecki. Czuł, że on sam nigdy by nie zniósł takiego afrontu. Ale po chwili padł lekki cień na ten jego tryumfujący stan ducha. Wydało mu się, że zbyt pośpiesznie wskoczył do dorożki. Wyglądało to na ucieczkę.

— Eh, mniejsza o to!... Nie chciał dopuszczać do siebie niemitych myśli.

Dorożkarz znów się do niego odwrócił.

— Prosto wciąż jechać?

— Jedźcie... jedźcie — nie mógł się zdecydować Jabłecki... Aż nagle błysnęła mu gienjalna myśl.

Rzucił adres mecenasa Cisiewicza. Wiedział już co miał robić. Należało się zgrupo-

wać i rozpocząć walkę z takimi ludźmi jak Stetkiewicz i Twarkowski. Pewien był, że mecenas nie odmówi mu swego poparcia.

— Założymy nową partję — uśmiechnął się wesoło, zacierając ręce.

I znów życie zaczęło mu się wydawać pięknem.

K O N I E C .

~~BIBLIOTEKA
RESIDENTIAE URGOVITANSIS
P. P. SOCIETATIS JESU
AD S. BARBARAE~~



38387